ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 5/560 1994

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

T. KOSOBUDZKI: **STRACONE SZANSE**

L. UNGER: **WIDZIANE Z BRUKSELI I Z KIJOWA**

K. WOLICKI: **WAŁĘSA NA ŚCIEŻCE WOJENNEJ**

A. POSPIESZALSKI: **CZY POTRZEBNI SĄ KSIĘŻA-KOBIETY?**

SPIS RZECZY

Tadeusz Kosobudzki: *Stracone szanse* 3
Gustaw Herling-Grudziński: *Dziennik pisany nocą* 27
Leszek Dzięgiel: *Skok z wybuchem, czyli środki pozoracji* 41

WIERSZE

Bogumił Andrzejewski: *Hyś i pająk* 60

ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger: *Widziane z Brukseli i z Kijowa* 63
Stanisław Polaczek: *Zaniedbywany handel z Europą Wschodnią* 81
Janusz Mondry: *Koreańskie zagrożenia nuklearne* 89

KRAJ

Krzysztof Wolicki: *Wałęsa na ścieżce wojennej* 95
Ewa Berberyusz: *Kartki ze skażonej strefy* 103

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Antoni Pospieszalski: *Czy potrzebni są księża-kobiety?* 110

SPRAWY I TROSKI

Maria de Hernandez-Paluch: *Zakład św. Kazimierza w Paryżu* 117

SĄSIEDZI

Adam Kruczek: *Notatki rosyjskie* 122

KRONIKA KULTURALNA

Włodzimierz Bolecki: *Pochwała filologii* 127
Bogusław Bakuła: *Okratowane sonety* 131

KSIĄŻKI

Lech Paszkowski: *Pamiętnik pisany w Australii* 135
Adam Kruczek: *Niełatwo być prorokiem* 142
Jerzy Kandziora: *Głos w sprawie „Polskiej Bibliografii Literackiej"* 144
— *Nadesłane nowości wydawnicze* 146

NOTATKI REDAKTORA 149

•

— *Wydarzenia miesiąca* oraz *Kroniki kanadyjska i norweska* 152

•

Zb. Baran, M. Fik: *Listy do Redakcji* 157
— *Odpowiedzi Redakcji* 159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj/Mai 1994

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dla uczczenia pamięci Alicji Kotlickiej w zbliżającą się 6-tą rocznicę Jej śmierci (19 maja) — Janina Olster-Kotlicka (Effretikon - Szwajcaria)	F. 300,00
Dla uczczenia pamięci przyjaciół: Romana Palestra, Karola Wagnera-Pieńkowskiego i Feliksa Konarskiego (REF-RENA) — Weronika i Jacek Machniewiczowie z Paryża	F. 300,00
Dla uczczenia pamięci Stefana Strelcyna w trzynastą rocznicę Jego śmierci — żona i syn z rodziną (Manchester, Londyn)	F. 200,00
E.R., Paryż — w 19-tą rocznicę śmierci Męża	F. 1.000,00
Zbigniew Gros, Saint Vallier (Francja) — zamiast kwiatów na grób Zofii Tuszowskiej, artystki-malarki — w 12-tą rocznicę Jej śmierci (12.04.1982)	F. 70,00
M.I. Michigan (USA), po raz 10-ty — dol. 1.000,00	F. 5.850,00
Jadwiga Juchniewicz, Lugano (Szwajcaria), po raz 18-ty	F. 200,00
Inż. Franz Lassak, Monachium (Niemcy), po raz 2-gi	F. 100,00
W.B. Prus, Grzesie Prusy, NC (USA) — zamiast kwiatów na zapomniany grób największego z Wielkich Polaków i intelektualistów — Andrzeja Bobkowskiego — dol. 50,00	F. 293,00
W trzynastą rocznicę śmierci Stefana Strelcyna — syn, synowa i wnuczka z Paryża	F. 150,00
Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja), po raz 58-my	F. 315,00
Tadeusz Żaba, Baden (Szwajcaria), po raz 3-ci	F. 400,00

•

Jan Zalewski, Chester (W. Brytania):	
— na Fundusz „Kultury" — £ stg. 10,00	F. 88,00
— na pomoc dla Polaków w Rosji — £ stg. 10,00	F. 88,00
Eugenia Piórkowska, Nowy Jork (USA) na pomoc dla Polaków w Rosji — dol. 24,00	F. 140,00

DZIĘKUJEMY

•

P. Romuald A. Quas de Penno, Hockessin, DE (USA) przekazał na Fundusz „Kultury" dol. 26,00. Dar ten odnotowaliśmy w *Kulturze* z kwietnia br. bez noty: „Zamiast kwiatów na grób śp. Witolda Malewicza zmarłego w Warszawie 28 grudnia 1993 r.". Była to wina księgarni *Nowego Dziennika* w Nowym Jorku, do której ten dar został wpłacony, a która nas o tym nie zawiadomiła. Obecnie to prostujemy. (Red.)

Stracone szanse

Grzechem pierworodnym polityki wschodniej RP było zlekceważenie układu sił w świecie w 1989 roku. Zbagatelizowano Wschód i przeceniono Zachód. Ekipa oddająca władzę nie przygotowała koncepcji zabezpieczenia naszych interesów na Wschodzie, a ekipa przejmująca władzę nie zrobiła tego w odniesieniu do Zachodu. Przyjęto fałszywe założenia, które były ewidentnie błędne od samego początku: za pierwszoplanowe zadanie uznano wpływ na demontaż ZSSR, przy jednoczesnym oczekiwaniu nieokreślonej gratyfikacji ze strony Zachodu za zmianę systemu politycznego w Polsce. Znalazło to wyraz w nowej ideologizacji polityki zagranicznej zawierającej się w hasłach „Wejście do Europy", wstąpienia do NATO i EWG.

Nad polską polityką zagraniczną ciąży i ciążyć będzie nieodwracalnie to, że historyczny zwrot w jej preferencjach nie był programowo przygotowany. Zarówno w 1989 roku jak i obecnie Zachód, a tym bardziej nowe demokracje, nie wypracowały strategii transformacji demokratycznej. Stąd cele i interesy Zachodu w odniesieniu do Europy Środkowej nie są wyraźne i sprecyzowane. Ich określenie i realizacja bywają zdeterminowane różnymi naciskami i nie wynikają z wizji skierowanej ku przyszłości. Ten brak spójności i koncepcji powoduje zamieszanie i zwiększa brak stabilności w regionie.

Polska dyplomacja popełniła kardynalny błąd — nie analizowała tego co robią i mówią zachodni politycy. Było to zlekceważenie podstawowej funkcji służby zagranicznej. Nie potrafiono wyciągnąć trafnych wniosków ze spotkania George Bush-Michaił Gorbaczow na Malcie w grudniu 1989 roku. Ówczesnym władzom zwracano uwagę na potrzebę zdobycia

w miarę precyzyjnych informacji o przebiegu tego spotkania. Nie wierzono jednak w utrzymanie stref wpływów. Nie mieściło się to w kalkulacjach politycznych nowej władzy. W konsekwencji zbagatelizowano tę sprawę. Nie brano pod uwagę, że Polska może zostać użyta wyłącznie jako narzędzie, zarówno przez M. Gorbaczowa jak i przez G. Busha. Wiele wskazuje na to, że na Malcie dokonano kolejnego podziału stref wpływów. Wydaje się, że to nie wojskowi naciskali na B. Jelcyna, by zajął jednoznaczne stanowisko w sprawie wejścia do NATO państw Grupy Wyszehradzkiej, lecz amerykański prezydent zażądał od prezydenta Rosji potwierdzenia obowiązujących układów. Rosja zachowała specjalne prawa na obszarze byłego ZSSR. Europa Środkowa została utrzymana poza NATO i uznana za strefę wpływów rosyjskich. Wyjątkiem była zgoda na zjednoczenie Niemiec i specjalne traktowanie Czech, w mniejszym już stopniu Węgier. M. Gorbaczow jako lojalny partner Zachodu potwierdza to często w swoich wypowiedziach. Rezygnując formalnie z politycznego, militarnego i ekonomicznego zwierzchnictwa nad państwami Układu Warszawskiego, Rosja zastrzegła sobie zwierzchnictwo faktyczne. Zachód łącznie z Ameryką to rosyjskie zwierzchnictwo uznał bez zastrzeżeń.

U podstaw myślenia ekip solidarnościowych legło założenie, że układ dwubiegunowy świata uległ definitywnemu zakończeniu przynajmniej w odniesieniu do Europy, że nastąpił koniec „imperium zła" w wydaniu komunistycznego państwa sowieckiego, a powstałe po rozpadzie ZSSR organizmy państwowe na czele z Rosją nie będą odgrywały żadnej roli w polityce światowej, a tym bardziej w rachubach Zachodu. Tymczasem jasne było, że Zachód nie zrezygnuje z funkcji, które praktycznie od wielu lat pełni Rosja: kontroluje znaczną część Azji, w ostatnich latach eksplodującej fundamentalizmem islamskim. Zachód ma również w Rosji interesy gospodarcze. Wszystkie postkomunistyczne państwa nie zapewnią światowemu kapitałowi tylu korzyści co niezmierzone obszary Rosji. W tym kontekście należy także widzieć bezkrytyczne poparcie Zachodu dla B. Jelcyna.

Brak myślenia i analizy zaowocował pasmem błędów, które stworzyły proces straconych szans i możliwości w odniesieniu do kontaktów z państwami i społeczeństwami za naszą wschodnią granicą. Stosunek do Wschodu wynikał przede wszystkim z niedojrzałości nowych władz. Lansowano swoiste przenosiny Polski na Zachód. Jednym z celów w polityce zagranicznej było odseparowanie Polski od Wschodu.

Ze wszystkich sił starano się uciec na Zachód budując mur na Bugu. Przyjęto założenie, że gdy będziemy już mocno zakotwiczeni w Europie Zachodniej, a państwo postkomunistyczne wewnętrznie wzmocnione, przyjdzie czas na nasze otwarcie na Wschód i odtworzenie zaniechanych związków. Polityka wschodnia okazała się także zbyt powściągliwa. Wpadnięto w pułapkę ostrożności i immobilizmu. Udawało się równocześnie drażnić kremlowskie centrum i poszczególne republiki. Nieprzemyślany zaś pośpiech w demontażu RWPG, nagła zmiana reguł współpracy gospodarczej, oprócz chaosu zaowocowała bilionowymi stratami w przemyśle. Nie chciano i nie umiano zająć się naszymi interesami za Bugiem. W rosyjskim *establishmencie* wzbudzono irytację megalomanią i lekceważeniem Rosji. Demonstrowano poczucie wyniosłości, które tak irytuje Rosjan stykających się z Polakami, pogłębione o kompleks nowej wyższości.

Antysowieckość i „doktryna" dwutorowości

Zaczęło się od eksplozji prymitywnej antysowieckości i iluzorycznego wpływu na demontaż ZSSR. Zdecydowało o tym stereotypowe widzenie Związku Sowieckiego. To było państwo komunistyczne, więc wrogie. Należało z nim walczyć. Chodziło o zniszczenie przeciwnika nie tylko we własnym kraju. Ten stereotyp wroga ideologicznego legł u podstaw związków ze wschodnimi sąsiadami. W grę wchodziło również posłannictwo w odzyskaniu wolności i demokracji przez innych. Należało w tym pomóc Litwinom, Ukraińcom, Białorusinom, a nawet Chińczykom. Nowa formacja wysunięta do władzy w wyniku zmiany w globalnym układzie, który rzutował na uwarunkowania wewnętrzne procesu przemian, nie umiała wyzwolić się z mentalności konfrontacyjnej. Widziała świat jako płaszczyznę walki. Nadal wydawało się jej, że rola detonatora, wywołującego wstrząsy w państwie sowieckim jest rolą przynoszącą uznanie i korzyści. W stosunkach międzynarodowych wprowadzono w życie politykę zagraniczną, wywodzącą się z uprzedzeń ideologicznych. Nowa władza demonstrowała niechęć wobec wschodniego sąsiada rozjątrzając kwestie drażliwe i sporne. Ton oficjalnej prasy i telewizji emanował napastliwością, jakiej od dawna nie było w środkach przekazu zachodniego świata. Następowało rugowanie języka rosyjskiego ze szkół. Postępował demontaż pomników i zmiany nazw ulic kojarzących się ze Związkiem Sowieckim.

Dewastacja grobów żołnierzy sowieckich zaprzeczała polskiej tolerancji i pozostanie jako smutny fakt w najnowszej historii. Niektóre środowiska (np. *Tygodnik Powszechny*) starały się przeciwstawić temu wybuchowi. Antysowieckość i antyrosyjskość społeczeństwa była zrozumiała. Było to zbiorowe odreagowanie Rosji i ZSSR. Co wolno jednak grupom społecznym, to akceptowanie tego przez rządzących było więcej niż błędem. Sprawą elit politycznych jest bowiem odporność na zbiorowe emocje i kanalizowanie ich zgodnie z interesem państwa. Potrafią to robić skutecznie Turcy.

Oficjalne kontakty na Wschodzie polegały na realizacji tzw. doktryny dwutorowości: „...zakładaliśmy zmiany w ZSSR i jego dezintegrację... w każdym razie jako pierwsi zapoczątkowaliśmy pewną dwutorowość w stosunkach z tym mocarstwem: z centrum w Moskwie i z poszczególnymi republikami" — twierdził minister spraw zagranicznych. Dwutorowa polityka wschodnia wobec republik przygranicznych polegała na założeniu, że wspólne podłoże obalania komunistycznej dominacji tworzy automatycznie więzi przyjaźni i wspólnego interesu oraz że odgrywanie roli pośrednika pomiędzy Zachodem a Białorusią, Litwą i Ukrainą jest szansą Polski. To założenie okazało się złudne. Odkryto potem także antypolskość, a nawet roszczenia terytorialne. Demonstracyjnie natomiast prezentowano odwrócenie się od Rosji. Geneza polityki dwutorowości według G. Kostrzewy-Zorbasa, wicedyrektora w Ministerstwie Spraw Zagranicznych wynikała z tego, że:

„Skubiszewski pragnął zawczasu nawiązać kontakty z elitami niepodległościowymi Ukrainy, Litwy, Białorusi i uniknąć konfliktów w razie dezintegracji na Wschodzie. Ta polityka była wsparciem dla rozpadu ZSSR. Właśnie taką lansowaliśmy w „Nowej Koalicji". W końcu marca 1990 roku Skubiszewski i Mazowiecki zapoznali się z moim tajnym memoriałem o potrzebie dwutorowości w polityce wschodniej. Trafiłem na swój czas. Wkrótce zapadła decyzja o polityce dwutorowości. Znalazłem się w MSZ po to, by ją realizować".

Jest to ewenement, który przejdzie do historii dyplomacji, bowiem okazało się, że wicedyrektor departamentu prowadzi samodzielną politykę zagraniczną. W praktyce „dwutorowość polegała na inicjowaniu stosunków z ruchami niepodległościowymi poszczególnych republik, przy podtrzymywaniu stosunków z sowiecką centralą", mówił G. Kostrzewa-Zorbas. Autor „doktryny", z wykształcenia teatrolog, spowodował zatrudnienie w MSZ grupy swoich znajomych o podobnych

jak on kwalifikacjach. A może nawet mniejszych, gdyż byli to kolporterzy ulotek, uczestnicy tzw. akcji plakatowych podziemnej „Solidarności". Ci młodzi ludzie, pracujący najpierw w URM, po krótkim okresie pobytu w MSZ zostali wysłani na placówki, jeszcze wtedy w Związku Sowieckim. Ich główne zadanie polegało na udzieleniu pomocy tamtejszej opozycji. Tę pomoc wyobrażali sobie na kształt tego co robili w podziemnej „Solidarności" — kolportowania ulotek, naklejania plakatów, malowania haseł na murach. Nie kryli się z tym, kiedy odbywali tzw. praktykę. Mieli poczucie misji. Pracownikom MSZ jeżył się włos na głowie. Nie z powodów ideologicznych, czy sympatii do ZSSR, ale ze względów proceduralnych. Państwo utrzymujące oficjalne stosunki z innym państwem wysyła na swoje placówki pracowników, mających status dyplomatyczny, aby pomagali opozycji. Niby nic nowego. Ale charakter tej pomocy budził dyplomatyczną grozę. Do skandalu jakoś nie doszło. Operetkowy charakter tego przedsięwzięcia musiał tylko rozbawić.

W stosunku do Związku Sowieckiego praktyczny przejaw tej polityki miał miejsce w grudniu 1991, kiedy następował rozpad ZSSR. Delegacja polskiego MSZ na czele z profesorem prawa międzynarodowego, sekretarzem stanu J. Makarczykiem przebywała w Moskwie, aby podpisać traktat o dobrym sąsiedztwie i współpracy między Polską a Związkiem Sowieckim. Parafowano układ z państwem, które nie wiadomo było czy przetrwa najbliższe tygodnie, czy w ogóle jeszcze istnieje. Nie na wiele zdało się zastrzeżenie, że dokument ten zostanie podpisany ze spadkobiercą ZSSR. Republiki w tym czasie z pewnym zniecierpliwieniem przyjmowały aktywność Polski we wspieraniu upadającego imperium. A wiadomo było już wtedy, że należy rozmawiać z władzami Rosji, Ukrainy, Białorusi, Kazachstanu. Innym jej przejawem, chyba nie do końca zamierzonym, było praktyczne zerwanie współpracy gospodarczej w momencie przejścia na rozliczenia w walutach wymienialnych. W konsekwencji nie udało się z Moskwą załatwić wycofania wojsk sowieckich, podpisania równoprawnego traktatu dwustronnego, ożywienia wzajemnej wymiany gospodarczej.

Po puczu w Moskwie głównymi podmiotami polityki dwutorowości były państwa bałtyckie, w mniejszym stopniu Białoruś i Ukraina, a prawie zupełnie Rosja. Był to jeden z poważniejszych błędów tej koncepcji. Co prawda podpisano deklarację z Rosją w czasie wizyty ministra spraw zagranicznych w październiku 1990 roku, lecz na tym poprzestano.

Polityka dwutorowości od początku była konstrukcją hybrydowatą. Wspierała kremlowskie centrum i pośrednio koncepcje M. Gorbaczowa mające na celu obronę państwa sowieckiego przed ostatecznym rozpadem. Zabezpieczała więc interesy Polski na wypadek, gdyby ZSSR w mniej lub bardziej scentralizowanej formie mimo wszystko przetrwał. Jednocześnie nieśmiało dawano do zrozumienia republikom, że gdyby się naprawdę usamodzielniły, to władze polskie będą z nimi współpracować. Tarcza i miecz. Tylko w teorii był to punkt wyjścia do nowej polskiej aktywności w przypadku rozpadu Związku Sowieckiego. W praktyce był to przejaw asekuracji, ale bez wyraźnie określonych interesów i konsekwentnej ich realizacji. W tych ramach trzeba umieścić telefon L. Wałęsy do B. Jelcyna w chwili kiedy wiadomo było, że pucz upadł. Zarówno MSZ jak i inne instytucje nie przewidziały wydarzeń w Moskwie. Być może dlatego brak było konsekwencji w trakcie ich trwania. Takie postępowanie antagonizowało jednak obie strony, zarówno B. Jelcyna jak i M. Gorbaczowa.

Kardynalnym zaś błędem polityki dwutorowości było abstrahowanie od hierarchii priorytetów i celów zgodnych z polską racją stanu. Skoncentrowano się na kontaktach z republikami zachodnimi, głównie bałtyckimi. Pominięto Rosję utożsamiając ją z całym ZSSR. Koncepcja dwutorowości okazała się sprzeczna sama w sobie. Lansowała kontakty z republikami, a praktycznie ich nie realizowała. Gdyby nie ta sprzeczność, to z perspektywy czasu obroniłby się przynajmniej jeden jej człon — kontakty z republikami, jako wytyczne postępowania wobec Wschodu. Pozostało jedynie hasło propagandowe o ideologicznym zabarwieniu. Kolejny przejaw braku realizmu, przejaw polskiej megalomanii.

Stosunki z Rosją

Założenia rosyjskiej polityki zagranicznej przewidują nadanie nowej jakości stosunkom politycznym i gospodarczym z krajami Europy Wschodniej z wykorzystaniem wcześniej nagromadzonych pozytywnych doświadczeń, w dotychczasowej bezpośredniej współpracy. Zadaniem strategicznym ma być zapobieżenie przekształceniu się Europy Wschodniej w swego rodzaju strefę buforową odgradzającą Rosję od Zachodu. Jednocześnie zakłada się, że nie można dopuścić do wyparcia Rosji przez zachodnie mocarstwa z regionu wschodnioeuropejskiego.

Można przyjąć, w myśl tych sformułowań, że Rosja dążyć będzie do niedopuszczenia lub maksymalnego spowolnienia integracji państw Europy Środkowo-Wschodniej z Zachodem, o ile taką integracją nie zostanie sama objęta. Doprowadzić ma to do stworzenia z Europy Środkowo-Wschodniej strefy buforowej, aż do momentu gdy Rosja będzie zdolna odgrywać aktywną rolę w regionie. Założenia te nie dotyczą w jednakowym stopniu wszystkich państw. Czechy i Węgry mają być poza ich zasięgiem. W Polsce pojawiły się obawy, że realizacji celów polityki Rosji sprzyjać może spore uzależnienie gospodarki Polski od dostaw surowców z tego kraju.

Rosja nie obawia się również konfliktu w tej sprawie z państwami Europy Zachodniej, które nie są zainteresowane poszerzeniem NATO czy Unii Europejskiej o państwa Europy Środkowo-Wschodniej. Stąd m.in. większość krajów NATO popiera wniosek Rosji o zatwierdzenie przez KBWE jej prawa do interwencji wojskowej w „krajach bliskiej zagranicy". Znamienne jest także, że w trakcie wizyty kanclerza Helmuta Kohla w Rosji w grudniu 1992 r. potwierdzono, że główna odpowiedzialność za losy Europy spoczywa na RFN i Federacji Rosyjskiej, których współpraca wymaga zacieśnienia i poufności.

Prawdą jest, że do niedawna w rosyjskiej polityce przeważała orientacja atlantycka sprowadzająca się do przekonania, że Rosja może szybko zintegrować się ze światem zachodnim. Ostatnio zostały wprowadzone pewne korekty. Euroazja stała się geopolityczną podstawą globalnej orientacji polityki zagranicznej Rosji.

Na tym tle politycy rosyjscy deklarują, iż po raz pierwszy w historii pojawiła się możliwość ustanowienia polsko-rosyjskich równoprawnych stosunków międzypaństwowych. Twierdzą także, że jedyną realną siłą mogącą zagwarantować integralność terytorialną Polski (która znalazła się między Ukrainą a Niemcami) jest Rosja. Niektóre rosyjskie środowiska opiniotwórcze i polityczne wysuwają obawy przed polską polityką zmierzającą jakoby do izolacji Federacji Rosyjskiej w Europie.

Po upadku ZSSR, zdaniem ministra K. Skubiszewskiego, najważniejsze zadanie polskiej polityki wschodniej to „wspieranie demokratycznych przemian i niezależnej państwowości partnerów wschodnich, odbudowa więzi gospodarczych i ochrona Polaków na Wschodzie". Kierunek wschodni w polityce zagranicznej uznany został za rozwojowy bo „tam

mamy pole do kształtowania sytuacji". Zakładano „aktywne stosunki dwustronne" z sąsiadami wschodnimi i republikami bałtyckimi oraz „zróżnicowane" z pozaeuropejskimi członkami WNP i państwami nie należącymi do wspólnoty. Polska miała odgrywać rolę „czynnika stabilności w naszej części Europy i rolę państwa przybliżającego dawny Wschód naszego kontynentu do Zachodu", a „nasza racja stanu wymaga wspierania u wschodnich sąsiadów — jako niepodległych państw — transformacji demokratycznej" — stwierdził minister spraw zagranicznych. W świetle tych założeń istota kontaktów sprowadza się do posłannictwa (przybliżanie Wschodu do Zachodu) i swoistej ingerencji w wewnętrzne sprawy tych państw (wspieranie transformacji demokratycznej). Niektórym politykom w kraju ciągle śni się misja dziejowa Polski i jej posłannictwo.

W sferze faktów, ważnym wydarzeniem w stosunkach z Rosją był traktat polsko-rosyjski podpisany w maju 1992 roku podczas wizyty Lecha Wałęsy w Moskwie. Jednak okoliczności jego powstania pokazały żenujący konflikt wewnętrzny między prezydentem a premierem, w którym wykorzystany został kluczowy problem polskiej polityki zagranicznej. Projekt traktatu przygotowany został w MSZ i był konsultowany z Belwederem. Wiceminister Spraw Zagranicznych I. Byczewski parafował go pod nieobecność ministra K. Skubiszewskiego. Nastąpiło to jednak nieoczekiwanie dla rządu, ale także dla prezydenta. W kontrowersyjnej sprawie spółek polsko-rosyjskich na terenie byłych baz sowieckich dyrektor A. Ananicz z MSZ oświadczył, że „mogą one powstać jedynie na bazie obiektów o charakterze cywilnym, podporządkowane być muszą polskiemu prawu, strona rosyjska wnieść musi do nich odpowiedni aport finansowy. Spółki takie służyłyby rozwojowi handlu z Rosją, na którym zależy obu stronom". Szyfrogram rządu, z odrębnym stanowiskiem w tej sprawie, dotarł do prezydenta w Moskwie, dwie godziny przed uroczystym podpisaniem traktatu.

Inną ważną sprawą była kwestia potępienia zbrodni stalinowskich. Zostało to dokonane w odrębnym oświadczeniu prezydentów obu państw.

Polityczne kontrowersje wokół traktatu polsko-rosyjskiego świadczyły, że różne ośrodki nowej władzy w Polsce nie miały jasnego, a tym bardziej jednoznacznego stanowiska w sprawie kontaktów z Rosją. Podobny brak jednoznaczności cechował problem wycofania wojsk sowieckich.

W 1990 roku Polska nie wysunęła żądania wycofania

wojsk sowieckich, w przeciwieństwie do Czechosłowacji i Węgier. Gdy jednak podpisano traktat z Niemcami stanowisko Polski się zmieniło. Zażądano wycofania wojsk sowieckich z Polski do końca 1991 roku. Nie osiągnięto tego. W Niemczech pozostaną do 1994 r. Tranzyt przez terytorium Polski został odrzucony, a także korzyści finansowe z tym związane, gdyż warunki strony polskiej były nie do zaakceptowania (osobno żołnierze, osobno sprzęt). W rezultacie wycofują się drogą morską i prawdopodobnie na stosowną chwilę zapamiętali stawiane przeszkody. Pojawiły się przy tym poglądy — jak ten Jerzego Krasuskiego — że „w niczym by jednak Polsce nie uchybiło — a Niemcom by zaimponowało — gdyby Polska zawarła traktat przewidujący, że ostatni żołnierz sowiecki opuści jej tranzytowe terytorium miesiąc lub nawet trzy miesiące po wycofaniu się z Niemiec". Na uroczystości związane z zakończeniem wycofywania wojsk sowieckich (rosyjskich) wybrano datę 17 września 1993 roku. Wydaje się, że z tego pomysłu byli zadowoleni tylko jego autorzy. Minister obrony Rosji Paweł Graczow nie przybył do Polski, mimo przyjęcia zaproszenia Lecha Wałęsy.

W lipcu 1993 podpisano umowę wojskową z Rosją.

Pozornie wiele miejsca w kontaktach polsko-rosyjskich poświęcono problemom historyczno-rozliczeniowym. Siłą rzeczy dotyczyły one niezmiernie bolesnych dla Polaków spraw. Nie potrafiono jednak oddzielić ich od aktualnych rozgrywek politycznych, które nadawały im instrumentalny charakter w bieżącej polityce. Abstrahując od moralnej oceny wykorzystania tragedii katyńskiej w kampanii wyborczej, decyzja ministra sprawiedliwości wywodzącego się z ZChN o wszczęciu „suwerennego śledztwa w sprawie zbrodni katyńskiej" została odebrana w Moskwie jako dezawuowanie wyników wizyty Borysa Jelcyna w Polsce. Powołany zespół prokuratorów został rozwiązany przez nowego ministra sprawiedliwości, co z kolei stało się podstawą do oskarżenia go o działalność przestępczą, która ma na celu ochranianie zbrodniarzy. Rosjanie przekazali część dokumentów związanych z wprowadzeniem stanu wojennego. Pewnie będą dozować je również w przyszłości. Generalnie twierdzi się, że tylko od Rosji odrodzonej możemy oczekiwać zadośćuczynienia, którego domaga się porządek moralny. Politycy rosyjscy podkreślają, że budowanie normalnych stosunków polsko-rosyjskich byłoby niemożliwe bez ujawnienia zbrodni i rozliczeń z przeszłości zastrzegając się jednocześnie, że nowa demokratyczna Rosja nie ponosi odpowiedzialności za zbrodnie reżimu stalinowskiego,

których ofiarą padł też jej naród.

W czasie wizyty Borysa Jelcyna w sierpniu 1993 roku pojawiły się sprawy współpracy gospodarczej. Podpisano porozumienie o budowie gazociągu, które spotkało się z krytyką ugrupowań prawicowych jako przejaw uzależnienia się od Rosji. Rosyjski punkt widzenia zakłada wzajemne korzyści gospodarczej współpracy. Oferuje się Rosję jako rynek zbytu polskiego rolnictwa, przemysłu budowlanego i lekkiego z możliwością wejścia na rynki Azji i Pacyfiku i jako źródło surowców energetycznych.

Rząd premiera Waldemara Pawlaka główne zadanie polityki wschodniej widzi w aktywnym wspieraniu rozwoju demokracji, dobrobytu i reform w Rosji. Otwarcie granic dla obywateli Rosji i ponoszenie związanych z tym kosztów ma sprzyjać budowaniu przyjaznych kontaktów między narodami. Minister A. Olechowski zakłada, że Polska powinna uczestniczyć w sfinansowanej przez świat zachodni transformacji gospodarczej Rosji. Wymaga to znalezienia miliardowych subsydiów dla polskiego eksportu. Silna pozycja Polski jako partnera gospodarczego może spowodować wpływ na to, co się dzieje w Rosji, gdyż, twierdzi A. Olechowski, nie jesteśmy potrzebni Rosji jako partner polityczny. Moskwa nie potrzebuje pośredników w stosunkach z Zachodem, Polska może jedynie wpływać na reakcje świata w sprawie Rosji. Ten realistyczny punkt widzenia (abstrahując od zdobycia środków na subsydiowanie eksportu) łączy się z poglądami, że wymiana handlowa z Rosją w okresie przejściowym powinna opierać się na uregulowaniach międzypaństwowych i nieunikaniu rozliczeń clearingowych. Polska i Rosja mają ogromne, w niewielkim stopniu dotychczas wykorzystane możliwości współpracy gospodarczej, mimo nieuregulowania dotychczas sprawy wzajemnych rozliczeń. Przykładem jest dobrze rozwijająca się współpraca z Obwodem Kaliningradzkim, Petersburskim i Sachalinem. Szczególnie Okręg Kaliningradzki jest znamiennym dowodem jak współpraca gospodarcza może wywierać wpływ na procesy demilitaryzacji. Rosjanie zdają sobie sprawę, że zamierzenie uczynienia z Obwodu strefy intensywnej przedsiębiorczości jest sprzeczne z koncentracją w nim środków militarnych.

Polska — NATO — Rosja

Wejście do NATO miało być wyrazem bycia w Europie

i gwarantem bezpieczeństwa dla Polski, która stała się państwem niekomunistycznym. Chodziło właściwie o zmianę przynależności do strefy wpływów — ze wschodniej do zachodniej, o nową satelizację. Ekipy sprawujące władzę po 1989 roku były przekonane, że zależy to wyłącznie od Stanów Zjednoczonych i państw Europy zachodniej. To naiwne założenie brało się z przekonania, że znaczenie Związku Sowieckiego, a potem Rosji w rachubach i celach Zachodu zostało raz na zawsze przekreślone i w interesie Zachodu leży swoista izolacja państw na wschód od Bugu. Nie wzięto pod uwagę, że Rosja przestała być przeciwnikiem ideologicznym Zachodu i Sojusz Północnoatlantycki przeżywa kryzys. Hasło Polska w NATO było przejawem myślenia mitycznego tkwiącego w przeszłości, myślenia oderwanego od realiów, mijającego się z rzeczywistością polityczną współczesnego świata, w którym istnieje problem znaczenia Niemiec w Europie, obecności amerykańskiej na tym kontynencie i przyszłości Europy z Rosją czy bez niej. Spokojna, uporządkowana i posiadająca silną władzę Rosja gwarantuje stabilność na poziomie europejskim i globalnym. NATO nie ma interesu w antagonizowaniu Rosji, zwłaszcza takiej, która może nabrać imperialnego charakteru. Ale nawet Rosja demokratyczna musiałaby być członkostwu Polski przeciwna. Rosyjskie stanowisko wobec poszerzenia Paktu uważa się na Zachodzie za uprawniony przejaw troski mocarstwa o swoje interesy.

Wahania państw zachodnich wobec przyjęcia Polski do NATO mają charakter polityczny i związane są z niejasnością w kwestii podziału stref wpływów w Europie. Czterostronne porozumienie z września 1990 roku w sprawie zjednoczenia Niemiec wyraźnie zabrania NATO przyjmowania nowych członków i rozmieszczania wojsk NATO we wschodnich landach Niemiec. Niemcy, które były rzecznikiem wejścia Polski do NATO, po liście B. Jelcyna do przywódców państw zachodnich zmieniły stanowisko, uznając dialog i współpracę z Moskwą za priorytetowe.

Polska dyplomacja propagowała politykę zagraniczną twierdząc uporczywie, że wejście Polski do NATO jest kwestią aktualną i realną w najbliższym czasie. Oczekiwano, że pozytywna decyzja zapadnie na szczycie państw NATO w styczniu 1994 r. Konsekwentnie nie brano pod uwagę stanowiska Rosji. Wypowiedź B. Jelcyna wyrażoną podczas wizyty w Warszawie zinterpretowano jako zgodę Rosji na wejście Polski do NATO. Tymczasem B. Jelcyn powiedział tylko tyle: Polska jest krajem suwerennym. I nic więcej. Przypisy-

wanie mu tego czego nie powiedział było nie tylko nietaktem, ale braniem wyobraźni za rzeczywistość. A był to polityczny błąd dużego kalibru. Propaganda rządowa przedstawiając z euforią i z całą świadomością tę fałszywą interpretację spowodowała brutalną reakcję Rosji. Można to oczywiście potraktować jako kolejne posunięcie Lecha Wałęsy, które przyniosło kompromitujące skutki. Lech Wałęsa, prezydent suwerennej Polski, nie powinien pytać Borysa Jelcyna, prezydenta suwerennej Rosji, o rosyjskie zdanie na temat polskiej inicjatywy dyplomatycznej. Jednak sprawa jest o wiele bardziej poważna, gdyż dotyczy przyszłego kształtu bezpieczeństwa europejskiego i obciąża całą tzw. klasę polityczną.

W liście z września 1993 do przywódców państw zachodnich Borys Jelcyn nie pozostawił żadnych złudzeń: „Ogólnie jesteśmy zdania, że stosunki między naszym krajem a NATO powinny być o kilka stopni cieplejsze niż stosunki między paktem a Europą Wschodnią... Skłaniamy się ku innemu rozwiązaniu, prowadzącemu do prawdziwie ogólnoeuropejskiego systemu bezpieczeństwa". Jego minister spraw zagranicznych w tym samym czasie przekazał polskim politykom pod rozwagę propozycję, że „Polska, podobnie jak inne kraje regionu, powinna odgrywać samodzielną rolę między dwoma biegunami — Rosją i Europą Zachodnią — sprzyjając ich zbliżeniu i konsolidacji, ich demokratyzacji i transformacji... Europa Wschodnia nie powinna przechodzić do strefy wpływów czy to NATO, czy Rosji". Polski minister spraw zagranicznych A. Olechowski odpowiadając na artykuł Andrieja Kozyriewa, zamieszczony w listopadzie 1993 r. w *Gazecie Wyborczej* naiwnie argumentował, że „Polska należąca do NATO będzie udzielała w miarę możliwości wsparcia rosyjskiej demokracji w izolowaniu sił nacjonalistycznych". Stronie polskiej zależało na przybyciu do Warszawy rosyjskiego ministra spraw zagranicznych przed szczytem NATO w Brukseli. Trudno się dziwić, że zapowiadana na 27. 12. 1993 r. wizyta nie doszła do skutku.

Polskie zabiegi przed szczytem w Brukseli w celu wypracowania wspólnego stanowiska w sprawie wejścia do NATO państw Grupy Wyszehradzkiej napotkały na opór Czechów, którzy liczą na samodzielny sukces w tej sprawie. Szef czeskiej dyplomacji Josef Zieleniec podkreślał, że nie jest zwolennikiem wspólnego przyjęcia Grupy Wyszehradzkiej do NATO. Jego zdaniem, jest to „sprawa intymna". „Pojedziemy obok siebie i w tym samym kierunku, ale raczej nie będzie to droga domagania się wspólnego przyjęcia".

Spotkanie Billa Clintona z przywódcami Grupy Wyszehradzkiej w Pradze raz jeszcze potwierdziło, że głównym celem Amerykanów jest stabilizacja sytuacji w Rosji. Zamiast wejścia do NATO, państwa Europy Środkowo-Wschodniej otrzymały iluzoryczną doktrynę „Partnerstwo dla Pokoju".

Nowy rząd zaakceptował amerykańską tezę, iż przyjęcie Polski do NATO nie byłoby słuszne, gdyby miało wywołać w Rosji poczucie izolacji, gdyż „takie poczucie mogłoby spowodować niedobrą ewolucję". Co prawda Polska popierać będzie „Rosję demokratyczną", a nie jak USA „Rosję współpracującą" — oświadczył minister spraw zagranicznych.

Kiedy rozpatruje się kwestię przyszłego bezpieczeństwa Polski należy brać pod uwagę uzasadnione interesy bezpieczeństwa Rosji, uwzględniając niepokoje byłego supermocarstwa obawiającego się izolacji na arenie międzynarodowej. Polska nie pokusiła się dotychczas na odegranie samodzielnej roli w konstrukcji europejskiej integracji i europejskiego systemu bezpieczeństwa, w którym wpływy rosyjskie i niemieckie będą się równoważyły. Dawałoby to gwarancje bezpieczeństwa i Rosji i państwom środkowoeuropejskim.

Litwa, Ukraina, Białoruś i inne państwa

Kontakty ze wschodnimi sąsiadami wykazują jak woluntarystyczne podejście rozmija się z realiami, których nie zawsze chce się dostrzec. Kontakty z Litwą nie uwzględniły antypolonizmu jako instrumentu nowych władz litewskich w realizacji ich interesów. Potrzebna była oczywiście otwartość na Litwę. Ale trzeba było wyraźnie prezentować, że są między Litwą a Polską sprawy otwarte, które trzeba załatwić.

Stosunki polsko-litewskie byłyby być może lepsze, gdyby Polska nie zwlekała tak długo z uznaniem niepodległości Litwy. Dokonano tego kilka dni po upadku puczu w Moskwie i po uznaniu Litwy przez kilkanaście państw.

Twierdzi się, że polsko-litewskim kontaktom szkodzi głównie polska arogancja i agresywność Litwinów w prezentowaniu skrajnego nacjonalizmu. Ma to wynikać z poczucia polskiego zagrożenia kulturowego, mającego negatywny wpływ na ich narodową identyfikację.

Z Litwą, jako jedynym krajem sąsiadującym, Polska nie posiada traktatu międzypaństwowego. Istnieje tylko deklaracja polsko-litewska ze stycznia 1992 roku. Brak tego traktatu spowodowany jest żądaniem Litwy potępienia zajęcia Wilna

przez Polaków w 1920 roku po akcji gen. L. Żeligowskiego i uznania za nieważne wszelkich skutków prawnych z tego wynikających. Brak chęci potępienia akcji gen. Żeligowskiego przedstawia się jako animowanie polskiego nacjonalizmu. Strona polska sprzeciwia się jakimkolwiek sformułowaniom, które mogłyby naruszać uzyskane przed wojną prawa własności Polaków na Litwie, a także wprowadzeniu ocen historycznych w traktatach międzypaństwowych. Podwileńscy Polacy wciąż protestują przeciwko administracyjnemu rozszerzeniu granic Wilna, które uniemożliwi im odzyskanie utraconej ziemi przodków. Zgodnie z prawem litewskim, ziemia leżąca w mieście nie podlega reprywatyzacji. W październiku 1993 roku zorganizowano społeczny sąd nad Armią Krajową. Uznano, że AK działała na Litwie nielegalnie i ma na swoim koncie liczne przestępstwa kryminalne. Emocje dają o sobie znać również po stronie polskiej. W styczniu 1994 roku grupa parlamentarzystów domagała się, aby w traktacie polsko-litewskim zapisano gwarancję autonomii administracyjnej dla polskiej mniejszości na Litwie.

Oficjalne kontakty międzypaństwowe są niewielkie. W styczniu 1993 roku odbyło się w Wigrach nieoficjalne spotkanie premier Hanny Suchockiej z premierem Bronislovasem Lubysem. Premier Litwy zaproponował współdziałanie w reformowaniu gospodarki litewskiej. Szczególnie istotne dla Litwy miałyby być wspólne programy w dziedzinie energetyki, przedłużenie na Litwę linii gazowej z Morza Północnego, czy połączenie systemów przesyłania energii elektrycznej między Polską a Litwą. Rozpoczęto dyskusję na temat warunków utworzenia strefy wolnego handlu między Polską a Litwą.

Pewne ożywienie kontaktów ze strony litewskiej nastąpiło po wyborach w Rosji. Działacze Sajudisu widzą polsko-litewskie zbliżenie w uwzględnieniu groźby odbudowy imperializmu rosyjskiego, demilitaryzacji strefy Królewca i rozszerzenia Grupy Wyszehradzkiej o Litwę. W grudniu 1993 roku przebywał w Polsce marszałek Sejmu litewskiego Czesłovas Jurszenas i premier Adolfas Szlezeviczius. W czasie tych wizyt Litwini wyszli z konkretnymi propozycjami. Premier zaproponował podpisanie umowy o wolnym handlu i bliskiej współpracy gospodarczej. Wspólne projekty mogłyby dotyczyć budowy rurociągów i gazociągów z Morza Północnego. Pomogłoby to obu krajom, zdaniem litewskiego premiera, uniezależnić się od dostaw z Rosji. Pojawiły się też kompromisowe propozycje w sprawie traktatu z Polską.

W przypadku Ukrainy Polska stanęła do wyścigu o to,

kto pierwszy uzna jej niepodległość. Wniosek, sformułowany na początku września 1991 roku o jej uznanie został odrzucony przez ministra K. Skubiszewskiego. Decyzję podjął premier J.K. Bielecki w czasie pobytu delegacji ukraińskiej na początku września 1991 r. Polska uznała Ukrainę przed ogłoszeniem wyników referendum z 1 grudnia 1991 roku. Wywołało to konsternację w Kijowie, bowiem Ukraińcom bardziej zależało, aby jako pierwsi uznali ich Kanadyjczycy. (Polska pierwsza uznała niepodległą Ukrainę, ale przez prawie rok władze ukraińskie nie mogły znaleźć odpowiedniej osoby na stanowisko ambasadora w RP). Inaczej niż prawie cały świat uznaliśmy Ukrainę bez zabezpieczenia podstawowych naszych interesów, takich chociażby jak: prawa mniejszości polskiej, zobowiązania finansowe, kwestie wojskowe. Niemal natychmiast po tym akcie prezydent L. Wałęsa poparł M. Gorbaczowa, który to wykorzystał publicznie: „Wałęsa tłumaczył, że republiki otrzymały pełną swobodę, możliwość prowadzenia niezależnej polityki wewnętrznej i zagranicznej, ale trzeba zachować związek, gdyż republiki nie będą w stanie samodzielnie rozwiązywać stojących przed nimi problemów".

Współpraca z Ukrainą nie była zbyt intensywna. Brak aktywnej polityki tłumaczyło się pewną biernością strony ukraińskiej. Do dobrych kontaktów międzynarodowych niepotrzebna jest wcale inicjatywa dwóch stron. Jednak w przypadku naszych kontaktów z Ukrainą zabrakło zdecydowania odnośnie charakteru stosunków z tym państwem. Ukraińcy widzieli w Polsce ostoję w budowaniu niepodległości i równoważeniu wpływów Rosji. Ich stanowisko było w pełni konsekwentne, dopóki nie usłyszeli zdecydowanego „nie" ze strony polskiej. Dążenie „wejścia do Europy" eliminowało myślenie i działania na Wschodzie. Stąd propozycje ukraińskie ścisłej współpracy z Polską skazane były na niepowodzenie. Mimo zmiany polskich rządów wykazywano w tej sprawie pełną konsekwencję. Nad stosunkami z Ukrainą ciążył także brak koncepcji współpracy z Rosją.

W styczniu 1992 przybyła do Kijowa delegacja MSZ i Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Następnie w Warszawie przebywał ukraiński minister obrony gen. Konstanty Morozow. Te pierwsze kontakty okazały się bezowocne i zakończyły się fiaskiem w budowaniu podstaw współpracy. W maju 1992 r. przebywał w Polsce prezydent Krawczuk. Podpisano układ międzypaństwowy o przyjaźni i współpracy i dobrym sąsiedztwie. L. Krawczuk wyraził zainteresowanie udziałem Ukrainy w Grupie Wyszehradzkiej. Inicjatywy ukraińskie

nabierały konkretnych kształtów: „Powinniśmy zrobić wszystko, aby przeciwstawiać się imperialnej presji i aby zapobiec politycznemu uzależnieniu na arenie międzynarodowej" mówił prezydent Ukrainy w czasie wizyty ministra spraw zagranicznych w grudniu 1992 roku sugerując antyrosyjski sojusz. Zapewnił przy tym, że stosunki z Polską mają charakter priorytetowy. Polska uważana jest za partnera strategicznego, z którym Ukraina jest gotowa do współpracy we wszystkich dziedzinach i na wszystkich szczeblach. Premier Leonid Kuczma wyraził zainteresowanie wszystkimi propozycjami zmierzającymi do ożywienia wzajemnej współpracy gospodarczej. Politycy ukraińscy zgodnie zaznaczali, że polsko-ukraińska współpraca powinna mieć na celu przeciwstawianie się tendencjom imperialnym, dominacji i presji ze strony innych państw.

Pozornie kontakty te mogły być widziane jako antyrosyjskie. W lutym 1993 roku minister obrony narodowej podpisał porozumienie z Ukrainą (potem z Białorusią) o współpracy w dziedzinie wojskowości. Budowanie nowych stosunków z Kijowem odbywało się w cieniu Rosji, która nadal uważała Białoruś i Ukrainę za swoją strefę wpływów. Polska przystępowała do tej współpracy jako kraj, który dąży do członkostwa NATO i Unii Zachodnioeuropejskiej. Jednocześnie w czasie wizyty premier H. Suchockiej na Ukrainie w styczniu 1993 roku stwierdzono, że „rządy Polski i Ukrainy są zainteresowane stabilizacją Wspólnoty Niepodległych Państw jednak z w pełni niepodległą Ukrainą". Jerzy Milewski szef prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego stwierdził natomiast, że „współpraca polsko-ukraińska jest istotna dla obu państw w ramach jednego euroatlantyckiego systemu bezpieczeństwa".

Tego typu oświadczenie, a także fakt nieobecności prezydenta Ukrainy, który przebywał w Izraelu, w czasie wizyty polskiej premier powodują, że Polska była wykorzystywana w wewnętrznych rozgrywkach ugrupowań politycznych. Przykład tej wizyty świadczy również o tym jak w naszych kontaktach ze wschodnimi sąsiadami sentymenty biorą górę nad praktycznym podejściem. Strona polska chciała jechać do Lwowa, w którym bardzo silne są resentymenty wobec Polski i nastroje nacjonalistyczne pobudzane przez skrajnie prawicowe organizacje. Po dramatycznych rozmowach i groźbach zerwania wizyty ograniczono ją do Kijowa. Braknie też niestety wiedzy — o subtelnościach sytuacji wewnętrznej. Niewinne zwiedzanie prawosławnych świątyń zawierać może duży

ładunek polityczny. Te, które zwiedzała pani premier podporządkowane są patriarchatowi moskiewskiemu, który znajduje się w konflikcie z Ukraińską Cerkwią Prawosławną Kijowskiego Patriarchatu.

Jednym z niewielu konkretnych efektów tej wizyty było zgłoszenie przez stronę polską pomysłu powołania wspólnej komisji historyków do opracowania raportu w sprawie polskich i ukraińskich podręczników do historii. Podpisano kilka umów o charakterze prawnym i gospodarczym. Omawiano powołanie wspólnego banku komercyjnego i wręczono premierowi Ukrainy spis polskich firm gotowych współpracować z Ukrainą. W czasie wizyty podpisano protokół w sprawie utworzenia Komitetu Prezydentów Polski i Ukrainy. Nie uniknięto także powrotu do przeszłości. Ukraińcy żądali potępienia akcji „Wisła" przez Sejm, uznając za niewystarczające oświadczenie Senatu w tej sprawie.

Ukraina konsekwentnie była zainteresowana współpracą z Polską w dziedzinie bezpieczeństwa. W maju 1993 roku przebywał w Kijowie Lech Wałęsa. Prezydent Ukrainy ponownie zaprezentował propozycję utworzenia środkowowschodniej strefy bezpieczeństwa, która obejmowałaby państwa bałtyckie, Ukrainę, Białoruś, Polskę, Czechy, Słowację, Węgry, Rumunię, Mołdawię, Bułgarię i Austrię. Strona polska uznała ten pomysł za bardzo kontrowersyjny. Lech Wałęsa, prawdopodobnie za namową Amerykanów i NATO, przekonywał L. Krawczuka, by Ukraina odstąpiła od pomysłu stworzenia strefy bezpieczeństwa od Bałtyku do Morza Czarnego. Odrzucenie tego typu inicjatyw spowodowało, że Ukraina została skazana na Rosję, próbując jednocześnie współpracować z Niemcami, Węgrami, Czechami i Słowakami. Stosunki z Polską nabrały drugorzędnego znaczenia. Polska i Ukraina straciły wielką szansę.

Niepowodzeniem zakończyła się wizyta ministra K. Skubiszewskiego w Mińsku w końcu 1990 roku. Nie udało się doprowadzić do podpisania polsko-białoruskiej umowy o współpracy. Sztywne stanowisko władz białoruskich w tym okresie należy tłumaczyć chęcią komunistycznej ekipy wykazania się przed demokratyczną opozycją. Białoruś zaczęła krytykować Polskę za rzekome niewłaściwe odnoszenie się do białoruskiej mniejszości w Polsce. Domagano się uznania Białostocczyzny za ziemię etnicznie białoruską. Po puczu w Moskwie kontakty nabrały bardziej intensywnego charakteru. W październiku 1991 r. przebywał w Warszawie premier Wiaczesław Kiebicz. 27 grudnia Polska oficjalnie uznała nie-

podległość Białorusi. W lutym 1992 r. podpisano umowę tranzytową i oświatową. W marcu tego roku minister spraw zagranicznych Piotr Krawczenko zabiegał w Warszawie o poparcie Białorusi w wyborze na niestałego członka Rady Bezpieczeństwa. W tym samym miesiącu spotkali się premierzy Jan Olszewski i Wiaczesław Kiebicz, a w kwietniu premier Białorusi przebywał z oficjalną wizytą w Polsce, wyrażając zainteresowanie rozwojem współpracy gospodarczej, łącznie z propozycją korzystania z Gdyni jako głównego portu dla Białorusi. Premier H. Suchocka podczas wizyty na Białorusi w listopadzie 1992 r. stwierdziła, że „Polska jest zainteresowana pełną niepodległością Białorusi i pragnie być jednym z elementów łączących ją z Europą". Ponadto wyraziła niezadowolenie z nadmiernego uzależnienia Białorusi od Rosji. Podczas spotkania z premierem W. Kiebiczem z niepokojem mówiła o treści 22 umów, głównie gospodarczych zawartych przez Mińsk z Moskwą. Autorem tej oceny był minister spraw zagranicznych. Miał to być wyraz wspierania „niezależnej państwowości partnerów wschodnich" wobec Rosji. W. Kiebicz cierpliwie tłumaczył, że sytuacja geopolityczna jego kraju jest odmienna niż Polski, więc i inna musi być polityka wobec Moskwy.

W kwietniu 1993 r. w Mińsku ministrowie obrony Polski i Białorusi podpisali porozumienie o dwustronnych kontaktach w dziedzinie wojskowej. W tym samym czasie podczas dyskusji w białoruskim parlamencie argumentowano, że dążenie Polski do udziału w NATO i dyslokacja polskich wojsk z zachodu na wschód wskazuje na potrzebę przyłączenia Białorusi do systemu zbiorowego bezpieczeństwa WNP i stworzenia integracyjnych organów ekonomicznych Wspólnoty.

Białoruska ustawa „O wyznaniach religijnych i religijnych organizacjach" wprowadzając rozdział kościoła od państwa, rygorystyczną świeckość oświaty interpretowana jest jako forma przeciwdziałania misyjnej działalności kościoła katolickiego, prowadzonej przez polskich księży.

Kontakty z Czechosłowacją, potem z Czechami i Słowacją i Węgrami zdominowane zostały problemami wynikającymi z funkcjonowania Grupy Wyszehradzkiej. W czerwcu 1993 roku miała miejsce w Warszawie wizyta premiera Czech Vaclava Klausa, podczas której podpisano kilka standardowych umów. V. Klaus zaprezentował krytykę euroregionów. W grudniu 1992 roku przebywał z oficjalną wizytą w Polsce wicepremier i minister spraw zagranicznych Republiki Słowackiej Milan Kniaźko. W tym samym miesiącu premier

Hanna Suchocka spotkała się w Zakopanem z premierem Republiki Słowackiej Vladimirem Mecziarem. Wizyty te nie obfitowały w konkretne treści.

Polska nie widzi interesu w kontaktach z Rumunią i Bułgarią. Stosunki z tymi państwami są praktycznie zamrożone, mimo że Rumuni deklarowali chęć ścisłej współpracy w trójkącie Polska-Rumunia-Ukraina.

Polska ma kontyngent wojskowy w byłej Jugosławii. Tragizm wojny nie wyklucza, że stawiane jest pytanie jaki interes ma Polska na Bałkanach. Jeśli jest tam miejsce na interesy, to dla Anglii, Włoch, Francji, Turcji, które to państwa interesują się tym obszarem od dawna. Humanitarne aspekty misji T. Mazowieckiego są bezsporne. Ale jej polityczny wymiar nasuwa już wątpliwości. Polityka Polski jest antyserbska i prochorwacka. Przedstawia się, że Chorwaci reprezentowali sprawiedliwe dążenia niepodległościowe, popierane przez Stolicę Apostolską i Niemcy. W przypadku b. Jugosławii „moralność w polityce zagranicznej" wzmocniona została kryterium wyznaniowym.

Nikłe jest zainteresowanie państwami dalekowschodnimi. Polska ambasada w Ałma Acie została ustanowiona na początku 1993 r., rok po nawiązaniu stosunków z Kazachstanem. W stosunku do Chin próbowano polityki demontażu i posłannictwa. Przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu poprzedniej i obecnej kadencji, wraz z innym posłem, w czasie wizyty w Chinach jesienią 1991 r. zwołali konferencję prasową w ambasadzie i poruszyli wszystkie najistotniejsze sprawy lokalne. Poświęcono uwagę więźniom politycznym, dysydentom, krytyce kierownictwa chińskiego i oczekiwaniu upadku ustroju. Państwa znacznie silniejsze niż Polska, chociażby Stany Zjednoczone, zachowały w tych sprawach szczególną ostrożność. A tymczasem obecnie Polska wstrzymała się od poparcia wniosku w sprawie obrony praw człowieka w Chinach.

●

W grudniu 1989 r. Włochy, chcąc przeciwważyć znaczeniu Niemiec w państwach Europy Wschodniej, zaproponowały powołanie ugrupowania nazwanego Inicjatywą Środkowoeuropejską. Przy poparciu Austrii i Węgier Polska stała się jego członkiem w lipcu 1991 roku wraz z Austrią, Bośnią i Hercegowiną, Chorwacją, Czechami, Macedonią, Słowacją, Słowenią, Węgrami i Włochami. ISE posiada struktury organizacyjne w postaci grup roboczych powoływanych do opra-

cowywania konkretnych tematów. Inicjatywa Środkowoeuropejska nie znalazła jednak obiektu działań. Czechy i Słowacja proponowały potraktować ją jako forum współpracy gospodarczej. Węgry, Austria i Włochy eksponowały aspekty polityczne i gospodarczo-techniczne. Próbowano opracować konwencję praw mniejszości. Projekty przedsięwzięć gospodarczych, kulturalnych czy ekologicznych okazały się martwe. Żaden z ponad 120 projektów przygotowanych przez grupy robocze, nie wszedł w stadium realizacji. Spotkania polityków nie przynoszą konkretnych rezultatów. ISE przeżywa kryzys.

W marcu 1992 roku na konferencji ministrów spraw zagranicznych w Kopenhadze powstała Rada Państw Morza Bałtyckiego. W jej skład wchodzą Dania, Estonia, Finlandia, Niemcy, Litwa, Łotwa, Norwegia, Polska, Rosja, Szwecja i Komisja EWG. Ma to być forum wymiany opinii, wysuwania inicjatyw i koordynacji współpracy regionalnej. Zdaniem Rosjan, Rada może przyczynić się do poprawy sytuacji ekologicznej Morza Bałtyckiego i stać się strefą handlu i współpracy.

W lutym 1993 roku w Debreczynie przedstawiciele władz lokalnych i regionalnych Polski, Ukrainy, Słowacji i Węgier podpisali dokumenty ustanawiające Euroregion Karpacki. Władze centralne tych państw wyraziły akceptację. W Polsce MSZ i Urząd Rady Ministrów. Odbyło się to w obecności ministrów spraw zagranicznych i sekretarza generalnego Rady Europy. Powstanie Euroregionu zostało sfinansowane przez fundacje amerykańskie i japońskie. Miał to być wielki sukces polskiej dyplomacji. Ugrupowania prawicowe, głównie ZChN, potraktowały Euroregion Karpacki jako realizację planu demontażu granic Polski, osłabienia integralności politycznej i terytorialnej państwa, autonomizacji regionów i dezintegracji polityki zagranicznej. Dyskusja w Sejmie spowodowała, że parlament nie przyjął informacji ministra spraw zagranicznych na ten temat.

Polacy na Wschodzie i sprawa repatriacji

Współpraca i pomoc dla Polaków na Wschodzie ma charakter przypadkowy, nieskoordynowany, często zatrąca rewindykacyjnym charakterem. Jest to właściwie działalność charytatywna indywidualnych osób dobrej woli lub organizacji społecznych. Brak jest planu postępowania państwa, szczególnie we wspieraniu środowisk polonijnych na miejscu w tak doniosłej dziedzinie jak oświata czy pomoc w kształceniu

inteligencji i w przedsięwzięciach gospodarczych, które mogą podnieść status materialny i społeczny polskiej grupy etnicznej. Organizacje polonijne na Zachodzie też pozostają pasywne, mimo że przez lata stawiały sobie jako zadanie pierwszoplanowe pomoc rodakom na Wschodzie. Teraz są możliwości. Nie ma barier politycznych i ideologicznych.

W lutym 1993 roku rzecznik praw obywatelskich wystąpił do ministra spraw zagranicznych o przygotowanie organizacyjnych i prawnych zasad repatriacji Polaków z Kazachstanu i innych krajów byłego ZSSR. Zasady formalno-prawne przedsięwzięcia istnieją. Można je realizować w oparciu o ustawę o obywatelstwie polskim z 1962 roku.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych odniosło się do tej inicjatywy negatywnie, mimo że w 1989 r. K. Skubiszewski, kiedy jako kandydat na ministra spraw zagranicznych prezentował swoje zamierzenia na posiedzeniu sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, właśnie repatriację Polaków ze Wschodu traktował jako jedną z ważniejszych kwestii. Na deklaracjach się skończyło.

Perspektywy

Przedstawiony obraz jest niestety prawdziwy. Polska osamotniona na Wschodzie i na Zachodzie, bez wizji swego miejsca w świecie i Europie. Traktowana jak dziecko w trakcie rozwoju przez polityków zachodnich i z podobnym pobłażaniem przez polityków wschodnich. Polskie elity polityczne muszą zmusić się do wysiłku umysłowego i opracować przynajmniej podstawowe zręby poczynań Polski na arenie międzynarodowej. Okres czterech lat nowego kształtu ustrojowego naszego państwa nie powinien pójść na marne i służyć przynajmniej jako przestroga, że polityka, również zagraniczna, to coś więcej niż czysta gra o władzę. To przede wszystkim realizacja interesu narodowego.

A interes na Wschodzie to realizm w ocenie naszego miejsca i możliwości, bez demonstrowania posłannictwa, pouczania, megalomanii, przyspieszania procesu „transformacji demokratycznej". Współpraca ze wschodnimi sąsiadami powinna być prowadzona bez ksenofobii, bez prowokacyjnych aspiracji rewizjonistycznych i wzbudzania podejrzeń co do szczerości. Wykazywać należy, że mamy dobrą wolę bez jakichkolwiek ukrytych intencji. Powinna być prostolinijna. Może ją cechować rzeczowość, pragmatyzm, zasada dobrego

sąsiedztwa i konsekwentne poszukiwanie i powiększanie obszarów wspólnych, wzajemnie korzystnych interesów. Realizm w polityce wschodniej to traktowanie Wschodu takim jakim on jest w rzeczywistości. Fundamentem związków ze Wschodem powinna być teza Jerzego Giedroycia, że nasza sytuacja w Europie i na świecie będzie zależała od naszej pozycji na Wschodzie. Im będzie ona silniejsza, tym cenniejszym partnerem będziemy dla Zachodu. Polska jest Zachodowi tyle potrzebna, o ile ma dobre stosunki z Rosją i pomaga Europie z Ameryką wkomponować ją w większą całość.

Kontakty ze Wschodem muszą być oparte na szacunku dla zamieszkujących tam narodów. Szacunku dla ich historii, kultury, wartości duchowych i intelektualnych tkwiących w tych społeczeństwach, ich dorobku cywilizacyjnego. Nie neguje to zbiorowej pamięci o zbrodniach dokonanych tam w przeszłości na Polakach. Uwzględnić przy tym należy, że przez lata społeczeństwa te były też pozbawione możliwości decydowania o własnym losie, żyły w systemie totalitarnym. Trzeba uświadamiać i ugruntowywać wiedzę, że — szczególnie na terenie byłego ZSSR — reżim stalinowski skierowany był przeciw własnemu społeczeństwu, że ponosiło ono największe ofiary i nie można przyjąć, że naród rosyjski jest szczególnie podatny na wytwarzanie mechanizmów totalitarnych — od samodzierżawia carskiego, poprzez stalinizm, do dyktatur prezydenckich. Pytanie, czy można Rosję obciążać odpowiedzialnością moralną, polityczną i materialną za zbrodnie reżimu stalinowskiego powinno być poddane szerokiej dyskusji. Miejsca pamięci i martyrologii narodowej na Wschodzie muszą podlegać szczególnej opiece. Unikać należy przy tym instrumentalnego wykorzystywania przeszłości w bieżącej polityce.

Kluczowe znaczenie mają stosunki z Rosją. „Na współpracę z każdą Rosją jesteśmy skazani i należy te stosunki znormalizować, unikając jednak zarówno niepotrzebnej uniżoności jak i arogancji, a to, niestety, jest cechą polską", twierdzi J. Giedroyc. Rosja jest potężnym państwem, które ma interesy w całej Europie. Nie należy widzieć w niej kontynuacji imperium zła, ale aktora w polityce międzynarodowej. Trzeba patrzeć trzeźwo na jej politykę, stale ją obserwować, sprawdzać, czy i w jakim stopniu koliduje z naszym interesem państwowym.

Z polskiego punktu widzenia bliska współpraca z Moskwą musi być widziana także przez pryzmat stosunków polsko-niemieckich i niemiecko-rosyjskich. Nie jesteśmy w tym trójkącie najsilniejszym partnerem.

Głównym problemem w kontaktach z Rosją jest uniknięcie ponownej wasalizacji.

Współpraca w dziedzinie kultury jest tą dziedziną, gdzie możemy zaproponować szeroką ofertę, która zostanie przyjęta z zainteresowaniem przez inteligencję i kręgi intelektualne. Rozwijać należy kontakty między ludźmi, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą.

Ochrona i wspieranie Polaków na Wschodzie w oparciu o zobowiązania traktatowe i standardy międzynarodowe, w szczególności KBWE dotyczące mniejszości, powinna być obowiązkiem państwa. W kontekście sytuacji Polaków należy widzieć działalność kościoła katolickiego. Kościół rzymskokatolicki uwikłany jest w konstruowanie nowego postkomunistycznego ładu światowego. Stolica Apostolska nie przewidziała tak szybkiego rozpadu państw socjalistycznych. Na Białorusi, Ukrainie i w Rosji Watykan prowadzi ekspansywną politykę misyjną, głównie za pośrednictwem polskiego kleru. Antagonizuje to kościół prawosławny. Interesy Watykanu na tym obszarze nie zawsze pozostaną zbieżne z polską racją stanu.

We współpracy gospodarczej wystarczy zastosować zmodernizowany pozytywizm. Polska powinna wykorzystać potencjał naukowo-techniczny jaki posiada oraz swój atut cywilizacyjny jakim są możliwości kadry inżynieryjno-technicznej. Skierowanie gospodarki Polski na Wschód nie jest w interesie Zachodu, który woli te rynki zachować dla siebie. Jak dotąd jesteśmy skutecznie wypierani z naszymi towarami. Gdy my opuszczaliśmy rynki wschodnie nasze pozycje zajmowali Niemcy, Amerykanie i inni. Dostęp do nich jest zasadniczym elementem w strategii naszego rozwoju gospodarczego. Stworzenie strefy wolnego handlu z państwami za wschodnią granicą byłoby szansą na odzyskanie rynków. Miałoby również określone korzyści polityczne w kontaktach z Zachodem. Pewne inicjatywy, które pojawiły się ostatnio napawają optymizmem. W Warszawie powołano Światowe Centrum d/s Finansów i Handlu ze Wschodem. Istnieją również przedsięwzięcia lokalne. W Krakowie powstało Polsko-Ukraińskie Biuro Współpracy Regionalnej oraz Polsko-Ukraińskie Biuro Promocji Gospodarczej.

Warszawa, styczeń 1994 r.

Tadeusz KOSOBUDZKI

Instytut Chemii i Techniki Jądrowej

ogłasza rekrutację na

STUDIA DOKTORANCKIE

Czteroletnie studia doktoranckie w dziedzinie nauk chemicznych prowadzone będą w zakresie specjalności istniejących w Instytucie Chemii i Techniki Jądrowej, a mianowicie:
— chemii radiopierwiastków i efektów izotopowych,
— chemii związków koordynacyjnych,
— chemii metod rozdzielczych i analitycznych,
— chemii i biochemii radiacyjnej,
— chemii szybkich procesów,
— zastosowań metod jądrowych w badaniach chemicznych, materiałowych oraz dla potrzeb ochrony środowiska.

Do podjęcia studiów zachęcamy absolwentów wydziałów chemii, inżynierii chemicznej, fizyki, inżynierii materiałowej, biologii i medycyny oraz pokrewnych wydziałów wyższych uczelni.

Informujemy również, że Instytut oferuje zatrudnienie kandydatów w połączeniu ze skierowaniem na studia doktoranckie oraz daje możliwość uzyskania stypendium doktoranckiego w trakcie trwania studiów.

Osoby ubiegające się o przyjęcie na studia doktoranckie winny złożyć:
— podanie
— odpis dyplomu
— życiorys
— opinię opiekuna pracy magisterskiej lub zakładu pracy.

Przyjęcia będą się odbywały w sposób ciągły. Podania na pierwszy nabór można składać do dnia 1 czerwca 1994 włącznie.

Podstawą przyjęcia na Studia doktoranckie jest rozmowa kwalifikacyjna. Szczegółowych informacji udziela Sekretarz Studiów, dr inż. Jadwiga Krejzler, tel. 11-27-35 oraz Sekretariat IChTJ, 03-195 Warszawa, ul Dorodna 16, tel. 11-06-56.

Informacje na temat prac badawczych prowadzonych w IChTJ można uzyskać w Dziale Informacji Naukowo-Technicznej, tel. 11-25-78.

Dziennik pisany nocą

Neapol, 10 lutego 1994

Kongres Polonii Amerykańskiej wystosował list do przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych Kongresu USA, zaniepokojony „brakiem jakichkolwiek oddźwięków ze strony Administracji wobec imperialistycznej retoryki Jelcyna, Kozyriewa i innych członków grupy rządzącej w Moskwie". Do listu dołączone są: a) wybór cytatów z prasy i przemówień na temat „neoimperialistycznych ambicji Rosji", b) lista pytań, które „pomogą wyjaśnić nasze (polskie) wątpliwości w procesie nadzoru Kongresu nad władzą wykonawczą". Całość opracowana wzorowo, od razu widać wprawną rękę Jana Nowaka.

Wyobraźmy sobie, że dokumentacja robi piorunujące wrażenie i petenci ze środkowo-wschodniej Europy, ulokowani w poczekalni z napisem na drzwiach „Partnerstwo dla pokoju", zostają bezzwłocznie na życzenie Ameryki zaproszeni do salonu NATO jako nowi pełnoprawni członkowie Sojuszu. Wyobraźmy sobie dalej, że wkrótce potem umiera Jelcyn, a jego miejsce zajmuje Żyrynowski. Heller pyta w *Russkoj Mysli* „czy Rosjanie chcą wojny?". I odpowiada: wybory zdają się wskazywać, że czwarta część wyborców, głosując na Żyrynowskiego, popiera jego wojenny program. Rosyjski polityk-chuligan ostrzył sobie co prawda przedtem (w swojej książce) zęby na dostęp do Oceanu Indyjskiego, ale po objęciu urzędu prezydenckiego uznaje rzecz za ryzykowną i przenosi chwilowo „neoimperialistyczne ambicje Rosji" na nowych członków NATO ze środkowo-wschodniej Europy. Nad nowymi członkami NATO powinien się auto-

matycznie otworzyć potężny ochronny Parasol. Trochę się otwiera, ale natychmiast się zacina. Przywódcy Zachodu, wypróbowanym od czasów monachijskich sposobem, apelują do nas i nam bliskich, byśmy zachowali „rozwagę w imię uratowania pokoju". Tu zatrzymuje się moja wyobraźnia, której chore serce zaleca ostrożność.

Nie trzeba cofać się zanadto wstecz, aby uprawdopodobnić tego rodzaju scenariusz. Przyglądamy się dzień po dniu tragedii „Bośnia i Zachód". Patrzymy na to co się dzieje zrozpaczeni, wściekli, gorzko nauczeni że niczemu nie należy się dziwić (jedna tylko, poza Monachium i Jałtą naturalnie, analogia a mianowicie książka pastora amerykańskiego Davida Wymana *The Abandonment of the Jews* czyli *America and the Holocaust*), bezsilni wobec nieuleczalnej już impotencji Zachodu, kolosa, który co jakiś czas wypina mężnie piersi trzęsąc równocześnie portkami, który potrafi dobrze rozróżnić swoje „żywotne interesy" (nakazujące stanowczość i walkę) od „interesów cudzych uzasadnionych być może lecz drugorzędnych", który dziś blednie na widok Miloszewicza i Karadżicza, który na jugosłowiańskiej szachownicy dysponuje typową dla siebie figurą, laufrem z tytułem Lorda, przypuszczalnie wnukiem lub prawnukiem Neville'a Chamberlaina.

Zapewne oburzą się na mnie rodacy, gdy powiem otwarcie: nie jest tak ważne krzesełko w NATO, nie warto się tak dwoić i troić dla jego zdobycia, ważniejsze od narodowego rozmiłowania w mackiewiczowskich „sojuszach egzotycznych" jest skierowanie wszystkich prawie wysiłków na związanie się z grupą wyszehradzką (już zagrożoną prymusowskimi umizgami Klausa do tegoż legendarnego NATO), z krajami bałtyckimi, z Białorusią i — w pierwszym rzędzie — z Ukrainą. Jeżeli Moskwa zdoła przywrócić swoje panowanie nad Kijowem, Warszawa znajdzie się w stanie zagrożenia realnego.

13 lutego

Przeczytałem przyjacielowi z Krakowa zapis, który zamknął ubiegły rok w moim dzienniku. Była to aluzyjna przypowiastka o spóźnionym pociągu i o zawiadowcy centralnej stacji, który „przeprasza" za spóźnienie pasażerów; rozwścieczonych początkowo, głodnych, spragnionych, zziębniętych, a po „przeprosinach" gromko oklaskujących zawiadowcę w towarzystwie b. posła do parlamentu.

— Chodzi ci oczywiście o głośne „przepraszam" Kwaśniewskiego — powiedział mój przyjaciel, — ale jesteś niesprawiedliwy. Kwaśniewski był w latach komunizmu za młody, by unurzać sobie ręce po łokcie w brudnej i mokrej robocie ubecko-partyjnej.

Wtrąciłem uściślenie, na które mój przyjaciel skinął głową, mruknąwszy pod nosem „nie pamiętałem". Kwaśniewski „przeprosił" z sejmowej trybuny nie we własnym imieniu, skoro jako młodzieniec czuwał nad względnie niewinnym „sektorem sportowym". „Przeprosił" ofiary „krzywd i niegodziwości *władzy i systemu* przed 1989 rokiem". A to zmienia postać rzeczy. Takie „przeproszenie" jest, dla mnie przynajmniej niegodziwością. Przeprasza się za odwołanie przedstawienia w teatrze, za potrącenie w autobusie, za omyłkę w druku, za krzywdzące pomówienie, za nadepnięcie na palce partnerce w tańcu, a nie za zbrodnie. Za zbrodnie ponosi się karę. Ale Kwaśniewski woli widocznie trzymać się swojej, równie bezczelnej i cynicznej, formułki powyborczej „PRL to było *całe* społeczeństwo", co mu pozwala „przeprosić" rzadkie pokrzywdzone jednostki w monolitycznym społeczeństwie peerelowskim. I co może najbardziej zaskakujące, jego „przeproszenie" powitano pochwałami i oklaskami, jak w mojej przypowiastce. Ale, na dobrą sprawę, dziwić się temu? Przecież wyniki wyborów z 19 września zostały — z dwoma wyjątkami Jerzego Turowicza i Aleksandra Smolara w *Tygodniku Powszechnym* — przyjęte wzruszeniem ramion, jakby nic się nadzwyczajnego nie stało, ot zwykła demokratyczna *alternance*.

Najczęściej dziś chyba używanym słowem w Polsce jest „tożsamość". Zachowaliśmy „tożsamość"? Czy też gubimy ją, jak złoty róg Solidarności, w procesach zapoczątkowanych „okrągłym stołem" i stopniowym odzyskiwaniem suwerenności państwowej? Jeżeli takie pytania powstają, to wolno co najmniej mówić o kryzysie tożsamości. Doprowadziło do niego, według mnie, zamazywanie (począwszy od nieuchronnego „okrągłego stołu", tyle że niezdarnie i bojaźliwie rozegranego) przejścia od PRL do Trzeciej Rzeczypospolitej (mostem Jaruzelskiego w roli prezydenta RP*). Byłem i

* W Lublinie wychodzi kwartalnik *Ethos*, redagowany przez papieskiego doradcę, księdza Stycznia. Przysłano mi numer 2/3 z roku 1992 z racji przedruku w nim mojego tekstu *List Norwida do emigracji polskiej* z roku 1944. Znalazłem w tym numerze rozmowę z Andrzejem Gwiazdą. „Pierwszym aktem scenariusza, ustalonego w Magdalence (powiada Gwiazda), był spektakl telewizyjny pod nazwą 'okrągły stół'.

jestem nadal zdania, że po upadku komunizmu nieodzowna była wyraźna cezura, jak po upadku faszyzmu we Włoszech, połączona z jakąś formą epuracji, naturalnie w majestacie prawa a nie w ramach awanturnictwa politycznego. Antyfaszyzm stanowił podstawę nowych Włoch po referendum instytucjonalnym, odrodzona pod inną nazwą partia neofaszystowska (MSI, prekursor naszego SLD) stała się w parlamencie martwą siłą, nie braną w rachubę w głosowaniach i przy tworzeniu koalicji rządowych. Mimo żałosnego epilogu Pierwszej Republiki, uważam włoską cezurę postfaszystowską za słuszną i ważną. A u nas wyklęto z góry podobną cezurę postkomunistyczną, co więcej — uznano za niemożliwą do naśladowania czeską ustawę nawet nie tyle dekomunizacyjną, co osądzającą i piętnującą okres panowania komunizmu (i tak we mgle i w chaosie doszliśmy do 19 września 1993). Aleksander Małachowski, człowiek zdawałoby się rozumny i inteligentny (poznałem go w Warszawie w roku 1991), załatwia sprawę formułką: „Ustawa czeska była u nas widocznie niemożliwa, skoro nie powstała". Może to tak wygląda z wyżyn laski wicemarszałkowskiej w Sejmie. Tenże Małachowski (w styczniowym numerze *Kultury*) dodaje: „Szukajmy tego co nas łączy, a nie tego co nas dzieli". Złote to hasło obowiązywało również w Polsce międzywojennej i zaowocowało narodzinami BBWR (identyczną formację inspirował, w duchu analogicznej „filozofii", Wałęsa). Teraz, imitując sanację, Małachowski powinien jeszcze pomyśleć o drugim złotym haśle Polski międzywojennej: „Dozwolona jest tylko krytyka konstruktywna". Krótko przed wojną w *Gazecie Polskiej* zapomniał ktoś o tym haśle i nazajutrz czytelnicy wpatrywali się z osłupieniem w wielką białą plamę na pierwszej stronie organu rządowego. A Lec pokwitował rzecz fraszką: „Tak długo gryzł cenzor, aż się w własny ugryzł jęzor".

16 lutego

Wyszedł tu u Feltrinellego tom pośmiertnych opowiadań Kafki z moją przedmową. Z tego tytułu brałem dziś telefonicznie udział w rozmowie radiowej o tomie, który był dla mnie rewelacją, dla mnie wytrawnego niby „kafkisty". Rzecz

Rozpoczął Kiszczak programowym referatem, na który Wałęsa odpowiedział: 'Przyjmuję wszystko, co pan generał powiedział'. Te historyczne słowa uznane zostały za obalenie komunizmu".

w tym, że list zapraszający do napisania przedmowy zawierał listę opowiadań pośmiertnych, oczywiście dobrze mi znanych. Nie wiedziałem natomiast — i to jest właśnie rewelacja wydanego tomu, — że pośmiertne opowiadania Kafki wyłuskano z jego zeszytów, które germanistka wenecka przełożyła i filologicznie opracowała na podstawie świeżych zbiorowych edycji niemieckich.

A więc Kafka prowadził, prócz właściwego dziennika, dziennikową „filię" w postaci zeszytów, w których uprawiał albo swoistą grę, albo w naturalny i odruchowy sposób mieszał drobne zapiski z zarysami opowiadań. „Mieszał" nie jest określeniem ścisłym. Szkice opowiadań *wyrastały* z zapisków. To odkrycie podekscytowało mnie i (co tu ukrywać) uradowało: przecież ja coś bardzo zbliżonego robię od lat w moim dzienniku, nieświadomy że podziwiany przeze mnie pisarz postępował tak samo.

18 lutego

Fotograf amerykańsko-włosko-francuski Arthur (Arturo) Patten, zamiłowany portrecista, zabrał mnie na swoją wystawę w Instytucie Francuskim w Neapolu pod zabawną i dość oryginalną nazwą *Paristocrats*. Przeszło trzydzieści portretów arystokratów paryskich (anonimowych), w różnych układach: sami mężczyźni, same kobiety, pary. Obszedłem najpierw wystawę szybkim krokiem, dziwnie poruszony. Następny obchód był powolny, z długimi pauzami przystawania, każdy portret zaostrzał ciekawość, niektóre zachwycały. Pomijam wyborną technikę fotograficzną Pattena (jak naszego Bohdana Paczowskiego). Miałem wielką ochotę dowiedzenia się czegoś bliższego o modelach (niestety dyskrecja autora zaprzysiężona), co mi się dotąd nie zdarzało na wystawach fotograficznych. W pewnej chwili powiedziałem wręcz do Pattena: „Ta seria prosi się o opowieść towarzyszącą, tyle rozdziałów ile portretów". Jednocześnie miałem pewność, że moje wrażenia nie były związane z „arystokratycznością" fotografowanych, z pięknym wykrojem ich twarzy, wyrazistością oczu, szlachetnością rysów. Przed wizytą na wystawie Patten ofiarował mi swój rzymski album fotograficzny, w którym druga część pokazywała wyłącznie plebejskich mieszkańców Zatybrza, i wrażenia były identyczne, z tym że nie związany dyskrecją fotograf swobodnie opowiadał o modelach.

Wieczorem, przeglądając raz jeszcze zatybrzański album Pattena i wspominając wystawę *Paristocrats*, odkryłem w końcu sekret portrecisty: udało mu się stworzyć fotograficzny portret *otwarty*, tzn. taki który patrzącemu otwiera drogę do osobowości modela, gdy tymczasem większość portretów fotograficznych nie umie wyjść poza „studium podobieństwa plus tło" (piękne i pomysłowe lub dość zdawkowe). A portrety malarskie? Są *zamknięte*, lecz nie w tym sensie, że zamykają przed nami osobowość malowanej osoby; po prostu nadają jej autonomiczność innego rzędu i — czemu nie? — innego wymiaru.

17 lutego

List od Zbigniewa Florczaka. Wydaje książkę, której jądrem będą „grypsy" przysyłane z Warszawy do *Kultury* od roku 1968, pod pseudonimem Pelikan; i prosi o wstęp. Przypomina początki naszego korespondencyjnego kontaktu: to ja wysłałem do niego z Rzymu w roku 1947 zaproszenie do współpracy z ledwie założoną *Kulturą* (podobne listy wysłałem do dwóch przedwojennych znajomych z Warszawy, Gombrowicza i Straszewicza; po latach Straszewicz opowiadał mi jakim dla niego bolesnym przeżyciem było to zaproszenie — trafiło na okres jego absolutnej niemocy twórczej). Florczaka znałem wtedy z niezwykle stymulujących, nonkonformistycznych artykułów w *Wiadomościach*. Przyjął zaproszenie i w *Kulturze* zabłysnął kilkoma szkicami, oraz niezbyt według mnie fortunnym pomysłem Klubu Trzeciego Miejsca, zresztą połkniętym natychmiast przez żarłocznego Wańkowicza. Potem wrócił z Brukseli do Warszawy. W roku 1968 Jerzy Giedroyc otrzymał pierwszy tekst Pelikana. Teksty (doprawdy grypsy) przemycane były różnymi drogami. Giedroyc był nimi słusznie zachwycony i zachodził w głowę kto zacz. Jedyny to chyba wypadek, w stosunkach *Kultury* z pisarzami krajowymi, tak szczelnego i skutecznego zabezpieczenia pseudonimu. Na ogół pisarze współpracujący potajemnie z *Kulturą* i jej wydawnictwem książkowym nie wytrzymywali ciężkiego brzemienia pseudonimów, prędzej czy później rozszyfrowywali je sami aluzjami czy półsłówkami. Aleksander Wat, po napisaniu pod pseudonimem długiej przedmowy do polskiego tomu Terca (umierając ze strachu), rozesłał masę listów do przyjaciół z zapytaniem co sądzą o nowej gwieździe eseistyki polskiej nazwiskiem Stefan Bergholz. Stefan

Kisielewski sypał niedwuznacznymi aluzjami na temat Tomasza Stalińskiego, i uśmiechnął się kwaśno, kiedy mu opowiedziałem, że o napisanie powieści *Widziane z góry* podejrzewany jest (z mojego podszeptu) Putrament, któremu urządzono rewizję w domu podczas jego letniej wyprawy wędkarskiej nad Jeziora Mazurskie. Jerzy Pomianowski, przełożywszy doskonale Sołżenicyna pod pseudonimem, „cierpiał niewymownie", słuchając komplementów pod adresem nowego nikomu nieznanego tłumacza Michała Kaniowskiego. „Strach nami rządzi", mawiał Straszewicz. Należy dodać: i próżność.

Nie rządziła na pewno Pelikanem. Florczak pisze w liście do mnie: „Rozszyfrowałem mój pseudonim w liście do Giedroycia z roku 1984; był zaskoczony i zdumiony". Nic dziwnego. W Maisons-Laffitte nie było końca domysłom, zgadywaniom, hipotezom po każdym przylocie Pelikana; i nigdy nie padło w nich nazwisko Florczaka.

Podobał mi się bardzo z jednego przede wszystkim względu. Przy moim alergicznym stosunku do konceptu „zniewolonego umysłu" bliski mi był pisarz organicznie „odketmaniony", pogardzający cudownymi pigułkami „nowej wiary", niezależny i rozumny. Czasami próbowałem go sobie wyobrazić. Najczęściej miał wygląd i sposób bycia Jerzego Stempowskiego, zamyślonego na spacerach niespiesznego przechodnia, brzydzącego się „zwycięskim pochodem Historii", zbiegowiskami politycznymi, salonami i koteriami literackimi, wszelkimi postaciami kawiarnianej gadalni. Wychodził z domu wieczorem, szedł wolno ulicą pod ścianami domów pogrążony w analizie tego, co za dnia zauważył, przeczytał i przemyślał. Nocą szykował się do lotu Wolnego Ptaka do Maisons-Laffitte, w przeciwieństwie do swoich kolegów po piórze, którzy marzyli o snobistycznych pielgrzymkach do Paryżewa, by swoje „zniewolone umysły" skąpać i wzmocnić w blasku przeróżnych sławnych sartroidów, „im mądrzejszych tym głupszych".

18 lutego

Po południu odwiedził mnie Żiwago. Nie, nie duch doktora, żywy Żiwago.

Pytanie „skąd Żiwago w Neapolu?" zmusza w odpowiedzi do naszkicowania historii rodziny Dohrn. Anton Dohrn, niemiecki biolog, protoplasta neapolitańskiej gałęzi rodziny

(książkę o nim napisał pierwszy prezydent RFN Teodor Heuss), założyciel neapolitańskiego Akwarium, jednego z najbogatszych na świecie, ożenił się w zeszłym stuleciu ze spotkaną na Sycylii panną Baranowską. Panna Baranowska była córką Polaka z pochodzenia, prawie całkowicie zruszczonego, riazańskiego gubernatora, którego car pozbawił urzędu i skłonił do wyjazdu za granicę z winy jego siostry, nagle nawróconej (i to gorliwie) na polskość. Panna Baranowska zakochała się w młodym niemieckim uczonym, jej ojciec chcąc nie chcąc zgodził się na małżeństwo i pobłogosławił je wysokim posagiem dla córki. Anton za ten posag zbudował Akwarium w Neapolu. Pani Dohrn-Baranowska też w pewnej chwili zapaliła się do polskości, przełożyła dzieło Kalinki, co nawiasem mówiąc drażniło raczej jej niemieckiego męża. Ich syn Rinaldo (przyjaciel Stanisława Vincenza) przygotowywany był na następcę u steru Akwarium. Ojciec poznał w jednym z niemieckich kurortów młodą Rosjankę, którą w myślach przeznaczył na żonę dla syna. Nazywała się Tatiana Romanowna Żiwago. Doszło do ślubu, młodzi państwo Dohrnowie zamieszkali w Neapolu (chodziliśmy czasem do ich domu z wizytą, zdaje się że raz opisałem w dzienniku kolację uświetnioną kwartetem uczonych noblistów, grających bardziej na nerwach słuchaczy niż na swoich instrumentach). Ale było to już po śmierci Tatiany Romanowny, a krótko przed śmiercią Rinalda. Ich córka mieszka dalej w Neapolu i zaprosiła teraz z Moskwy młodego człowieka z rodziny matki.

Nikołaj Aleksandrowicz Żiwago zbliża się do pięćdziesiątki, jest z wykształcenia italianistą i anglistą, tłumaczem włoskich książek i tłumaczem na włosko-rosyjskich sympozjach, a z zamiłowania skrzypkiem. Wykłada italianistykę w dwóch moskiewskich szkołach wyższych, należy (jako tłumacz) do moskiewskiego związku literatów, był „doradcą językowym" Lubimowa na Tagance. Towarzyszy na ogół rosyjskim orkiestrom i zespołom operowym w wyprawach do Włoch, a w Moskwie pilotuje zazwyczaj włoskich muzyków i śpiewaków. Jednym słowem, wielka dla mnie gratka: od dawna chciałem porozmawiać z młodym stosunkowo przedstawicielem inteligencji rosyjskiej.

Głównie o polityce. Okazało się, że mamy dość podobne poglądy. Zrobił na mnie spore wrażenie jego spokój, zawsze budzi to moje odruchowe zaufanie. Gorbaczow? Złoty medal za *głasnost*, natomiast *pieriestrojka* nie wyszła poza stadium zamętu i improwizacji. Niewątpliwie maczał palce w sierpniowym puczu. Jelcyn? *Niestety* nie ma nikogo

lepszego, każda alternatywa byłaby gorsza. Żyrynowski? Pajac, ale niebezpieczny w sytuacji ogromnego niezadowolenia materialnie poszkodowanych (jak w Polsce, biedni stają się coraz biedniejsi, bogaci coraz bogatsi), ale nie przywiązujących żadnej wagi do wojennych planów Wodza (nie zgodziłby się z tym zapewne Michał Heller). Za szybko rozwiązano Związek Sowiecki, ale czy można to było zrobić w zwolnionym tempie, stopniowo? Podstawą wszystkiego jest kwestia cierpliwości, nie ma mowy o biegu na przełaj, o trójskoku z komunizmu do demokracji. Groźby wybuchu? Tylko w wypadku, gdyby zostały użyte środki przymusu w stosunku do robotników i kołchoźników, przywykłych do zasady (znanej także po rosyjsku) „udają że płacą, udajemy że pracujemy". W sumie nieruchoma od dziesięcioleci sadzawka, w której podniesiono naraz upusty: wycieka czarna, brudna, zamulona woda, dopiero przyszłe pokolenia zobaczą czyste pasma.

Żiwago mówił też, nie wiem na ile zasadnie, o dużym odłamie bardzo zdolnej i ofiarnej młodzieży, obok masy młodzieżowego chuligaństwa. I o pisarzach rosyjskich, którzy postanowili zostać za granicą, jeżdżąc co pewien czas na krótko do kraju. Ideałem jest dla niego Sołżenicyn: czekał na możliwość powrotu na stałe i wraca. Ostro o Siniawskich i (co mnie zmartwiło) o Maksimowie: łatwo z Paryża wieszać psy na wszystkim i wszystkich. Za to paryska *Russkaja Mysl* jest poczytna, a nawet popularna.

21 lutego

Wczoraj turyńska *La Stampa* przedrukowała moją przedmowę do nowego włoskiego wydania *Innego Świata* (Feltrinelli). Dziś *Unità*, b. organ b. partii komunistycznej, poświęciła książce całą stronicę. Recenzję napisał, i rozmowę ze mną przeprowadził, Goffredo Fofi. O nim chcę parę słów powiedzieć, to najbliższy mi teraz włoski przyjaciel (naturalnie, obok Francesco Cataluccio). W tym pięknym, miłym i równocześnie okropnym (politycznie) kraju — superchadek Andreotti, niegdyś prawie pokojowy każdego papieża, był najpopularniejszym politykiem we Włoszech, podziwianym za to że nikomu nigdy nie udało się złapać go na gorącym uczynku, chociaż o „uczynkach" dobrze wiedziano; teraz po wykryciu łapówkarstwa i korupcji, *tangentopoli* w której głównymi protagonistami okazali się zachłanni, nienasyceni

chadecy i socjaliści, oraz o wiele od nich chytrzejsi ex-komuniści, teraz odwróciło się o 180 stopni i plucie na Andreottiego stało się narodowym sportem — otóż w tym pięknym, miłym i równocześnie okropnym (politycznie) kraju miałem szczęście do przyjaciół mądrych, szlachetnych i czystych. Najpierw Chiaromonte i Silone. Po ich śmierci Cataluccio (od dość dawna), świetny polonista i eseista, przyszły autor najlepszej książki o Gombrowiczu; i Fofi (od niedawna stosunkowo), znawca literatury, teatru i filmu, niewiarygodny pożeracz książek, redaktor miesięcznika mediolańskiego *Linea d'ombra* (conradowska „smuga cienia") i neapolitańskiego *Zazà*, niestrudzony podróżnik, który większą część życia spędza w pociągach, przemierzając wzdłuż i wszerz Włochy, w pogoni za nie cierpiącymi zwłoki węzłami społecznymi i inicjatywami kulturalnymi, tak zawsze ofiarny i bezinteresowny, że trudno uwierzyć iż jest Włochem (urodził się w cudownym umbryjskim Gubbio). Jako włoska *rara avis* przypomina niekiedy Jerzego Giedroycia; to samo upodobanie do słowa „trzeba", ta sama ruchliwość, wielostronność spojrzenia, żyłka natychmiastowego działania bez myśli o oszczędzaniu sił. Jest grubo młodszy od Giedroycia, więc przychodzi mu to łatwiej.

Z jego wywiadu przytoczę moją ostatnią odpowiedź na pytanie o emigrację. Czy mogliśmy kiedyś oczekiwać, że coś takiego ukaże się na łamach *Unità*?

„Jeśli chodzi o emigrację polską w powojennej Europie, było to doświadczenie niezwykłe i bardzo ciężkie, bo ciężkie jest życie emigranta, ale to co zdołał zrobić nasz paryski miesięcznik *Kultura* i wydawnictwo książkowe *Kultury* było rzeczą niewiarygodną, graniczącą z cudem. Wpływ *Kultury* na sprawy polskie był ogromny; kiedy wszystko się zmieniło, spotykało się młodszych od nas ludzi z Polski, którzy mówili: „Wychowaliśmy się na *Kulturze*". Pismo wychodzi jeszcze w Paryżu, gdyż sytuacja w Polsce tak się pogmatwała, że ważne jest istnienie pisma *poza* tym zamętem. Tak więc, gdy ja mówię o wygnaniu, nie mogę powtórzyć za Miłoszem, który zjawił się tutaj później, o cierpieniu emigranta. Ja wierzyłem w sens i konieczność emigracji. W jedną tylko rzecz absolutnie nie wierzyłem: że zobaczę na własne oczy upadek reżymu komunistycznego".

22 lutego

Telewizyjne reportaże z Bośni pchnęły mnie do oglądania wieczorem *Los Desastros de la Guerra* Goyi. Wir okrucieństwa wojennego w Hiszpanii jest przez malarza pomyślany (czy rozkręcany) tak, by z ludzi wycisnąć człowieczeństwo do ostatniej kropli, zostawiając im same umęczone, sponiewierane, torturowane ciała, bez nikłych bodaj prześwitów duszy. W tym odczłowieczeniu, zezwierzęceniu, Goya pokazał całe swoje mistrzostwo, jak gdyby rękami miesił bezkształtną już materię, gorącą wojenną lawę, która pochłania wszystko co po drodze napotka.

Najsłynniejszy jest sztych, przedstawiający trupa, który ze zgniłymi już nogami wywleka się z grobu i, odwróciwszy głowę, pisze na arkuszu papieru słowo *nada*, nic. W tle tłok przekrzywionych odrażająco twarzy, na lewo kobieta z wagą sprawiedliwości. Podpis malarza: *Nic, mówi*. Ponieważ wydawał się bezbożnym twierdzeniem, że po tamtej stronie życia rozpościera się „nic", zmieniono go na: *nic, powie*, co miało być (ale czy było?) aluzją do okrutnej, bezużytecznej, bezpłodnej wojny. Pewna jest w sztychu waga sprawiedliwości, przesłonięta — wyjaśnia uczony autor komentarzy — „larwami obskurantyzmu i przemocy". Śmiem wątpić, czy o to chodziło Goyi. Dla mnie to *nada* jest strasznym krzykiem wojennego nihilizmu.

Cykl zamyka sztych nazwany przez malarza *Fiero monstruo!*, okrutny potwór; bestia wojny wymiotuje swoje ofiary. Może jesteśmy w tym stadium jatki bośniackiej...

25 lutego

W wystąpieniu na jednym z uniwersytetów amerykańskich Vaclav Havel podał przykład „koszmaru komunizmu": gdy był inwigilowany przez policję polityczną, albo po którymś z wyroków wychodził z więzienia, przyjaciele i znajomi omijali go na ulicy, odwracali głowy, unikali „kłopotliwego" czy „niewygodnego" spotkania z nim, obawiając się szykan policyjnych. „Koszmar post-komunizmu", według Havla, polega na podobnej postawie państw demokratycznych wobec krajów środkowo-wschodniej Europy; są „kłopotliwe", „niewygodne", lepiej odwracać głowę i przechodzić na drugą stronę ulicy.

Brodski odpowiedział prezydentowi Republiki Czeskiej listem otwartym w *The New York Review of Books*. Odpowiedział, przeplatając naiwnościami wnikliwe i trafne refleksje. Po pierwsze, nie jest wcale pewne, że przyjaciele i znajomi

Havla unikali go ze strachu o własną skórę; jest prawdopodobne, że widzieli w nim raroga, człowieka chorego w zdrowym i stabilnym społeczeństwie. Lepiej dać wreszcie spokój „komunizmowi" i innym „izmom", aby spojrzeć prawdzie w oczy. Prawdą zaś jest to, że „niezwykłe antropologiczne cofnięcie zaszło w naszym świecie w obecnym stuleciu, niezależnie od tego kto je wywołał, czy co je spowodowało". W ludzkim sercu otworzyła się nagle przepaść, i to ona pochłonęła uczciwość, współczucie, poczucie obywatelskie, sprawiedliwość. Naszym oczom odsłoniła się powszechna prawie „wulgarność serca". Być może, istnieje proporcjonalny związek dobroci człowieka i wadliwości jego instytucji. Jeśli go nie ma, wypada uznać że człowiek nie jest tak dobry, jak sądzono w stuleciu Rousseau, Fouriera, Proudhona. Więcej mądrości tkwi w pamiętaniu o grzechu pierworodnym, w świadomości że „człowiek jest niebezpieczny", niż w uleganiu złudzeniom, że to komunizm i inne „izmy" zatruły nasz wiek. A skoro człowiek jest raczej zły niż dobry, po jakie sięgnąć remedium? Można go uczynić lepszym z pomocą wielkiej literatury. Prezydent Havel powinien — czy to w drodze głosowania parlamentarnego, czy to w drodze dekretu specjalnego — zobowiązać gazety czeskie do drukowania codziennie w odcinkach Prousta, Kafki, Faulknera, Płatonowa, Camusa i Joyce'a. Coś pokrewnego pamiętamy z noblowskiej mowy Brodskiego. Poezja jako cudowna maść na diabelskie ciągoty dwunożnego stwora, który ośmiela się paradować w anielskiej aureoli *homo sapiens*.

Odpowiedź Havla na list Brodskiego jest wzorem przejrzystości i skromnego (na szczęście) zmysłu rozwagi intelektualnej. Jakkolwiek krótka, zyska na większej jeszcze kondensacji.

Doświadczenia osobiste obu korespondentów były bardzo podobne, ale różniły się znacznie ich kraje ojczyste. W Czechosłowacji, począwszy od 1968, ludzie zaangażowani w rodzaju Havla nie uchodzili za chorych w zdrowym i stabilnym społeczeństwie; większość społeczeństwa była co prawda zalękniona, lecz w „szarej zonie" społecznej (wyrażenie Havla) tęskniła w głębi serca do tych samych ideałów. Wrosła bowiem korzeniami kilku pokoleń w *instytucje* demokratyczne monarchii austro-węgierskiej i Pierwszej Republiki Masaryka. Miała do czego tęsknić. W ojczyźnie Brodskiego natomiast brak takich tradycji czynił z działania garstki „dysydentów" trud pionierski w atmosferze ogólnej uległości czy obojętności. Jest zatem dość prawdopodobne,

że powszechna „wulgarność serca" zaliczała rzadkich pionierów do rzędu chorych. Jeśli nie można czerpać, choćby nostalgicznie, z dorobku instytucji społecznych i rządów prawa, nie ma sensu szukać wytłumaczenia dla totalitaryzmu (wczoraj), a dla chaosu, dezorientacji, urodzaju na ekstremizmy (dzisiaj) w skażeniu ludzkiego serca grzechem pierworodnym. Długi proces *społecznego* „oswajania" (stosowne słowo) „złego i niebezpiecznego człowieka" jest czymś w rodzaju angielskiej pielęgnacji trawników, twardych i puszystych jak dywany po latach przycinania i podlewania.

3 marca

Wielu zarzuca mi przecenianie czynnika strachu w komunistycznym władaniu. Zwłaszcza w wypadku ludzi wykształconych, inteligentnych, niekiedy tzw. intelektualistów, u których motywy wiary (nowej czy nie), lub zwodzenia tyrana (ketman) odgrywają większą rolę od topornego, prostackiego strachu. Właśnie „prostackiego", skoro wymówki pod moim adresem zawsze kończyły się zdaniem „upraszczasz ciężką ręką uczucia bardzo złożone, wymagające subtelności w analizie".

Odpowiadałem i odpowiadam na te zarzuty, znajdując coraz więcej potwierdzeń dla moich odpowiedzi: rzecz w tym, że strach pod panowaniem komunizmu nie był zwykłym strachem, jaki wywołuje wyraźne zagrożenie; był strachem pełzającym, wszędobylskim, wciskającym się przez „szczeliny istnienia" (żeby posłużyć się określeniem Jolanty Brach-Czaina), często nieuchwytnym, a więc trudnym do opanowania, robiącym z igły widły, krócej — opartym na zasadzie „wszystko może się okazać podejrzane, a co jest naprawdę podejrzane nie daje się bezspornie przygwoździć". W zatrutej atmosferze niepewności, drobiazgów urastających nagle do ogromnych rozmiarów, słówek które stają się SŁOWAMI, nie może nie następować stopniowo „permanentne drżenie osobowości" (moje określenie). Taka jest istota strachu wsączanego przez komunizm u władzy do duszy ludzkiej i do tkanki społecznej. Walka z nim wydaje się walką z cieniami czy duchami aż do chwili, gdy cień czy duch przybiera znienacka postać groźnego prześladowcy. Za co zostałeś skazany?, pytano nowoprzybyłych do cel w więzieniach sowieckich. Odpowiedź typowa brzmiała: za słowo.

Z otwieranych coraz szerzej archiwów sowieckich wydo-

byto pamiętniczek moskiewskiej sekretarki Togliattiego (1941-1944). Nina Delnowa Boczenina, żona oficera Czerwonej Armii, była kobietą skromną, dość przystojną, bardzo sentymentalną. Przychodziła codziennie do swojego szefa, który mieszkał i pracował w słynnym hotelu *Lux*. Rzecz jasna, nie mogła nie współpracować z policją. Ale zakochała się w Togliattim, „ubóstwiała" go, a on odczuwał dotkliwie swoją męską samotność. I oto przez trzy lata, dzień w dzień, siedzą naprzeciw siebie w pokoju hotelowym sparaliżowani: pracują naturalnie, ale wiedzą że każdy kamyczek nieostrożnego słowa lub gestu może się zamienić w głaz oskarżenia. I Togliatti i Nina muszą oczywiście wyspowiadać się co jakiś czas przed kominternowskim NKWD, nie mówiąc o „rodzynkach" mikrofonów w ścianach pokoju. Drobny, i stosunkowo łagodny, przykład komunistycznego strachu.

Wielkim przykładem jest cały *Lux*, wyburzony już pięciopiętrowy hotel dla zagranicznych działaczy komunistycznych w Moskwie. Wybitny dziennikarz i publicysta włoski Enzo Bettiza, który w swojej karierze kilka lat przemieszkiwał w Moskwie jako wysłannik *Corriere* (w latach pięćdziesiątych, kiedy istniał jeszcze *Lux*), mój przyjaciel z czasów *Tempo Presente* (przysyłał nam regularnie z Moskwy bardzo ciekawe fragmenty *Diario di Mosca*, dziennika moskiewskiego), podarował mi ostatnio swoją pasjonującą powieść *I fantasmi di Mosca* („Moskiewskie duchy"). Dwa tysiące stron w jednym tomie. Bohaterem powieści jest *Lux* w roku 1936, po pierwszym procesie moskiewskim. Setki lokatorów wszystkich narodowości (wśród nich Dymitrow i Togliatti), dramatyczna pajęcza sieć, w którą od czasu do czasu wpadają upatrzone ofiary. Cały *Lux* to strach, strach w stanie stężonym. Opowiadano mi — w powieści Bettizy tego nie ma, — że komunista niemiecki Wilhelm Pieck (późniejszy pierwszy prezydent NRD) nazywany był „grabarzem": jeśli przestawał się komuś odkłaniać na korytarzu, albo bez słowa odkładał słuchawkę po czyimś telefonie z pokoju hotelowego, oznaczało to bezbłędnie, że nie chce mieć do czynienia ze współmieszkańcem *Luxu*, przeznaczonym już na „rozwałkę", do grobu.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Skok z wybuchem, czyli środki pozoracji

Jesienią roku 1950 na ścianach hallu Collegium Novum pojawił się różowy arkusz brystolu. Odręcznie wypisane kredką ogłoszenie zawiadamiało o obowiązkowym szkoleniu wojskowym dla wszystkich studentów 1-go roku. Była to całkowita nowość. Momentalnie też poczęto szeptać ze zgrozą, że teraz nie ma już mowy o wakacjach! Każdego lata pojedziemy na trzymiesięczne poligony, aż do jesieni.

W tamtych czasach każdą administracyjnie narzuconą nowość traktowano nieufnie. W gruncie rzeczy jednak wiadomość tę przyjąłem z ulgą. Zanosiło się, że służbę wojskową odbywać będę na uniwersytecie, w gronie kolegów, w postaci bez porównania znośniejszej od tradycyjnego wypełniania zaszczytnego obowiązku wobec Ojczyzny Ludowej w koszarach.

Wszystkich studentów 1-go roku podzielono na kompanie, według wydziałów. Znaleźliśmy się więc w kompanii „historycznej" wraz z badaczami dziejów pisanych, miłośnikami sztuki i muzykologii. Na początkowym zebraniu oznajmiono nam, że dopiero po trzech latach pojedziemy na miesięczny poligon, a po jego zaliczeniu otrzymamy stopnie oficerskie. Nie zapowiadało się więc najgorzej. W ciągu nadchodzących trzech lat niejedno przecież może się wydarzyć.

Nasz stosunek do wojska był ambiwalentny. Armia z pozbawionymi korony orzełkami na okrągłych, niezgrabnych czapach, zastępujących rogatywki, dowodzona przez sowieckiego marszałka z sardonicznie uniesioną brwią na nalanym obliczu nie miała nas bronić przed tym, co budziło na co dzień lęk i odrazę. Wręcz przeciwnie, przeznaczona była do

utrwalania tego co nas otaczało i wiernej służby obcym, których garnizony panoszyły się w naszym kraju coraz bezczelniej. Z drugiej strony pozostawał cień infantylnej nadziei, że przy okazji tej służby nauczymy się wojennego rzemiosła, które — kto wie, może się kiedyś przydać. Jednak szkolenie, realizowane na Studium Wojskowym rychło miało nas wyleczyć także i z takich złudzeń.

Naszą kompanią dowodzić miał zrazu wysoki, szczupły, młody człowiek ostrzyżony na jeża, o pociągłej twarzy i wydatnym, ptasim nosie. Spod jasnego prochowca ściągniętego paskiem sterczały wojskowe spodnie. Przez ramię nosił grubo wypchaną, żółtą raportówkę. Ten rosły student I roku historii był absolwentem S.O.R. — Szkoły Oficerów Rezerwy. Ukończył ją w stopniu chorążego. Gdy jako cywil wstąpił na studia, przypomnieli sobie o nim i jego kolegach organizatorzy uczelnianego Studium Wojskowego. No i stanął teraz przed nami ten zadzierzysty chorąży-sorowiec. Apodyktycznym tonem oznajmił, że wojsko w znacznej mierze polega na hałasie i wrzasku, do czego musimy przywyknąć. Z miejsca też zaczął wywrzaskiwać komendy. Czynił to tak ogłuszająco, że nikomu nie przypadł do gustu. Miejsca wśród nas długo nie zagrzał. Po dwu tygodniach rozkaz Rokossowskiego na powrót zgarnął biedaka do służby czynnej. Rozkaz ten zakończył zresztą karierę cywilną dziesiątków świeżo upieczonych absolwentów S.O.R.-ów i zniweczył ich życiowe plany.

Zajęcia dla każdej kompanii odbywały się zrazu co tydzień, a potem co dwa tygodnie, przez cały dzień, z przerwą na obiad. Początkowo wszyscy obowiązek uczęszczania na ćwiczenia wojskowe zlekceważyli. Naraz jednak na ścianach Collegium Novum wywieszono gigantyczne wykazy „studentów skreślonych z listy studiujących za nieuczęszczanie na zajęcia Studium Wojskowego". Ponieważ obejmowały one praktycznie nieomal wszystkich mężczyzn z I-go roku, nikt się tym nie przejął. Zwołano wówczas dla niesfornego żołdactwa uniwersyteckiego wspólne zebranie. Tłum wypełnił nie tylko salę Kopernika, lecz przyległe korytarze oraz schody. Był wczesny wieczór jesienny, płonęły lampy. Wśród zagrożonych relegowaniem panowała atmosfera beztroskiego rozprężenia, znana z dziejów wszystkich armii świata. Przemówił dowódca uniwersyteckiego Studium Wojskowego. W gorzkich słowach napiętnował naszą lekkomyślność wobec łaskawości ustaw państwa ludowego, oferujących nam ulgowe odbycie służby wojskowej, tego zaszczytnego obowiązku. W rezultacie jednak całą kwestię zawiesił: nie wiem, co z wami robić. Tłum milczał obojętnie, głupawo się uśmiechając. Ani pułkownikowski mundur złożony z pozbawionej pasa głównego kurtki i baniastych bryczesów wpuszczonych w harmonijkowate cholewy, ani słowa godne zatroskanego ojca z pozytywistycznej noweli dla młodzieży nie zrobiły na nikim wrażenia. Ogłoszono więc po chwili, że jeszcze tym razem wyjątkowo nie zostaniemy wyrzuceni z uniwersytetu. Od początku i tak nikt w taki finał nie wierzył. Frekwencja na zajęciach poprawiła się jednak znacznie. Zorientowano się, że Studium Wojskowe traktowane jest przez władze poważnie, mimo że sama istota tego szkolenia nie miała na ogół z powagą nic wspólnego.

Stanowiło integralną część naszego życia studenckiego, dostarczając nam specyficznych doświadczeń. Było w jakimś sensie także odbiciem ówczesnej rzeczywistości, chorej, kalekiej, mitomańskiej, posługującej się pozorami działania przy wtórze hałaśliwej propagandy. Obejmowało wszystkich mężczyzn z wyjątkiem tych, którzy uzyskali zwolnienie lekarskie. Było o nie jednak bardzo trudno. Lekarze z komisji wojskowych najwyraźniej traktowali szkolenia uczelniane za rodzaj niegroźnej dla zdrowia zabawy w żołnierzy. Na studiach medycznych szkoleniu podlegały także dziewczęta.

Instruktaż wojskowy, powierzchowny i stanowiący ową grę pozorów zarówno dla studentów, jak i zawodowych oficerów, zabierał jednak pewną ilość czasu. Podobnie zresztą jak przymusowe zajęcia i egzaminy z osławionych przedmiotów ideologicznych, również niezbyt poważnie egzekwowanych. Przede wszystkim jednak było to uciążliwe w okresie sesji egzaminacyjnych i dostarczało wówczas niepotrzebnych, dodatkowych stresów. Z drugiej strony nie wydaje mi się, by w owych przedmiotach wojskowo-ideologicznych tkwiła główna przyczyna umysłowej miałkości, cechującej w tym czasie liczne rzesze młodzieży podejmującej studia wyższe. To nie tyle brak czasu, co brak podniet do samodzielnego studiowania i dostępu do oryginalnych źródeł wiedzy w Polsce początków lat 50-tych w połączeniu z ogłupiającą dyscypliną uczęszczania na każdy wykład stwarzały atmosferę upokarzającej szkółki. Nieszczęsne Studium Wojskowe udział w tym miało niewielki. Atmosferę panującą wokół tej instytucji można było określić jako groźną, ale niepoważną. Z faktu tego zdawali sobie zapewne sprawę co najmniej niektórzy nasi ówcześni oficerowie-instruktorzy. Machina wojskowa najwyraźniej nie była przygotowana do realizacji uczelnianych

szkoleń militarnych, stawiając kadrę dydaktyczną Studium Wojskowego w niezręcznej, lub czasem wprost komicznej sytuacji. Zresztą dobór instruktorów tylko wyjątkowo był szczęśliwy. Oczywiście dla ludzi tych praca w dużym uniwersyteckim ośrodku stanowiła okoliczność nader korzystną. Na pewno ciekawszą od pobytu w prowincjonalnych koszarach na Pomorzu czy Mazurach, nie mówiąc już o letnich, osławionych „zielonych garnizonach". Ten walor, mam nadzieję, równoważył naszym uniwersyteckim instruktorom wojskowym liczne niemiłe incydenty, a nawet upokorzenia. Doświadczać ich musieli, kierując tylko bardzo luźno podlegającymi ich rozkazom tłumami studenckiej czeredy. Ci ostatni upatrywali sobie za punkt honoru ośmieszenie i wyprowadzenie w pole nieszczęsnego oficera. Już same realia, w jakich przyszło ćwiczyć uniwersytecką siłę zbrojną bywały tak karykaturalne, że potrafiły przyprawiać o paroksyzm gniewu nawet najbardziej wytrzymałego psychicznie dowódcę.

W dniu szkolenia trzeba było stawić się w Collegium Novum już o siódmej rano. Początkowo nie mieliśmy żadnych mundurów. Z tygodnia na tydzień robiło się coraz zimniej. Ci, których było na to stać, odziewali się ciepło, lekko i sportowo. Większość studenterii przychodziła jednak w wyświechtanych garniturach i paltotach, otulając szyje grubymi szalikami. Wreszcie przydzielono Studium Wojskowemu cienkie, bawełniane kombinezony robocze, w kolorze oliwkowym i granatowym. A po paru tygodniach także niezgrabne, brezentowe furażerki bez orzełków, jakie nosili junacy ówczesnej Służby Polsce. W tych nowych, jeszcze z metkami fabrycznymi kombinezonach przyszło zresztą naszej kompanii rzucać się na rozmiękłą trawę Błoń i pełzać w zimnym, jesiennym deszczu. W ciągu pierwszych 10 minut ulewa przemoczyła nas całkowicie i było nam już wszystko jedno. Wykonaliśmy zatem komendę w błotnistej mazi z taką determinacją, że wzbudziło to uznanie nawet w zgorzkniałym oficerze-instruktorze. Cóż, kiedy po takich brutalnych próbach mokrą odzież ochronną imitującą mundury wieczorem rzucano niedbale na stertę w magazynie uniwersyteckim. Szybko zaczynała tam butwieć. Nazajutrz przychodziły na zajęcia kolejne kompanie z innych wydziałów. Dyżurni studenci ze wstrętem wynosili na korytarze lub podwórze kupy coraz brudniejszych, pokurczonych łachów. Wybierano zatem w pośpiechu, wprost wyrywając sobie z rąk takie egzemplarze kombinezonów, w które można było wbić się mniej więcej swobodnie, wraz z ciepłą kurtką lub nawet

jesionką. Guziki z trudem dopinały się, o ile jeszcze były. Najczęściej z obcisłego, rozchełstanego, brudnego kombinezonu kipiał zatem tułów nieszczęsnego żołnierza uniwersyteckiego. Jego właściciel z trudem mógł podnosić w górę ramiona. Nogawki bardzo często kończyły się tuż za kolanem. Nad tłumem tych niby-wojskowych postaci unosił się zaduch zatęchłej odzieży. Znawcy dodawali, że miesza się on z zapachem smaru wrzecionowego do konserwacji broni i legendarnego płynu „szczołocz", który też jakoby do takich celów miał służyć. Nigdy go zresztą na oczy nie widziałem. W każdym razie póki zima i mróz zmuszały do wkładania na ćwiczenia grubej odzieży, studenckie oddziały, wbite w pokurczone kombinezony musiały z konieczności wyglądać tołubiasto.

Szyki sprawiano na podwórku Collegium Novum, lub przed budynkiem, na Plantach. Nowym dowódcą kompanii, po odesłanym w trybie pilnym do koszar zwolenniku tubalnych komend, został kolejny absolwent oficerskiej szkoły rezerwy. Krępy, niski student historii o czerwonym, wysmaganym przez zimno i słoty obliczu wiejskiego chłopaka. Starał się spełniać swoją funkcję w miarę rzetelnie, by nie podpaść kadrze oficerskiej, a zarazem nie narazić się kolegom. Pomagał mu w tym wysoki, niezgrabny, poczciwy i dość nieśmiały drągal z tego samego kierunku studiów i o podobnej przeszłości wojskowej. Najwyraźniej narzucono im dodatkowe obowiązki, z którymi musieli godzić normalne powinności studenta. Nie entuzjazmowali się swoją rolą pseudodowódców w tym wojsku na niby.

W dniu ćwiczeń przed południem zawsze maszerowaliśmy na zajęcia w terenie. Wykłady odbywały się po obiedzie, w gmachu uniwersyteckim. Szliśmy więc czwórkami ówczesną ulicą Manifestu Lipcowego w kierunku Błoń. Sina, zimna mgiełka poranna spowijała Kopiec Kościuszki. Z trudem przebijały się przez nią promienie słońca. Dzwonił niecierpliwie tramwaj, zmierzający w kierunku Cichego Kącika, gdy niezdarna kolumna tarasowała szyny. Lewa wooolna! — wrzeszczał dowódca-student, obiegający człapiącą gromadę. Szarą, tanią jesionkę zapiętą miał pod samą szyję. Ale zaczerwienionych uszu nie mogła mu chronić już biaława rogatywka studencka. Nikt na takie szczegóły nie zwracał uwagi. I nikomu z nas nie zależało na marsowych pozach i zawadiackiej fantazji w czasie tych wymuszonych przemarszów. Inna sprawa, że przywykli od lat do normalnego wojska oficerowie Studium Wojskowego zżymali się niejedno-

krotnie na widok coraz to innych kompanii, stanowiących pośmiewisko przechodniów.

Najbardziej upośledzeni przez naturę niskim wzrostem osobnicy szli, rzecz jasna, w ostatniej czwórce. Ich los był najhaniebniejszy. Co najmniej jednemu z nich dostawał się do niesienia tak zwany „czołg". Było to zbite z dykty, pomalowane na zielono pudło bez dna. Delikwent wkładał je na siebie, wspierając na ramionach umieszczone wewnątrz poprzeczki. „Czołg", jako jeden ze „środków pozoracji" ustawiano na skraju Błoń, by ćwiczeniom nadać znamiona autentyzmu. Pudło było na tyle wielkie, że niosący je przez miasto student wystawiał zeń tylko głowę. U dołu, zamiast gąsienic widniały przebierające w mozolnym truchcie stopy „czołgisty". To nie student zatem jechał czołgiem, lecz pokraczna imitacja broni pancernej „jechała" studentem...

W ariergardzie kolumny marszowej, oprócz imitacji czołgu niesiono wielkie, wycięte z dykty i pomalowane na zielono sylwetki „wroga", stojącego, klęczącego lub czającego się przy karabinie maszynowym wraz z drugim „wrogiem". Przy mocnym wietrze płaszczyzny dykcianych sylwet przybite do drążków niemiłosiernie szarpały na boki.

Liczba „środków pozoracji" wzrastała. Dostarczono też broni ćwiczebnej. Były to wysłużone karabinki Mossina oraz pistolety maszynowe z drewnianymi kolbami. Czasami, raczej wyjątkowo, pojawiał się pistolet TT, a także karabinki sportowe. Wszelaka broń palna miała spiłowane iglice i przewiercone lufy. Tak więc jej walory bojowe równe były maczugom, jakimi posługiwali się ludożercy z archipelagów Melanezji przed przybyciem pierwszych Europejczyków. Tym niemniej trzeba ją było co wieczór czyścić, tuż po zakończeniu zajęć, w licho oświetlonym magazynie uniwersyteckim. W zamieszaniu, wrzasku i smrodzie smaru, wśród rozrzuconych na stołach kłębów brunatnych pakuł. Ten skrupulatnie strzeżony przez całą noc szmelc rankiem wydawano następnej kompanii.

Na pluton przypadało zaledwie po jednym zatłuszczonym, wymiętym egzemplarzu instrukcji budowy i obsługi poszczególnych rodzajów broni. Były to drukowane na bibulastym papierze grube broszury, pisane nudnym, zawiłym językiem technicznym. Zawierały niekończące się litanie nazw części tych śmiercionośnych mechanizmów z dnia wczorajszego. Do rangi symbolu urósł na przykład w naszej kompanii termin określający fragment karabinka sportowego: wkrętka oporowa sprężyny bijnika. Do dziś nie mam pojęcia

gdzie się znajduje i do czego służy. Z instrukcji dowiadywaliśmy się również, że poznawana przez nas broń palna cierpi jak dziedzicznie obciążony organizm, na rozliczne przypadłości i zacięcia. Opis każdego z nich i sposób usunięcia wady mechanizmu przypominał podręcznik adepta medycyny. Zniechęcał największych nawet miłośników broni i barwy. Wszystko to trzeba było wkuwać na pamięć, jak dawną ministranturę łacińską.

Na Błoniach, minąwszy po lewej murszejące wśród chwastów przyziomy zarzuconej budowy, które dopiero po latach okazały się fundamentami hotelu „Cracovia", kompania dzieliła się na drużyny. Obowiązkiem każdej grupy było wspólne odczytywanie akapitów instrukcji. Porównywano je z przyniesionym z magazynu karabinkiem czy pistoletem. „Opisywać! Opisywać!" — nerwowym szeptem zachęcał nas do aktywności dowódca kompanii na widok zbliżających się oficerów Studium. Instruktorów mieliśmy paru. Naiwny, rosły kapitan o pucołowatym obliczu łatwo padał ofiarą przebiegłych studentów. Kochał się w musztrze i gromkim sposobie meldowania się. Gdy na kolejnym egzaminie delikwent wylosował pytanie „kto jest bezpośrednim przełożonym żołnierza?" bez wahania trzasnął obcasami i wykrzyknął odpowiedź: „Bezpośrednim przełożonym żołnierza jest bezpośredni przełożony żołnierza, który jest bezpośrednim przełożonym żołnierza!!!". Dostał stopień pozytywny.

Ale ambicją mocodawców naszych wojskowych egzaminatorów bywało uaktualnianie problematyki społeczno-propagandowej. Gdzieś tak w roku 1952, w zimie, gdy w sklepach zaczynało brakować mięsa należało misternie naprowadzać egzaminowanych na rzekome przyczyny tej, rzecz jasna, chwilowej dolegliwości aprowizacyjnej. Padało na pozór niewinne pytanie: czy wakacje były udane? Gdy rozanielony tak ludzkim i niesformalizowanym ze strony egzaminatora gambitem student piać zaczynał z zachwytu nad piękną pogodą ostatniego lata, trzeba było z kolei delikatnie zwrócić mu uwagę, iż nie wszyscy w kraju cieszyli się tą idealną, bezdeszczową pogodą. I tak od rzemyczka do koziczka. Słońce to susza, susza to brak paszy. Brak paszy to głodujące bydło. A więc TRUDNOŚCI MIĘSNE!

Ale studenci, albo wcześniej odkryli misterną taktykę wojskowych Sokratesów wędliniarskich, albo też byli najwyraźniej zbyt prymitywni, by ten koronkowy ciąg argumentacji podchwycić. Jeden, z nich do rozpaczy doprowadził egzaminatorów z pol-wychu dowodząc, że w jego wsi lało, pogoda

była dla urlopowiczów fatalna , a w ogóle to tylko krowy na pastwiskach czuły się dobrze. Inny natomiast, zawczasu przerażony plótł coś o przejściowych trudnościach z mięsem, nie potrafiąc ani rusz ich wytłumaczyć obiektywną grą sił przyrody. Wypadł fatalnie. „Niepotrzebnieś się tego minsa chycił" — strofował go surowo przyjaciel, który mimo dwu lat spędzonych w murach uniwersytetu, w chwilach napięcia nerwowego nadal używał wiejskiej gwary z okolic Babiej Góry.

W czasie innych zajęć z marksistowskiej teorii rozwoju społecznego usiłowano wytłumaczyć studentom fenomen gwałtownej zmiany jakościowej, określając go terminem „skoku z wybuchem". Tę alegorię mimowolnie zilustrował podobno w praktyce jeden ze studentów filologii na zajęciach z toru przeszkód, przesadzając z wysiłkiem szeroki rów...

Kolejny nasz oficer, ciemnowłosy podporucznik, o nieco mongoidalnych rysach z pewnością nie był człowiekiem łatwowiernym, ani naiwnym. Flegmatycznie egzekwował wymogi szkolenia, nie wdając się w żadne podchwytliwe dyskusje z przemądrzałymi studentami. Całe lata spędził później spokojnie w cieniu uczelni. Jego kolega, równy rangą, był sprężystym, szczupłym mężczyzną o zacięciu wojskowego eleganta. Miał ambicje dowcipnisia, naturalnie w przyciężkawym, koszarowym stylu. Prezentował się zgrabnie nawet w mundurze z epoki Rokossowskiego.

Musztrę, w porównaniu z obowiązującą w Wojsku Polskim przed wojną zmieniono, wprowadzając do niej modyfikacje rosyjskie. „Rzędy zdwój! Dwuszereg w przód!" — padały komendy dawno już dziś, po burzliwych przemianach politycznych, wycofane. Na „spocznij" należało jedną nogę lekko ugiąć w kolanie. Biada jednak tym dawnym harcerzom, co to na obozach przywykli do burżuazyjnego wystawiania stopy! W postawie „baczność" nie wolno było trzymać wyprostowanych dłoni wzdłuż szwów spodni. Dłonie należało przytykać z palcami ugiętymi. Jako żywo przypominało to nieodwracalną postać reumatyzmu zwyrodnieniowego. „Na rękę broń!" — padała komenda w marszu. Czwórka za czwórką szła wówczas krokiem defiladowym, trzymając karabiny skierowane ku przodowi tak, by jednak nie pokłuć po karkach idących z przodu kolegów. Ostrze widelcowego bagnetu miało znajdować się na wysokości lewego oka piechura!

Na komendę: kompania — śpiew! przeważnie rozlegała się niemrawo melodia „Oki". Po chwili jednak śpiew zamierał ku rozpaczy sfrustrowanych dowódców.

Nieduży oficer do spraw polityczno-wychowawczych nie wzbudzał jakiegokolwiek szacunku czy sympatii. Ten wiecznie garbiący się blondyn, o rzadkich, strąkowatych włosach, sepleniący i zaciągający z ruska, otoczony był powszechną nieufnością. Nie potrafiłby indoktrynować nikogo, nawet w najbardziej sprzyjających dla siebie i władzy warunkach. Nie umiał się wygadać. Odpowiedzi należało recytować mu w sposób literalny, dosłownie tak jak podawał swoje prawdy do wierzenia. Wzbudziłem jego podejrzliwość i dezaprobatę, gdy zapomniałem jedynie słusznej formuły na pytanie „czym partia jest w wojsku?" Otóż ta idealna odpowiedź winna brzmieć: „Partia jest OPORĄ". Opora? A no właśnie. Tak bowiem naszego kapitana nauczono kiedyś na kursie. Jako politruk, kapitan co prawda uważał za swój obowiązek jakoś tak nieszczerze lgnąć do studentów, wyciągać ich na zwierzenia na temat pozawojskowych zmartwień. Traktowano to jednak powszechnie jako błazenadę, na którą nikt nie dawał się nabrać. Równocześnie komentowano szeroko każde potknięcie słowne nieszczęsnego instruktora. Daremnie usiłował wysłowić się w sposób, jak mu się wydawało, wytworny. Słynne były jego utyskiwania, że jest już dziś „wyczerpany w sensie wojskowym", lub że ma kłopoty, bo bliscy pozostawili go samego na gospodarstwie i „nie wszystkich mam w domu".

Zasadnicze wykłady z zagadnień polityczno-wychowawczych rezerwował jednak dla siebie sam dowódca Studium Wojskowego. Wygłaszał je gromko, oburącz gestykulując. Wkrótce już znano jego ulubioną tematykę: wojny sprawiedliwe i niesprawiedliwe oraz burżuazyjny neomaltuzjanizm, zachęcający proletariat i narody kolonialne do ograniczania liczby potomstwa. W przeciwieństwie bowiem do czasów dzisiejszych Światowy Obóz Lewicy i Laickiego Postępu surowo takie praktyki potępiał. Było tam zresztą przy okazji o mnóstwie innych spraw. Na przykład o wyższości rozbudowy przemysłu ciężkiego nad lekkim, „mimo że na przykład fabryka pończoch damskich przyniosłaby w Polsce błyskawiczne zyski"! Zaczynałem instynktownie tęsknić za erą produkcji damskich pończoch, puszczając mimo uszu znane mi argumenty siwowłosego, wąsatego dowódcy przeciwko zwolennikom kontroli urodzeń. Z wyglądu była to zaiste postać wspaniała. Coś jakby Mohort, a zarazem słaniający się na nogach Wiarus z „Warszawianki". Pamiętam, jak na strzelnicy, gdy nareszcie rozdano nam ostrą amunicję do karabinków sportowych, dowódca Studium osobiście obserwował re-

zultaty palby. Były mizerne. „Zabiłeś matkę Koreankę!" — wrzeszczał nad uchem niefortunnego studenta, który spudłował, marnując w ten sposób cenny pocisk. Osłabił tym samym Obóz Pokoju, zmagający się z imperializmem na Dalekim Wschodzie.

Minąć musiały dwa lata, nim kolejnym dowódcą studenckiego wojska został człowiek zupełnie innego pokroju. Rosły, zwalisty, podpułkownik poruszał się flegmatycznie, wyrażał cicho i precyzyjnie literacką polszczyzną wykształconego człowieka. Miał za sobą kampanię wojenną na Wschodzie; mimo to nie silił się na niby to ruski akcent. Był inteligentnym, znającym życie na wylot mężczyzną w sile wieku, który wobec imitujących wojsko studentów nie miał żadnych złudzeń. Niebawem pozbył się paru instruktorów i bezlitośnie przeegzaminował wszystkie kompanie, stawiając dwóje.

Klasyfikację wojen oraz globalnych metod kontroli przyrostu naturalnego pozostawił nowy dowódca Studium moralistom, demografom i swojemu sepleniącemu zastępcy od zagadnień polityczno-wychowawczych. Sam podjął się niewdzięcznego zadania przekazania nam elementarnych wiadomości z taktyki, których braki wykazał egzamin. Te najbardziej sekretne tajemnice armii Obozu Pokoju notowaliśmy w grubych zeszytach o kartkach ponumerowanych i przeszytych szpagatem. Jego końce przylepione były do okładki nie tyle lakiem, co lepką mazią, przypominającą plastelinę i opieczętowane. Zapamiętałem z tych wykładów jakiś stek ogólnikowych banałów, równie nudnych jak wszelkiego rodzaju opisy współdziałania części broni palnej w rozmaitych fazach oddawania strzału. Uporczywie przekonywano nas że wypracowana w czasie Wielkiej Ojczyźnianej Wojny taktyka sowiecka miażdżąco góruje nad sposobami toczenia bitew przez nigdy nie nazwaną otwarcie, tajemniczą „armię N". Raz jednak nowy szef uniwersyteckich wojsk zaskoczył mnie informacją oryginalną i szczerą zarazem. Ktoś zapytał go wprost, dlaczego w pierwszej, najbardziej morderczej fazie tłumnego ataku piechoty wszyscy żołnierze muszą maszerować w dość zwartym szyku niespiesznym krokiem, od czasu do czasu strzelając w kierunku wroga. Jeśli pozwolicie, żeby wojsko choć raz na początku pod ostrzałem przypadło do ziemi — to już się wam nie podniesie — odpowiedział stary taktyk ze Wschodu, tonem człowieka, który dawno już utracił względem natury ludzkiej wszelkie złudzenia.

W roku 1947 nauczyciel — repatriant ze Wschodu opowiadał o Uzbekach, z którymi służył na froncie, przymusowo wcielony do Armii Czerwonej. Niektórzy z nich czołgając się w czasie niemieckiego ostrzału chytrze unosili rękę lub nogę, by otrzymać niegroźną dla życia ranę. I spędzić choćby parę miesięcy na tyłach kolejnej „wielkiej wojny białych ludzi". Nie każdy także z europejskich mieszkańców imperium, wysłany na front z czerwoną gwiazdą na czapce miał ochotę na śmierć. My nie orły!

Zajęcia praktyczne z taktyki odbywano na Pasterniku. Lubiliśmy te jazdy tramwajami do ostatniego przystanku, który znajdował się tuż za bronowickimi koszarami. Kończył się tu Kraków szpalerami parterowych posesji w ogródkach. Kompleksy osiedlowych bloków Bronowic Małych i Widoku powstać miały dopiero wiele lat później. Maszerowaliśmy szosą ku wypiętrzonym, nagim o tej porze roku polom. Wiał zimny, rześki wietrzyk, wieś Tonie istotnie tonęła nieraz w mglistych oparach. Przy słonecznej pogodzie od zachodu błękitnawo rysowały się Skały Kmity i lasy Garbu Tenczyńskiego. Dojście i powrót z Pasternika trwały długo, ku rozpaczy instruktorów. Traktowaliśmy te zajęcia jako niezłą wycieczkę.

Od czasu do czasu niektórzy z mniej sprawnych kolegów dostarczali reszcie rozrywki, stając się obiektem słownej agresji ze strony prowadzących ćwiczenia. Oto na przykład wysoki, odziany w wielki kapelusz student muzykologii odmawia położenia się na trawie w regulaminowej pozycji strzeleckiej. Błyskając okularami oznajmia wyniosłym tonem: „Jutro gram!". „Jeżeli jutro gracie, to dziś się położycie!" — pada nieubłagana decyzja instruktora. Gdzie indziej przyszła chluba najstarszej uczelni w Polsce niezręcznie wykonuje komendę „z boku kolbą cios", krzywiąc się ze wstrętem i narażając na hałaśliwą dezaprobatę oficera. Nikt jednak tak naprawdę nad nikim się nie pastwi oprócz zmarzniętych zwolenników gry w salonowca. Korzystając z nieuwagi chorążych dobrowolnie zdecydowali się na taką rozgrzewkę.

Wróciwszy do Collegium Novum w pośpiechu wykorzystywaliśmy krótką przerwę obiadową. Z pełnym żołądkiem i uczuciem błogiej senności stawiać się musieliśmy później na zajęcia teoretyczne. Lokowano się teraz w ławach lub wbijano za stoły, nie zdejmując wilgotnych kombinezonów i grubej, porozpinanej pod szyją odzieży. W ścisku i cieple kaloryferów, w zaduchu tkanin i ludzkich wyziewów sen nadciągał szybko i nieubłaganie. „Pospali sje!" — z melancholijnym wyrzutem skwitował jakikolwiek brak reakcji ze strony audytorium wykładowca-politolog. „W spodnie!" —

doleciał z tłumu niemrawych ciał jakiś głos szyderczy. Nie zawsze jednak tylko zmęczenie i brak tlenu powodowały letargiczne omdlenia wojska uniwersyteckiego. Jeden ze studentów naszej kompanii lubił przychodzić na popołudniowe szkolenia w stadium wyraźnego upojenia alkoholowego. Błyskawicznie zapadał w kącie w sen pijacki. W czasie sprawdzania listy obecności zrywał się na równe nogi trącony przez kolegów wrzeszcząc dziko „Obecny!" i opadał na ławę ponownie z zamkniętymi oczami.

Zaczął się trzeci rok studiów i coraz realniejsza stawała się perspektywa miesięcznego wyjazdu na letni poligon. Nasi wojskowi instruktorzy zdaje się mieli po cichu nadzieję, że niedostatki dyscypliny oraz ignorancję w wojennym rzemiośle uzupełnimy w trakcie obozu. Tymczasem wysłano nas przed wojskową komisję lekarską, mającą zakwalifikować do tej końcowej próby. Paru znudzonych lekarzy, w narzuconych na mundury kitlach w ekspresowym trybie oglądało nasze nagie ciała w gromadzie innych golasów, którzy przybyli na rozliczne badania kontrolne. W zamieszaniu przez moment dostrzegliśmy na biurku bezcenne dziełko, stanowiące wykaz chorób pozwalających zwolnić pacjenta ze służby wojskowej, lub też ograniczyć jego militarne zobowiązania. Z najbardziej obiecującej listy schorzeń zapamiętałem sobie „infantylizm" oraz „charłactwo". Nim jednak pacyfistyczny tłumek pacjentów w gaciach zdążył zapoznać się z rubryką „objawy", bezcenny podręcznik zabrano, a nas zapędzono do przeglądu. Na nic się zdały rozliczne zaświadczenia lekarskie, a nawet dramatyczne żądania skierowań na dalsze obserwacje, czy wręcz kontrolną hospitalizację. Miesiąc w wojsku? Nic wam nie będzie!

Kolejnym zwiastunem zbliżającego się poligonu było oswajanie nas ze służbą wartowniczą. Pełniono ją nocami na parterze Collegium Novum, pod tak zwaną tajną kancelarią. W dzień urzędowała tam w gronie oficerów najzupełniej cywilna sekretarka. Jej makijaż, ostentacyjnie jaskrawy, jawnie lekceważył regulaminowe zasady maskowania obiektów wojskowych. Na ścianach korytarza stopniowo przybywało niecenzuralnych inskrypcji. Ostrzami bagnetów ryli je znudzeni wartownicy.

Kolumny udających się na lipcowy poligon studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego szły niespiesznym marszem z centrum na dworzec w Płaszowie. Wzięliśmy ze sobą najbardziej sfatygowane walizki i plecaki, wciągając równocześnie na

grzbiet jak najlichszą odzież. Doświadczeni przestrzegali przed nieuczciwymi magazynierami poligonowymi. O dwie czwórki za nami maszerowała wesoła gromada mieszkańców słynnego domu akademickiego na Zakrzówku. Nieśli potężny, szklany słój aptekarski, wypełniony czarnym płynem, do złudzenia przypominającym kawę. Słój podawali sobie, racząc się jego zawartością. Oczy z minuty na minutę rozbłyskiwały im coraz dzikszą rycerską fantazją. Cały ten wojenny lud pożegnał na płaszowskim dworcu flegmatyczny dowódca Studium. Już wcześniej dawał do zrozumienia, że lokalizacja poligonu otoczona jest najściślejszą tajemnicą, którą zna tylko on sam „i jeszcze dwu ludzi w Krakowie". W rzeczywistości od dawna orientowaliśmy się gdzie jedziemy. Gdy zatem nasz podpułkownik zakomenderował na koniec: kierunek zasadniczy — Rozwadów, przez tłum żołdactwa uczelnianego przeleciał triumfalny śmiech. Dawnośmy wiedzieli, frajerze!

Nad miastem i podstawionymi wagonami towarowymi wisiał upał. Ulokowaliśmy się na zbitych z desek piętrowych pryczach, u góry pod oknem. Grupa z Zakrzówka wesoło mościła się na dole. Jechaliśmy z postojami przez całą noc, śpiąc na podręcznych tobołkach i kuląc się, w miarę jak upał lipcowego dnia zamieniał się w mroczny ziąb. Rankiem otwarto z hukiem drzwi. Staliśmy w Mielcu. „Jacyś pijacy tu jechali!" — z niesmakiem prychnął zaglądający do wnętrza kapitan. Pusty słój aptekarski i mocno zanieczyszczona podłoga świadczyły, że tajemniczy czarny płyn nie był jednak narodowym napojem arabskich muzułmanów.

Czwórkami pomaszerowaliśmy w kierunku Kolbuszowej, ku rachitycznym lasom szpilkowym. Bagaże zabrała ciężarówka. Paru najbardziej wyczerpanych trudami podróży zdołało wdrapać się na pakę. Zakodowany stosownym numerem pułk piechoty stacjonował pośród lichych, dających niewiele cienia sosenek. Piaszczyste podłoże usłane było milionami szyszek i zeschłym igliwiem. Pachniało rozgrzaną na słońcu korą i wysuszoną na proszek ziemią. Zapach ten miał nam towarzyszyć do końca. Przez cały czas trwania poligonu nie spadła ani kropla deszczu. Las zdeptano tu tysiącami butów, rozjechano kołami, pocięto na sektory zakwaterowania, drogi dojściowe i dojazdowe, wydzielone punkty czemuś tam służące i place ćwiczeniowo-defiladowe. Płotki oraz palisady, sklecone z drążków bramy i ułożone z tłuczonej cegły emblematy, oszklone tablice, na których pełzły w słońcu oblicza przodowników wyszkolenia bojowego i politycznego oraz propagandowe zaklęcia w rodzaju „celując do tarczy — myśl

o wrogu". Nie mówiąc już o retoryce na temat obsesyjnej przyjaźni względem obozu Pokoju. Sam Chorąży Pokoju bowiem nie żył już od paru miesięcy.

Umieszczono nas plutonami w trzech wielkich namiotach, stojących obok siebie. Machina wciągania studentów w tryby poligonowe obracała się zrazu dziwnie niemrawo. Nie dotyczyło to zresztą wyłącznie naszej grupy. W cieniu drzew snuli się leniwie lub polegiwali mężczyźni w średnim wieku, odziani w mundury, niekiedy już podtatusiali, z niezbyt tęgimi minami. Byli to szeregowi rezerwy, powołani po paru latach na trzymiesięczne ćwiczenia. Zdążyli już odwyknąć od wojskowego drylu służby zasadniczej i obrosnąć skórą cywili. Teraz wojsko przypomniało sobie o nich. Flegmatycznie, równie jak nas oplatało ich siecią powinności.

Kazano napełnić sobie słomą sienniki. Za radą bywalców wypełniliśmy je na twardo, aż osiągnęły kształty monstrualnych cygar. Opłaciło się to stokrotnie. Ci niefrasobliwcy, którzy tego nie zrobili, już po paru dniach sypiali na cienkiej warstewce sprasowanej słomy. Psuli w dodatku regulaminowy kształt idealnej powierzchni zaścielonych prycz i narażali się na bezustanne reprymendy oficerów. Skąd dobrać słomy do prawie pustego siennika, obywatelu poruczniku? Zorganizujcie sobie!! Łatwo mówić. To przeklęte słowo, najczęstsze w wojskowym życiu, miało już niebawem nabrać uniwersalnego znaczenia zaradności, przedsiębiorczości. W gruncie rzeczy stawało się jednak symbolem wilczych stosunków międzyludzkich.

W miejsce cywilnej odzieży i obuwia wydano nam mundury. Zużyte przez całe pokolenia żołnierzy, spłowiałe drelichy dobieraliśmy sobie pospiesznie, jak niegdyś kombinezony na podwórku uniwersytetu. Buty były zniszczone, o skórze przepalonej potem, powyginanej i pozałamywanej. Okute gwoździami podeszwy nadawały temu obuwiu archaiczny charakter. W miejsce skarpet wydano białe, szmatowate onuce. To było prawdziwe zaskoczenie. Nikt nie wiedział, jak używa się tych ścierek. Dopiero podoficer musiał uczyć nas tej sztuki, być może banalnej lecz niezbędnej. Źle owinięte wokół stóp onuce już po kilkunastu krokach zwijały się podstępnie w trudny do zniesienia kłąb, lub też odsłaniały gołą stopę. Powodowało to wkrótce powstawanie płytkich, lecz rozległych i trudno gojących się ran. Wśród wiecznego pyłu poligonowego o zakażenie było łatwo. Precyzyjne motanie onuc należało zatem do podstawowych obowiązków żołnierza piechoty. Nasi oficerowie pilnie obserwowali, czy strzelcowi

nie wysuwa się z buta róg białawej tkaniny. Hej, szeregowy! Koszula wam z buta wyłazi! — brzmiała sakramentalna formuła ostrzegawcza.

Nie wszyscy jednak zdołali znaleźć obuwie mniej więcej swojej numeracji. Najroślejszy osiłek kompanijny, flegmatyczny student historii o niespotykanie długich stopach uzyskał pozwolenie na co najmniej czasowe odbywanie służby we własnym obuwiu. Co rano na apelu sam dowódca solennie obiecywał mu, że w magazynach trwają intensywne poszukiwania takiej nietypowej numeracji. I codziennie nasz kolega, wyprężony regulaminowo składał regulaminowe, choć nieszczere podziękowania za troskę obywatela dowódcy. Maszerował we własnych butach i skarpetkach do końca poligonu. Udało mu się!

Mimo nieznośnego upału członkom kompanii studenckiej rozkazano zapinanie kołnierza pod szyją, by już z daleka odróżnić to nietypowe wojsko od pełniących służbę zasadniczą. Nigdy nie słyszałem o jakichkolwiek objawach niechęci czy wrogości względem studentów ze strony reszty umęczonej gromady żołnierskiej. Byliśmy dla tych ludzi trochę egzotyczną, dziwaczną i godną zazdrości grupą, która po czterech tygodniach służby poligonowej nie tylko pójdzie do cywila. Jeszcze w dodatku dostanie szlify oficerskie. Cóż, sprawiedliwości na świecie nie było i nie będzie... „Mata tu jedzenie akademiki" — wołali w obozowej kuchni uwijający się wokół kotła kucharze, nalewając do aluminiowych misek trudno jadalny kleik z kaszy czy makaronu. Z makaronowych gwiazdek jeden ze studentów ułożył sobie nawet na naramiennikach kapitańskie dystynkcje.

O utrzymywanie misek i menażek w czystości troszczył się serio pułkowy lekarz, młody, łysiejący blondyn o czerwonym obliczu, w drucianych, złotych okularach. Robił wrażenie początkującego proboszcza. — Wyobraźcie sobie, że na waszych niedomytych naczyniach pasą się miliony bakterii. I co gorsza srają, paskudzą! To ich trujące toksyny sprawią, że będzie was brzuch bolał, a może pomrzecie! Innym razem w czasie przeglądu uzębienia wołał do jakiegoś wieśniaka: człowieku, po co ty takie gówno hodujesz w gębie? Szybko zorientowaliśmy się, że przy całym zaangażowaniu w walce o zdrowie żołnierzy tego energicznego lekarza-oficera, toczy on ustawiczny bój z gromadami symulantów. Bój stary jak samo wojsko. Lekarza zmobilizowano do służby wojskowej nie tak dawno. Zupełnie nie pasował do rozprażonego słońcem zielonego garnizonu. Jego Pułkowy Punkt Medycyny był istną oazą

spokoju, schludności i rozsądku. Kiedyś mogłem porozmawiać z nim o wspólnych ulubionych książkach i filmach.

Szefem naszej kompanii został hałaśliwy sierżant zawodowy. Zrazu spróbował dać w kość studentom, jednak drogą okrężnych intryg oraz odgórnej interwencji przywołano go do porządku. Przyznał, że po prostu w pierwszej chwili nie wiedział, z kim ma do czynienia. A jakże. Dowódcą był natomiast smukły, prostoduszny młodzieniec po szkole oficerskiej, życzliwy i na swój sposób uprzejmy. Tyle tylko, że zupełnie nie zdający sobie sprawy z nieporadności manualnej podporządkowanej mu wielkomiejskiej gromady. Nie mógł na przykład pojąć, że nie potrafimy sklecić drewnianych stojaków pod karabiny. — To ojciec was nigdy stolarki w domu nie uczył — pytał zdumiony syn małorolnego gospodarza z Rzeszowszczyzny. W końcu pogodził się jednak z faktem istnienia technicznych analfabetów uniwersyteckich.

Ćwiczenia na rozgrzanych piaskach stawały się trudne do zniesienia. Najtęższi z kompanii nieść musieli rozmontowane cekaemy o staroświeckich kształtach, nawiązujących do czasów I wojny światowej. A już iście piekielną męczarnią stawało się niesienie stalowej podstawy ckm. Swoją konstrukcją wżerała się w ramiona jak złośliwy starzec z opowieści o Sindbadzie-Żeglarzu. Spaliśmy czujnie. Krążyły uporczywe pogłoski o możliwości nocnego alarmu. Niektórych kolegów nawet we śnie nękał strach przed utratą części wojskowego dobytku. Uwaga... uwaga... buty nam skradną... mamrotał spod koców mój sąsiad poligonowy. W Krakowie nadal upływało mu życie pod opieką dwu starych, przedwojennych służących.

Letnia noc błyskawicznie mijała pod uchylonym brezentem namiotu. Ledwie zasnęliśmy, już rozlegał się dźwięk trąbki porannej i ogłuszający ryk kolegi wartownika: „Pobudukaaaa!" Męczący się nieludzko w nocy walką ze snem nieszczęsny wartownik już od paru godzin szykował się na tę chwilę. Stanowiła dla niego jedyny moment satysfakcji. Licytowano się, kto bardziej przeraźliwie zawyje. Kadra wojskowa jawnie popierała tę rywalizację wrzasku.

Krzyk, wrzaskliwe ruganie podwładnych nieraz tylko dla samego rugania, ostentacyjne lekceważenie żołnierza i z góry zakładana podejrzliwość dezorientowały i zniechęcały nawet tych, którzy mieli najuczciwsze zamiary spełniania obowiązków wojskowych. Spychały do stadium biernego wtapiania się w tłum przebiegłych, tradycyjnych dekowników. Bardzo szybko także okazało się, że armia, w której rzekomo mieliśmy się na bezpośrednich przykładach nauczyć nie tylko dyscypliny, ale i posługiwania się prawdziwym sprzętem, jest kolejnym królestwem działań pozornych. A także bałaganiarskich uników i elementarnych niedostatków. W wypadku najprostszych nawet potrzeb technicznych brakowało podstawowych narzędzi. Gwoździe pogięte i pordzewiałe usiłowano wyprostować klepiąc je znalezionymi w lesie kamieniami, gdyż nie było młotków. „Organizowanie", to jest podkradanie z sąsiedniego „rejonu zakwaterowania" plutonu czy kompanii uchodziło w oczach przełożonych podoficerów za dowód dojrzałości bojowej szeregowego. Z pewnością poligon nie stanowił dla nikogo tak oficjalnie zachwalanej „szkoły koleżeństwa". W tym świecie idiotycznej walki o wyjście na swoje i „niepodpadnięcie" tkwiła nasza kompania studencka. Poligon nie zdołał jej do reszty zdemoralizować, zepchnąć do poziomu prymitywnych, zastraszonych szeregowców dwuletniej służby zasadniczej. Głównie dlatego, że po czterech tygodniach wracaliśmy do warunków normalnego życia na uczelni. A jednak postawa niektórych kolegów w ciągu tych paru tygodni próby zapadła w pamięci reszty na długie nieraz lata.

Nasi uniwersyteccy aktywiści zetempowscy i partyjni przycichli i podobnie jak reszta przypadli, porzucając poprzednią retorykę o spełnieniu zaszczytnego obowiązku. Na równi z innymi klęli na trudy ćwiczeń i na głupotę części przełożonych, która była zbyt ewidentna, by ją absolutnie zignorować. Przy zachowaniu elementarnych zasad ostrożności wobec naszych uwikłanych w rozmaite układy i zobowiązania kolegów, można było w ciągu owych czterech dziwnych tygodni traktować ich niemalże normalnie.

Nieliczne i krótkie chwile między zajęciami, apelami itp. sprzyjały tworzeniu się ulotnej atmosfery niby to koleżeńskiej wspólnoty. A może było to raczej poczucie wspólnej poligonowej niedoli. Student historii wyciągał spod pryczy zabraną z domu gitarę.

Jego dziadka-garncarza poznałem w czasie badań terenowych. Na małomiasteczkowym targu w Rzeszowskiem sprzedawał nie tylko gliniane garnki. — „Mam oko! Nocniki dobieram na miarę!" — filuternie wołał pod adresem wiejskich piękności, waląc patykiem w zachwalane przez siebie wyroby. Bezpretensjonalny humor i pogoda ducha musiały być w tej rodzinie dziedziczne. Inna rzecz, że z takim reliktem, jak gliniany nocnik spotkałem się wówczas po raz pierwszy.

Wnuk garncarza grał i śpiewał banalne piosenki radiowe, których nigdy nie słuchalibyśmy w innych warunkach, określając je mianem „mydła". I tak „dziewczyna z długich fal" miała zaśpiewać nam swą piosenkę, mimo, że od poligonowej mizerii dzieliły ją „łańcuchy gór i oceahaany...". Innym razem okazywało się, że wprawdzie „mój kolega, rudy Frank, ma posadę i swój bank" ale dziarski nasz kolega z gitarą pyszni się nieposkromioną swobodą! Której zresztą aktualnie, wśród piachów poligonowej Rzeszowszczyzny nie posiadał wcale. Najweselej jednak brzmiała opowieść o przygodzie starego Galambosza i jego konika. ...A ja zupę smaczną będę jadł — obiecywały słowa tej plebejskiej ballady węgierskiej o zacofanym technicznie staruszku i postępowym wnuku. Ba, sami chętnie podjedlibyśmy sobie w zaciszu domowym jakiejś przyzwoitej zupy. Na pewno różniłaby się od tego szarego płynu, w którym pływały rozgotowane gwiazdki makaronu.

Poligon nie działał w politycznej próżni. Nad sprawami ideologicznymi przez cały czas intensywnie czuwano. Równie jednak niedołężnie, jak nad wszystkim w tej krainie środków pozoracji. Zastępca dowódcy naszej kompanii, szczupły oficer z długim, szpiczastym nosem, przemawiał głosem zdławionym i stylem aluzyjnym tajniaka-facecjonisty. Kiedyś jednak chyłkiem przyznał, że tu, w lasach między Mielcem a Kolbuszową warunki pobytu istotnie nie są lekkie. Wprawdzie to i tak nic w porównaniu z tym co było przed laty. Istne piekło. Tak chcieli wygubić polskie wojsko. Kto? Wiadomo... spychalszczyzna! Gomułka i Spychalski siedzieli już dawno pod kluczem. Hydrę w porę unicestwiono. W dalekiej Warszawie czuwał Polak z krwi i kości, bohater radzieckich sukcesów w Mongolii. Ale świat imperialistyczny okazuje się, nawet o zagubionym wśród sosenek Rzeszowszczyzny poligonie nie zapomniał. Pewnego razu niewielkiemu wzrostem, z wyglądu przypominającemu trochę pana Wołodyjowskiego kapitanowi wręczono znaleziony w lesie plastikowy pakiecik. W nim na misternie cienkiej i mocnej przebitce drobnym maczkiem wydrukowane były antypaństwowe ulotki. Wrogi balon z bibułą dywersyjną wysłany z Zachodu ani chybi eksplodował gdzieś nad naszymi lasami. — Widzicie, wróg o nas pomyślał — wołał triumfalnie kapitan. A wy myślicie, że jesteśmy tu bezpieczni.

Z ulgą opuściłem poligon, infiltrowany przez wrogie ideologicznie balony. Wojsko, którego obraz wyniosłem z piaszczystych zagajników w trzy lata później miało odmienić swe oblicze pod wieloma względami. Tak się złożyło, że znalazłem się w pierwszej generacji uczelnianego Studium Wojskowego, instytucji, która przetrwać miała jeszcze 40 lat.

Dziś śladów strzeżonej przez studenckich wartowników tajnej kancelarii należałoby szukać w Collegium Novum tam, gdzie mieści się lokal Kasy Zapomogowo-Pożyczkowej i kiosk z gazetami. Od dawna już zniknęli z życia uniwersyteckiego uczelniani oficerowie, a z ulic miasta pochody niby-wojska i ich czołgowe atrapy.

Leszek DZIĘGIEL

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najśmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najwspanialszego epistologa Zygmunta Hertza...

•

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY" mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520 **Cena F. 160,00**

Wiersze

Bogumił ANDRZEJEWSKI

HYŚ I PAJĄK

Poemat dedykowany
Janowi Nepomucenowi Rzeckiemu

1

Po pochyłym promieniu podwieczornego słońca
Wszedł do mojej filologicznej pracowni
Przez szybę zamkniętego okna
Neosemantyk, Hyś postmodernistyczny
O orientacji psycho-geograficznej.
Zaczął dekonstruować moje papiery
I bawić się wielkim globusem,
Który trzymam na przyśnicy biurka.

Wyciągnąłem rękę, aby mu przerwać tę psotną zabawę
Ale on się opierał. Zaczęliśmy się zmagać
Raz przy biurku a potem przy krawędzi stołu.
Nie było z początku jasne komu się dostało,
Jemu czy mnie, lecz widząc że już przegrywa
Hyś mnie ukąsił we wskazujący palec lewej ręki
I uciekł nie wiem dokąd. Może wlazł w jakiś kąt.

W chwilę po ukąszeniu dostałem dreszczy w antylach
I bardzo dotkliwego rwania w trinidadzie.
Do tego jeszcze chwyciły mnie strzykania
Z lewej strony salwadoru. Przyszła też jeszcze
Wenezuelska czkawka i gujańskie wzdęcia.
Poczułem, że drętwieje mi floryda
I drętwota dochodzi aż do prawej strony gwadelupy.
Taki mnie ogarnął honduras, że chciałem telefonować
Do mojego doktora lecz poniechałem tego zamiaru
Zdając sobie sprawę, że nowocześni lekarze
Bardzo słabo znają się na geografii.

Hołdując zasadzie samolecznictwa
Położyłem się na moim równoleżnikowym tapczanie,
Który trzymam w pracowni dla przyjezdnych gości,
Przykryłem się watowaną mapą i próbowałem zasnąć.
Po dziesięciu minutach relaksu groźne objawy zmalały
I zapadłem w kilkuminutowy sen.

2

Gdy obudziłem się z drzemki, kalendarz ścienny oznajmił,
Że zaczęła się już wiosna i wobec tego
Zdecydowałem się otworzyć okno w nadziei,
Że dopływ świeżego powietrza zupełnie usunie
Pozostałości groźnych, geograficznych objawów.
Zrobiło mi się dobrze lecz nagle zauważyłem
Że przez okno z ogrodu wszedł do pokoju Pająk
I zaczął krążyć po biurku tuż przy cokole globusu.
Zaniepokojony tą wizytą wyjąłem z szuflady
Silne szkło powiększające, którego używam często
Do weryfikacji uszkodzonych liter w rękopisach.
Widzę przez szkło, że Pająk ma dystyngowane rysy
Lecz trochę, tak jak Hyś, histeryczny wyraz twarzy.
Skądś pamiętam te krzaczaste brwi, te śpiczaste uszy,
Lecz dlaczego tak nisko opadła mu szczęka?

Przybysz idzie w górę od cokołu globusu,
Przez Antarktyk na Lewą Półkulę
I zaczyna krążyć po podzwrotnikowych rejonach,
Zatrzymując się na chwilę gdy przekracza
Granice międzypaństwowe na globusie
Lub większe rzeki, i omija jeziora.
„Po co on tam się szwenda?" pytam z niepokojem.

3

Na biurku zadzwonił telefon, poznałem po dźwięku,
Że będzie dalekodystansowa rozmowa i rzeczywiście
Mówi Onufry Otręba, mój przyjaciel jeszcze z lat szkolnych
A teraz kierownik Stacji Monitorowej Ochrony
Ziemskiego Globu i Okolic, „Słuchaj czy ten Pająk
Dochodzi już do Strefy Skołowanej? Jeśli tak,
Zlikwiduj go natychmiast, bo może narobić szkody

Na dobrych parę milionów. Już w tej chwili spowodował
Burzę psycho-magnetyczną na przegubie Półkul.
Patrz, a teraz zaczął dekonstruować równik!"
„Słuchaj Onufry", mówię, „czy ty nie pamiętasz,
Że rodzina mojej matki pochodzi z Podola
A tam ludzie są bardzo przychylni dla pająków.
Wstydź się nawet coś podobnego mówić!"
Na to Otręba, „Jeśli tak, to mam inny pomysł,
Zwab tego gagatka na jeden z twoich manuskryptów,
Donieś go do okna i wyrzuć go do ogrodu, i potem
Szczelnie zamknij okno!" „Będzie to trudno", mówię,
„Bo właśnie zaczęła się wiosna a teraz podrożały
Wskutek inflacji wszystkie pory roku i trzeba
Każdą godzinę szanować! Jakże mi zamykać okno na wiosnę!"
A on na to, „Nie przesadzaj i rób szybko co mówiłem.
Dostaniesz za to w nagrodę wakacje w kraju rozsłonecznionym
Gdzie pora zlewa się z porą i czas trwa dłużej
Niż gdziekolwiek indziej na świecie. Bilet lotniczy
Prześlę teleksem a na miejscu dostarczy ci motocyklista.
Nie ma ani jednej chwili do stracenia. Cześć!"

4

Pająk już jest w ogrodzie. Okno jest szczelnie zamknięte.
W pracowni robi się duszno. Słońce zachodzi i opadają
Napięcia niespokojnego dnia. Hyś, który widocznie
Krył się pod szafą, pełza teraz po pochylonym promieniu słońca,
Przechodzi lekkimi stopami przez zamkniętą szybę
Uważnie, żeby jej nie stłuc. Potem zstępuje z promienia
Wprost do ogrodu i podchodzi do Pająka, uśmiechając się.
Bierze go pod jedno z jego ramion i idą razem
Jak przyjaciele, w kierunku zachodzącego słońca.

Robi się coraz ciemniej i równocześnie chłodniej
I łatwiej teraz oddychać. Drzewa w ogrodzie
Zamieniają się w kontury i nawet globus robi wrażenie
Bryły zawieszonej w pustce. Cała pracownia i dom
Wypełniają się kojącą ciszą. Po godzinie słyszę
Zbliżający się odgłos motocyklowego silnika
Ktoś energicznie dzwoni do wejściowych drzwi.

Bogumił ANDRZEJEWSKI

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli i z Kijowa

NA KRAŃCU CZEGO LEŻY UKRAINA?

„Ukraina, proszę pana, to największy kraj między Europą a Azją". Niewątpliwie inteligent, przyzwoicie ubrany, mój przypadkowy sąsiad na Placu Niepodległości, byłym Placu Rewolucji Październikowej, dziś kijowskim Hyde Parku, eliminując Rosję z Europy i wrzucając ją całą do Azji, nie miał żadnej wątpliwości. Ani geograficznej, ani politycznej.

Inaczej sprawę przedstawił lekko, a może i ciężko, pomylony pseudo-poeta. Staliśmy w marcową, zimną, wyborczą niedzielę, w niewielkim tłumie, patrząc jak „poeta trzeciego typu" rysował kredą na bruku i wierszem komentował geometryczny schemat, niezbicie dowodzący, że za niewolę i w ogóle katastrofę Ukrainy odpowiedzialni są Żydzi a także, choć w mniejszym stopniu (facet nie wiedział dokładnie o co chodzi), masoni. Tłumek, z pobłażliwym uśmiechem, potakiwał pomylonemu poecie, który po każdym kuplecie padał na kolana i krzykiem pytał, gdzie jest Bóg, który na to pozwala. Nie było, w każdym razie nie było go w pobliżu...

Nie ma właściwie sprzeczności między obu tu przedstawionymi interpretacjami współczesnej historii Ukrainy. One się właściwie uzupełniają, odzwierciedlają, że tak powiem, klasowe podejście do tematu. Lud, „plebs, a nawet czerń", jak to określił pewien uczony człowiek, zgodzi się na każde nawet ponadnaturalne, a może, przede wszystkim ponadnaturalne, wytłumaczenie katastrofy, no bo przecież nie da się inaczej — na prosty rozum — zrozumieć, jak i dlaczego ten

bogaty kraj sięgnął takiego dna. Inteligencja zaś — tak mnie przekonywał ten sam rozmówca — śmieje się z antysemickich, masońskich czy innych spiskowych wersji. Ona wie, że winni za niewolę i upadek są Rosjanie i komuniści. W istocie są tacy, nawet liczni, którzy łączą te obie wersje. *Toże krasiwo...*

Już Wolter

Debata na ten temat, to właściwie nic nowego. Już Wolter uprzedzał, że Ukraina zawsze chciała i powinna być wolna. Problem tylko, że bardzo niewielu Rosjan zgadza się z poglądem francuskiego bluźniercy i buntownika z XVIII wieku. Właściwie, z tego co ja wiem (Osadczuk mnie uzupełni), tak bez reszty i bez zawijasów, za pełną niepodległością Ukrainy, spośród znanych postaci politycznych Rosji, wypowiedziała się właściwie tylko Helena Bonner, wdowa po Andrieju Sacharowie.

Sołżenicyn jest zdania, że odrywać Ukrainę od Rosji to tak jakby ciąć w żywym ciele. Lenin uważał, że jeżeli Związek Sowiecki utraci Ukrainę to tak jakby utracił głowę... Z wyjątkiem jednego (dla naprawdę stęsknionych), wszystkie pomniki Lenina zostały z Kijowa usunięte, ale jego myśl o utracie głowy jest ciągle żywa. Wracaliśmy z konferencji prasowej generała ukraińskiego na temat separatystycznych ambicji prezydenta Krymu, który domaga się m.in. ewakuacji wojsk ukraińskich z terytorium półwyspu. Przysłuchując się w autobusie moim komentarzom w toku rozmowy z ukraińskim kolegą, jakiś rosyjski pasażer nie zdzierżył i krzyknął: „A Krymu i tak wam nie zostawimy". Ja do Krymu nie mam żadnych pretensji, ale ciekawe, że w autobusie nikt się nie zdziwił ani nie zareagował. Prawdopodobnie, nikogo to nie wzrusza...

W ogóle, „gdzie Krym a gdzie Kijów", po kilku dniach pobytu na Ukrainie, wydawało się, że niewiele rzeczy jeszcze potrafi Ukraińców wzruszyć. Po kilku dniach w przedwyborczym tygodniu, to znaczy przed 27 marca 1994, można było dojść do przekonania, że wśród tych kilku rzeczy, które Ukraińców wzruszyć nie potrafią, były przede wszystkim właśnie wybory. Na ulicy nic nie wskazywało, że w ogóle jakieś wybory mają się odbyć. W telewizji to, co normalnie się określa jako „kampania" wyborcza, było tak przeraźliwie nudne, że w normalnych warunkach powinno było doprowadzić do bojkotu. Kropkę nad i postawiła pewna pani w telewizyjnym reportażu z ulicy: „Co to za wybory — powiedziała — nikt nie mówi ani jak trzeba głosować, ani na kogo".

Spodziewano się pustki w urnach. Stało się wprost przeciwnie. Warto się tej metamorfozie przyjrzeć, to znakomite ćwiczenie z posowieckiej politologii stosowanej. Kilku aktorów wystąpiło w tej sztuce.

Wrota piekieł

Po pierwsze, naród. Wszystko wskazywało, że obojętność i niesmak wobec polityki, a zwłaszcza wobec polityków („wszyscy kradną", najczęściej się słyszy), są silniejsze niż instynkt klasowy, i że, tak pojednane klasy Ukraińców zgodnie do wyborów w ogóle nie pójdą. Trudno byłoby im się dziwić. Trzy lata rządów Krawczuka dokonały prawdziwego spustoszenia gospodarczego i moralnego. Ktoś w rozmowie ze mną porównał wybory ukraińskie do polskich, zapowiadając że, tak jak w Polsce we wrześniu ubiegłego roku, komuniści powrócą, tym razem legalnie do władzy. Nie ma żadnego porównania ani między komunistami ukraińskimi i polskimi, ani przede wszystkim, w sytuacji obu krajów. W porównaniu z Ukrainą, Polska to Kalifornia.

Ukraińcom się zdawało, że kiedy wrota piekieł się otwierają, to wchodzi się prosto do raju. Nie wiedzieli, nikt im nie powiedział, że jest długi i ciężki czyściec, że czeka ich bardzo bolesne przejście od dyktatury i niewolnictwa do demokracji i niepodległości, że wolność to luksus, który kosztuje morze łez i potu. I wymaga ciężkiej pracy...

Na Ukrainie bardzo niewiele osób pracuje, to znaczy bierze pieniądze za to, co robi, lub robić powinno. Normalka, powiadają, pensja nie starczy na nic. Przeciętna płaca waha się (wahała się w końcu marca) między 500.000 a 1.000.000 karbowańców, takich niby-pieniędzy, tymczasowych kuponów. Hiperinflacja zżera codziennie ich i tak problematyczną wartość. W kantorach wymiany karbowańców nie ma, „brak gotówki", powiadają kasjerki. Gotówka jednak jest u podejrzanych osobników otaczających niepotrzebne okienko. Procedura wymiany, to prawdziwe misterium; akt przekazywania, jedną ręką, powiedzmy prawą, dolarów, musi być idealnie zgrany z odebraniem i sprawdzeniem, drugą ręką (została już tylko lewa), pliku karbowańców. Nikt nie ma zaufa-

nia do nikogo, miejscowi cinkciarze wypracowali bardzo wysublimowane metody nabierania frajerów, zwłaszcza zagranicznych.

Otóż w końcu marca, jeden dolar USA kosztował 40.000 karbowańców. Chociaż nie widziałem nikogo kto zapłaciłby za autobus, (ja także nie), choć telefon publiczny jest (jeżeli działa) za darmo, bo nie opłaca się produkować żetonów, chociaż komorne czy ogrzewanie jest żadne, jeżeli w ogóle jest uiszczane, to nikt przecież nie wyżyje za 15 czy nawet 25 dolarów miesięcznie.

Tylko dwie rzeczy funkcjonują poprawnie na Ukrainie. Mennica państwowa, która drukuje góry karbowańców na skalę wielotysięcznej inflacji i prywatny transport miejski, czyli, po polsku, jazda na łebka. Wystarczy jeden niewielki ruch ręką i pierwszy samochód od razu się zatrzymuje. Należy tylko z góry uzgodnić cenę i cel. Z lotniska (nazywa się, jakby w geście dla Jelcyna, Boryspol) do miasta pojechałem (zamówioną przez miejscowych kolegów) rozwalającą się wołgą z podpułkownikiem w mundurze za kierownicą. Za kurs, oficer dostał połowę jego miesięcznej gaży. Samolot się spóźnił i kiedy zapytałem oficera czy nie będzie miał kłopotów w pułku, powiedział: „To oni są winni, ci co płacą głodowe pensje". Odwoził mnie na lotnisko, za tę samą cenę, bezrobotny inżynier. Dlaczego bezrobotny? Bo, odpowiedział, pracować się nie opłaci. Otóż w tych warunkach, najbardziej doświadczeni obserwatorzy byli przekonani, że Ukraińcy do wyborów się nie pofatygują, zbojkotują urny, bo, jak mi to powiedziano, Ukraińcy już poznali i demokratów i komunistów , i są przekonani, że niczego po politykach spodziewać się nie powinni. Ale, obserwatorzy źle obserwowali. Ukraińcy do wyborów poszli masowo. I parlament wybrali. Na złe czy dobrze, to się dopiero zobaczy.

Rozmawiałem długo z absolutnie renesansową postacią — profesorem Myrosławem Popowyczem — filozofem, logikiem, erudytą, poliglotą (nie zliczyłem ilu językami się posługuje, włącznie z polskim), człowiekiem totalnie niezależnym, przez wszystkich, których pytałem, szanowanym, choć może nie przez wszystkich, z powodu ciętości i prawdy słowa, lubianym. Siwy włos, niewielki wzrost, szeroka gestykulacja, Popowycz nie uznaje żadnego tabu. Był pierwszym przewodniczącym „Ruchu" („no bo ktoś musiał być", powiada), ale z polityki się wyniósł, bo „dosyć w niej i beze mnie amatorów".

Otóż zapytany, jak to się stało, że, wbrew wszystkim prognozom, Ukraińcy poszli masowo do urn, Popowycz odpowiedział: „Ja też jestem zaskoczony. To jeszcze jeden dowód, że socjologia, a tym bardziej prognozowanie, nie należą do nauk ścisłych". Przecież, upieram się, powiadano, że Ukraińcy są zmęczeni trudnościami dnia codziennego, rozczarowani i apatyczni. „Zmęczeni? Na pewno tak. Rozczarowani? Też na pewno tak. Ale apatyczni? Na pewno nie, mówi Popowycz. Ukraińcy wydawali się nieobecni w życiu publicznym, albowiem nie identyfikowali się z władzą. A poszli do urn właśnie po to aby dać temu wyraz".

No dobrze, coś się jednak stać musiało. — Stało się wiele rzeczy — mówi Popowycz — dobrych i złych. Pojawiło się m.in. to, co ja nazywam „syndromem Wysp Kanaryjskich". Ruszyły mianowicie doły. Znaleźli się na przykład wulgarni i chamscy populiści, którzy poszli w masy z hasłami skierowanymi przeciw całej klasie politycznej. Taki np. Dmytro Poizd wołał, że „dopadnie przekupnych polityków i oszustów nawet jeżeli się ukryli na Wyspach Kanaryjskich" co dla niego jest zapewne symbolem dobrobytu, rozpusty i zepsucia. I trafił. Niektórym to wystarczyło. Poizd wygrał w pierwszej turze.

No — wrzucam — skorumpowanych nie trzeba było szukać na Wyspach Kanaryjskich. „To, niestety, prawda". Popowycz traci wyraźnie humor. „Niektórzy, nawet wśród moich kolegów, dali się kupić. Krawczuk bardzo sprytnie zneutralizował niektórych posłów z opozycji przydzielając im mieszkania w eleganckich (wszystko jest względne — dopisek L.U.) dzielnicach Kijowa. Naród nazwał to natychmiast 'Carskoje Sioło' w aluzji do rezydencji carów pod Petersburgiem".

Ale — upieram się — ani Wyspy Kanaryjskie, ani Carskoje Sioło nie mogły wystarczyć żeby pchnąć 75 % uprawnionych do urn. Tak — mówi Popowycz — „75 % to także zdany egzamin z początków dojrzałości. Jawi się zaczyn tego co się w Polsce nazywa społeczeństwem obywatelskim. Wybory to był głos już dojrzewającego protestu. Świat będzie musiał zmienić pogląd na Ukraińców...".

Żydowskie klisze

Najdalej posuniętą próbę łamania stereotypów przeprowadził w rozmowie ze mną minister od spraw narodowościowych, Ołeksander I. Jemec. Młody, ok. czterdziestki, inteligentny, znakomicie przygotowany do rozmowy, Jemec wiedział, że pierwsze moje pytanie dotyczyć będzie tajemnicy

spokoju etnicznego na Ukrainie, gdzie ponad 20% ludności to Rosjanie, nie licząc (Jemec dał mi długą listę) Polaków, Białorusinów, Żydów itd...

„Trzeba skończyć z kliszami", powiada Jemec jakby słyszał był Popowycza. „Ja wiem, że w tej dziedzinie Ukraina ma fatalną opinię na świecie. Fatalną, ale niesprawiedliwą. Ukraina ma długą tradycję tolerancji, u nas nigdy nie było masowej dyskryminacji etnicznej, ani masowych odruchów ksenofobii".

— No, a Żydzi, ukraiński antysemityzm i pogromy — delikatnie wtrącam (zanim przejdziemy do zasadniczej kwestii rosyjskiej) — to też klisza? „Naturalnie — odpowiada bez wahania Jemec. — Były u nas, to jasne, nieprzyjemne wypadki, ale gdzie ich nie było. Natomiast samo zjawisko antysemityzmu nie jest pochodzenia ukraińskiego. Sami żyliśmy pod okupacją, antysemityzm był do nas importowany z Rosji, 'czarna sotnia' się tym zajęła. Dziś jeszcze, na placu Puszkina w Moskwie 60% publikacji w wolnej sprzedaży to propaganda szowinistyczna i antysemicka. U nas tego nie znajdziecie".

— No, a kolaboracja w czasie wojny? „Mogę panu pokazać, odpowiada Jemec i rzeczywiście pokazuje, książkę wydaną w Izraelu o tym jak Ukraińcy pomagali Żydom pod okupacją..."

— Taka ukraińska „Lista Schindlera"?

— Nie znam tego filmu. Ale w roku 1989 było u nas zarejestrowanych około 500.000 Żydów. Ponad 200.000 wyjechało, ale dziś znowu Żydów u nas jest ok. 500.000...

— Cud — powiadam.

— Nie, statystyka — odpowiada Jemec. — Wśród emigrantów było wielu Ukraińców, którzy podali się za Żydów, aby móc wyjechać. Z drugiej strony, wielu Żydów wyszło z oficjalnego ukrycia. Dziś się już nie muszą niczego obawiać. Mówiąc szczerze, bardzo ich brak w ukraińskim pejzażu. Szalom Alejchem (właśnie dostał własną ulicę w Kijowie) i w ogóle kultura *jidysz* to przecież część naszej własnej kultury. Mieliśmy niedawno wielki festiwal kultury żydowskiej. Prawdziwy sukces...

„Sukces" Krawczuka

Drugi aktor wyborczej sztuki odniósł mniejszy sukces. Nazywa się Leonid Krawczuk. Leninów — jak się rzekło — już dawno w Kijowie nie widać, zamiast wodza powiewają

niebiesko-żółte, lekko już nawet przybrudzone, flagi niepodległej Ukrainy. Tam gdzie można było, to znaczy tam gdzie sięgnąć mogła ręka murarza, wydrapano także sierpy i młoty, zastąpione, choć w skromniejszej dawce, przez ukraiński niepodległościowy trójząb. Ale, tak jak przed dwoma czy trzema laty, wystarczy wywołać nazwisko Leonida Krawczuka, a każdy Ukrainiec, z czerni czy z uniwersytetu, z podziwem (rzadko) lub z niechęcią (często) odpowie w ten sposób: „Eh, to cwany facet, lis, nadzwyczajnie giętki polityk..." Definicji charakteru Krawczuka, a w tym epitetów, jest naturalnie znacznie więcej, niektóre jednak nie nadają się do druku. „W samolocie — to taki miejscowy dowcip — lecieli Jelcyn z Gorbaczowem, Samolot się rozbija, w katastrofie giną obaj. Kogo żałujecie bardziej? — Najbardziej, brzmi odpowiedź — żałujemy, że nie było z nimi Krawczuka..."

Najlepsza definicja czy skrót talentów Krawczuka należy do Wiaczesława Czornowiła. O Czornowile nikt nie mówi, że wykazał się „nadzwyczajną giętkością". Wprost przeciwnie. Giętkość Krawczuka otworzyła mu drogę do błyskawicznej kariery i do szczytu władzy i za czasów komunistyczno-sowieckich i za czasów Ukrainy niepodległej, w której ten były szef sowiecko-ukraińskiej partii komunistycznej objął stanowisko pierwszego posowieckiego i pokomunistycznego prezydenta w wolnym Kijowie.

„Kariera" Czornowiła potoczyła się zupełnie inaczej. Pionier i bohater walki o niepodległość, drugi co do „stażu" (po Łukianence) ukraiński więzień gułagu, obecnie leader „Ruchu", głównego składnika demokratycznej strony ukraińskiej sceny politycznej, zapytany, w nabitej i rozgorączkowanej sali Domu Literatów, o to, co go różni od Krawczuka, Czornowił odpowiedział: „Nic. Nie ma żadnej różnicy. Tylko ta, że Krawczuk mówi od trzech lat to, co ja mówię od lat trzydziestu".

Pytanie główne brzmi, co ma Krawczuk do powiedzenia dziś, w jakim stopniu jego giętkość pomogła mu przekroczyć próg pierwszych wolnych, powszechnych, pluralistycznych wyborów na Ukrainie, zwołanych, przed terminem, na przełomie marca i kwietnia 1994?

Krawczukowi trzeba oddać sprawiedliwość. „Giętki lis" (gdyby był czerwonoskórym to tak by się chyba nazywał) zrobił, przy pomocy ustępującego parlamentu, wszystko, aby wybory... się nie udały. Do 10 kwietnia nie było wcale pewne, że niepodległa Ukraina będzie w ogóle miała jakiś parlament.

Ale parlament jest. — To jest koniec kariery Krawczuka — mówi Popowycz. Szkoda — powiadam — Zachód go lubi. — To prawda — mówi Popowycz — ale to dziś nie wystarczy, aby być prezydentem Ukrainy. Krawczukowi nie można odmówić zasług. To on stworzył *image* Ukrainy za granicą. To on potrafił — szybkim manewrem „sprywatyzować" to znaczy „zukrainizować" wojsko i uniknąć faktycznej okupacji przez posowiecką armię rosyjską. Oczywiście, istnieją problemy floty czarnomorskiej czy Krymu, ale jest w dużej mierze zasługą Krawczuka, że widmo serbsko-chorwackie zostało przepędzone znad Ukrainy. Jest tylko jedno „ale": Krawczuk absolutnie niczego nie rozumiał ze spraw ekonomicznych. Zmarnował prawie trzy lata. I teraz za to musi płacić.

Spacer po ulicach, sklepach i bazarach, rachunek cen i zarobków, stan zapuszczenia miasta, rozmowy ze zgorzkniałymi ludźmi potwierdzają ten wniosek. Potwierdza to także ekspert Banku Światowego (a może Międzynarodowego Funduszu Monetarnego), który od roku już marnuje, jak mówi, swój czas i zachodnie pieniądze na doradzanie władzom Ukrainy. Ze szklanką *scotch*'a (już któraś kolejna) w ręku, sam (choć niezłych kandydatek na towarzystwo nie brakło) w hotelowym barze, ekspert, z ogromną mimo *whisky* trzeźwością sądu, potwierdza fachowo to co Popowycz zauważył po amatorsku: „Ukraińcy — powiada ekspert — to jedyny naród na posowieckim obszarze, który nie może zrzucić odpowiedzialności za spadek stopy życiowej na reformy gospodarcze. Tutaj reform po prostu nie było".

W którą stronę płynie gaz?

Kiedy 22 marca przyjechałem do Kijowa zima się właśnie powinna była skończyć. Skończyła się jednak tylko w kalendarzu. W istocie, zimno było jak w grudniu. Najgorszy był lodowaty wiatr, niosący brudny, agresywny kurz, który wdzierał się przez wszystkie szczeliny okien i... ciała, osiadał na biurku i w płucach. Na nic zdawało się wycieranie kurzu, po minucie znowu blat biurka czy stołu zalegał cienką żółtawą, lepką warstwą... Na szczęście, co za niespodzianka, w domach było ciepło, była nawet gorąca (czasem brakowało zimnej) woda, tylko ten potrafił to ocenić, kto to utracił i przeszedł próbę np. zimowego Wilna. Jest także benzyna, stosunkowo niedroga — 20 centów za litr, czasem prosto od

krowy, to znaczy na rogu ulicy z cysterny, a czasem nawet, sam widziałem, w tym co się tu nazywa stacją benzynową.

— Co za cholera — pytam Borię, dziennikarza i mojego ukraińskiego anioła stróża — dlaczego, przed wyjazdem, straszono mnie niesłusznie mrozem w domu czy brakiem benzyny, a nie straszono brudem? — Z brudem nie należy przesadzać, od brudu, jak twierdzą niektórzy, się nie umiera, to zresztą widać w Kijowie. Wszystko (poza — moim zdaniem — kijowskimi trolejbusami) da się w końcu wyczyścić. Ale na ogrzewanie i ciepłą wodę, należy patrzyć z większą ostrożnością. I tutaj, ku mojemu zdumieniu, słyszę ukraińską wersję starego polskiego antysowieckiego dowcipu, o tym, żeby spojrzeć do gazociągu i dokładnie sprawdzić, w którą stronę płynie gaz czy benzyna. Aluzja jest jasna: w każdej chwili strumień może odwrócić kierunek: nam chodzi o benzynę i gaz, im chodzi o politykę. Komu „im"?

— Kto to są tutaj „oni"?

— Bez Rosjan nic poważnego się na Ukrainie dziać nie może. Albo wprost z udziałem Rosji i Rosjan, albo, pośrednio, w ich cieniu. — Rosjanie nie Żydzi — powiadam do Jemeca. — Tu chodzi o ponad 21 % mieszkańców waszego kraju. Jakim cudem (na Ukrainie trzeba stosunkowo często wracać do pojęcia cudu, inaczej trudno wytłumaczyć niektóre zjawiska) — pytam — udało się wam uniknąć konfliktu. Oni was przecież nie lubią, to widać, a zwłaszcza słychać, na każdym kroku?

Twardy rubel

Jemec odpowiedział jak minister. Rzeczowo. — Wyprzedziliśmy, powiada minister, fale pretensji. Ukraina uchwaliła najbardziej chyba postępową ustawę o obywatelstwie. Inaczej niż u Bałtów, u nas wszyscy zamieszkali na terytorium naszego państwa, a w tym naturalnie, jeżeli nie przede wszystkim, Rosjanie, otrzymali prawo uzyskania obywatelstwa ukraińskiego. Rosjanie z tego prawa masowo skorzystali.

— No to dlaczego są teraz niezadowoleni? — Ano, bo są rozczarowani. Optując za obywatelstwem ukraińskim, większość Rosjan (w tym wielu oficerów) przekonana była o szybszym niż u matki Rosji wzroście dobrobytu i przejściu do normalnego życia. I się pomylili. Dziś na Ukrainie, pod niektórymi względami, jest gorzej niż w Rosji. Ukraina dziś, to chyba jedyny kraj na świecie gdzie rubel uchodzi za twardą

walutę. I ludzie o tym wiedzą. Spora część produkcji żywnościowej Ukrainy właśnie za ruble idzie kontrabandą do Rosji.

— A jak pan tłumaczy — pytam Jemeca — że Ukraina jest jedynym krajem posowieckiej diaspory rosyjskiej i to liczbowo największej (12 milionów, połowa całości), wobec którego Moskwa nie powołuje się na los rosyjskiej mniejszości aby stosować presję, jeżeli nie szantaż, czysto polityczny?

Odpowiedź Jemeca jest znowu rzeczowa. — Rosjanie wiedzą, że każda, nawet niewielka, próba podgrzewania na Ukrainie nacjonalizmu i separatyzmu rosyjskiego grozi wybuchem i wojną domową. Grozi Bośnia w najbliższym sąsiedztwie Rosji. Na razie, u władzy w Moskwie są jelcynowscy pragmatycy, którzy to rozumieją i wiedzą, że nie leżałoby to w interesie Rosji. Ani w ich własnym interesie. To jest geopolityka. Nie wolno jej lekceważyć. Ale, w rozmowach na tematy rosyjskie Ukraińcy najczęściej przytaczają akcenty irracjonalne choć...zrozumiałe. Jakiś sondaż obliczył, że dwie trzecie Rosjan w...Rosji nie pogodziły się z utratą Ukrainy. Dlaczego? Dlatego, że rosyjska świadomość, a może raczej podświadomość, została podwójnie okaleczona. Z jednej strony, Rosjanie rozumieją, że ich państwo zostało okrojone, zmniejszone terytorialnie i materialnie. Z drugiej strony, co może ważniejsze, tracąc Ukrainę (Białoruś także, ale to ma znacznie mniejsze znaczenie), Rosja jawi się bardziej azjatycka i mniej europejska. No i wreszcie (Ukraińcy tak argumentują jakby przeczytali Brzezińskiego w *Tygodniku Powszechnym*), Rosjanie uważają, że na przykład bez Białorusi czy Kazachstanu imperium rosyjskie może istnieć, ale że bez Ukrainy o nowej Unii czy po prostu o nowym imperium mowy być nie może. — „A w ogóle — mówi na ten sam temat Popowycz — to jest nie na mapie, a w głowie. Najtrudniej jest zmienić mentalność, sposób myślenia. Otóż Rosjanie nie są w stanie myśleć o Ukrainie jako o państwie niepodległym. Po prostu nie mieści im się to w rozumie. Trzeba będzie pokoleń. A tymczasem trzeba się przygotować na rozmaite niebezpieczne zygzaki..."

Tu wracamy do rozmów o ogrzewaniu i do pytania skąd dokąd płynie gaz i benzyna. Rosyjskie myślenie o Ukrainie jest być może irracjonalne, ale polityka wobec Ukrainy jest całkowicie racjonalna. Rosjanie (i Turkmeni) wprowadzili np. na energię dostarczaną Ukrainie ceny prawie światowe. Dług sięga miliarda dolarów. Czysta fikcja w warunkach ukraińskich. Rosja już kilka razy ograniczała dostawy, przykręcała kurek. Zimą tego roku, na długo przed wyborami (to ma chyba związek przyczynowy) ogrzewanie było limitowane, ciepłej wody i benzyny brakowało, zakłady stawały z braku energii. Jelcyn niczego nie wymyślił, Gorbaczow też manipulował kurkiem i wobec Litwy i wobec Ukrainy. — No to, co będzie? Przecież Ukraina nie ma centa. Na razie, powiadam, Żyrynowski jest jedynym politykiem w Moskwie, który proponuje zamknięcie dostaw energii i otwarcie postuluje aby wziąć Ukrainę zimnem, ale przecież wiadomo, że wielu innych jest tego samego zdania, tylko że po cichu.

— A może — podpowiadam perfidnie — warto im dać połowę floty czarnomorskiej? — Ja — mówi Popowycz — oddałbym cały ten szmelc. Problem tylko, że oddanie floty niczego nie załatwi. Dasz jeden palec, zażądają całej ręki. Po flocie przyjdzie Sewastopol, a potem cały Krym, Donieck itd.

Ukraina, jak ktoś to określił, ma wyjątkowy przywilej: jest krajem całkowicie wolnym, ale totalnie zrujnowanym. Jest ze wszystkich posowieckich republik najbardziej ekonomicznie osłabiona i stąd najbardziej wystawiona na szantaż, a równocześnie jest nowosuwerennym posowieckim państwem o najbardziej przez Rosję, żeby to tak określić, nie uznawanej niepodległości.

Gdzie Krym, gdzie Kijów

Przyjechał do Kijowa kolega szkolny mojego Borii. Rosjanin, prawdziwy demokrata, tolerancyjny, otwarty. Jak usłyszał o Krymie, dostał szału. Dajcie kałasznikowa, wołał, pójdziemy odbierać nasz rosyjski Krym. „Pan do Symferopola? Pan raczy żartować". Z Kijowa na Krym jest jeden samolot tygodniowo. Jeżeli jest. Można pociągiem. 26 godzin. Jeżeli jest miejsce. Naturalnie, istnieją przyczyny techniczne i materialne, dla których ta jedna z najbardziej kiedyś opłacalnych linii lotniczych jest właściwie sparaliżowana: brak kerozenu, deficyt w kosztach eksploatacji itd. Ale, powiadają, polityka też gra tu rolę.

Polacy znają historię Krymu. Przeważnie z literatury, ale jednak. Kiedyś chanat tatarski, zaanektowany przez Katarzynę II w końcu XVIII wieku (wtedy powstał Sewastopol jako baza morska), Krym został podarowany sowieckiej republice ukraińskiej w 1954 roku przez Nikitę Chruszczowa dla uczczenia 300-lecia „wiecznej unii wielkich bratnich naro-

dów słowiańskich". Chruszczow nie wiedział, co robi. Podarować Krym Ukrainie w rok po śmierci Stalina właściwie nie miało praktycznego znaczenia: zmieniało nie istniejące faktycznie wewnętrzne granice w państwie sowieckim, nikomu nie przeszkadzało, nikt właściwie tego nawet nie zauważył, i tak wszystko zależało od i decydowało się w Moskwie, na Kremlu. Rewindykować zwrot czy powrót Krymu do Rosji w 1994 roku, to, wprost przeciwnie, bardzo niebezpieczna gra polityczna, niebezpieczna operacja, w przenośni i dosłownie, wybuchowa. Niektórzy się w to bawią.

Żal za utraconym nomenklaturowym Eldorado jest widoczny. — Eh, proszę pana, to była Floryda i Riwiera zarazem — wzdychają. — Tu za kilka rubli można było zjeść, wypić, zabawić się, kochać... Można było. Kiedyś. Teraz — dodaje — nawet kochać się (w oryginale padło inne słowo) nie chce. Raj został utracony. W braku turystów, Florydę przypominają tylko klimat (częściowo) oraz gangsterzy. — Niektórzy z podziwem, inni ze strachem, nazywają — chyba z pewną przesadą — Krym „Sycylią Ukrainy".

Ale to nie mafia stanowi prawdziwe niebezpieczeństwo Krymu, Ukrainy i, w pewnym stopniu, jej sąsiadów. Ponad 70 procent z 2,5 miliona mieszkańców tego, ongiś, rajskiego półwyspu od 40 lat należącego do Ukrainy, to Rosjanie. W referendum na temat niepodległości w 1991 roku, większość Rosjan głosowała za...Ukrainą, tak wielkie było przekonanie, że poza Rosją życie będzie zawsze lepsze. Dziś jest na odwrót. Równocześnie z „normalnymi" wyborami do parlamentu w Kijowie, Krym zorganizował swoje własne, oficjalnie nielegalne, referendum, w którym mieszkańcy ukraińskiej autonomicznej republiki Krymu głosowali masowo za hasłami zbliżenia, a dla niektórych, powrotu do Rosji. To referendum zaczęło się właściwie już kilka miesięcy temu, kiedy krymscy Rosjanie wybrali sobie niejakiego Jurija Mieszkowa na krymskiego prezydenta. Mieszkow, połączenie hajdamaki i KGB-isty, ma bogatą biografię, szykował m.in. wyprawę na Foros aby wyzwolić Gorbaczowa z kleszczy puczu. Jako prezydent Mieszkow nie próżnował, podjął całą serię decyzji, które, gdyby zacząć je realizować, już dawno wprowadziłyby Krym do wielkiej rodziny federacji Rosji. Ostatni jego pomysł to wprowadzenie do akcji oddziałów piechoty morskiej floty czarnomorskiej dla przypieczętowania albo powrotu do Rosji albo niepodległości...Krymu. Jest kilka punktów widzenia na Mieszkowa.

Zdaniem Popowycza: — Jurij Mieszkow to niebezpieczny kretyn. Przy Mieszkowie, Żyrynowski to pomnik równowagi i umiaru.

Zdaniem Jemeca: — Jurij Mieszkow to marionetka. Krym to niewątpliwie delikatna kwestia. Krym, to w pewnym sensie symbol naszej niepodległości. Dla Rosji byłoby to igranie z ogniem. Separatyzm i secesjonizm są zaraźliwe. Przykład Czeczenii powinien wystarczyć. Jest wiele regionów w Rosji, które czekają na taki sygnał. Byłoby lepiej i dla Ukrainy i dla Rosji, gdyby Krym pozostał na zawsze wewnętrzną sprawą Ukrainy.

Do Bośni niedaleko

Ukrainy i Tatarów, którzy też mają swoje zdanie (bardzo złe) o Mieszkowie i o których Mieszkow, i świat w ogóle, chciałby nie pamiętać. Ale Tatarzy zapomnieć się nie dadzą. Jemec przypomina, że poczucie rosyjskości Krymu, jeżeli założyć, że coś takiego istnieje, zbudowane jest na prześladowaniu i niszczeniu Tatarów, potomków Złotej Ordy, pierwszych mieszkańców tego półwyspu. W 1944 roku Stalin, pod zarzutem kolaboracji, wysiedlił wszystkich Tatarów do Azji Środkowej. Połowa — jak twierdzą — zginęła po drodze, reszta wegetowała, ci co przeżyli i ich dzieci, zaczęli powoli myśleć o powrocie, a potem wracać. Historia jest znana... (polecam znakomity reportaż Hugo Badera w Magazynie Nr 37 *Gazety Wyborczej* z dn. 12 listopada 1993, str. 6–10). Dziś Tatarów na Krymie jest znowu 300.000, nie mają ani ziemi, ani...wyboru. Popierają Ukrainę, bo przecież nie mogą popierać Rosji, a tym mniej Mieszkowa, z którym mają porachunki do załatwienia, i jest to eufemizm. Moi koledzy, którzy dostali się na Krym w samolocie obserwatorów zagranicznych, przywieźli mi butelkę krymskiego „koniaku" (bardzo się przydał) oraz zdanie wypowiedziane przez Mustafę Dżemilewa, przywódcę krymskich Tatarów, wieloletniego więźnia gułagu, przyjaciela rosyjskich dysydentów: „Na Krymie — powiedział umiarkowany zazwyczaj Dżemilew — pachnie prochem".

Jurij Osmanow miałby na ten temat coś do powiedzenia. Miałby, gdyby żył. Ale go zabili. Osmanow był delegatem Narodowego Ruchu Tatarów Krymskich. Proponował rozmaite rozwiązania, tak aby Tatarzy mogli osiąść na ich, albo jakiejś, ziemi. Miejscowy politolog tłumaczy mi sens misji Osmanowa i innych: „Biorąc pod uwagę sytuację geopolitycz-

ną Krymu — powiada z ręką na mapie — nie wolno dopuścić tu do takiej 'próby sił' do jakiej doszło w Abchazji, ani pozwolić na taki wariant 'stabilizacyjny' jak w Tadżykistanie. — Stąd — podkreśla — niedaleko do Karabachu i nawet do Bośni. Pozostaje mieć nadzieję, że choć Osmanow nie żyje, to jego argumentacja przeżyła. Jeżeli nie..." „Determinacja Tatarów — powiada Jemec — jest na miarę ich cierpień. Mieszkow tego nie rozumie. To nie jest kwestia liczebności. W tego typu, broń Boże, konflikcie, 100.000 *desperados* ważą więcej niż milionowy tłum...".

Nowa Jałta

Najkrócej sprawę ujął Popowycz: — „Zachód — powiedział — niczego nie rozumiał z ukraińskiej sytuacji. Dopiero kiedy pokazała się na moskiewskim niebie zjawa Żyrynowskiego, Zachód, bardzo powoli, zaczął trzeźwieć".

— Polska też nie rozumie? — zapytałem. — Polska — odpowiedział — leży na zachód od Ukrainy.

Nieco szerzej kwestie stosunku Zachodu do Ukrainy potraktował Dmytro Pawłyczko, wielki polonofil, założyciel Partii Demokratycznej, były przewodniczący komisji spraw zagranicznych Werchownej Rady, i były poseł (były albowiem odpadł, i to od razu w pierwszej turze ostatnich wyborów). „Zachodni sąsiedzi (Ukrainy), powiedział m.in. Pawłyczko, przejawiają coraz bardziej natarczywie pragnienie wstąpienia do NATO... Niestety nie mają jasnej koncepcji stosunku do Wschodu".

— Czy Polska także nie ma? — Polska — według Pawłyczki — jest zachodnim sąsiadem Ukrainy.

Jeszcze dalej, to normalne, posunął się Anatolij Złenko, minister spraw zagranicznych Ukrainy. Kiedy Złenko podpisywał w Brukseli dokument o przyłączeniu się Ukrainy, jako pierwszego z krajów byłego ZSSR, do „Partnerstwa dla Pokoju", wymyślonego przez USA aby uniknąć perspektywy wejścia Europy środkowej do NATO, nie ukrywał zadowolenia: „Ukraina — powiedział minister — od początku popierała tę ideę (Partnerstwa) jako rozsądną i pragmatyczną alternatywę dla selektywnego rozszerzenia NATO, które na pewno nie zapewniłoby bezpieczeństwa Europie, mogłoby natomiast — naszym zdaniem — destabilizować sytuację na kontynencie".

Nie zapytałem Złenki, bo nie miałem okazji, czy Polskę

także wejście do NATO by destabilizowało? Ale, domyślam się jaką odpowiedź bym otrzymał.

Dwie kotwice

Tu bowiem leży pies pogrzebany. Do wymiany uprzejmości, w poprzednim numerze *Kultury*, między profesorem Bohdanem Osadczukiem i panią Aldoną Chojnowską, sekretarzem Komitetu Konsultacyjnego Prezydentów RP i Ukrainy, nie mam wiele do dodania. Oficjalnie formułowane geopolityczne interesy Polski i Ukrainy są ze sobą sprzeczne. Celem strategicznym Polski jest trwałe zakotwiczenie się w zachodnich strukturach, a przede wszystkim wejście do NATO. Ukraina zaś uważa — jak mi to powiedziano w Kijowie — wejście Europy środkowej, a przede wszystkim Polski do NATO, za nową Jałtę, nowy podział Europy, w wyniku którego Ukraina znajdzie się — tak jak kiedyś cała Europa środkowa i wschodnia — po niedobrej stronie muru. Bardzo mi to prosto wytłumaczono: dla Rosji będzie to sygnał, że tych na zachód od „muru" ruszać nie wolno, tych natomiast na wschód od „muru"...róbta co chceta.

Inaczej mówiąc, Polska chce do NATO, Ukraina, która wie, że nie może, że to mrzonki, myśli o jakimś układzie regionalnym, zdolnym wypełnić to, co z punktu widzenia jej bezpieczeństwa stanowi w najlepszym razie pustkę strategiczną, a w najgorszym razie tereny łowieckie Rosji. „My wiemy, że Polska jest za biedna aby nam pomóc, że, jak napisała *Gazeta Wyborcza*, nie wystarczy mieszać herbaty, żeby była słodka. Potrzeba cukru. My cukru nie mamy. Ale Polska nawet mieszać nie próbowała. My rozumiemy, że interesy mogą się nie zgadzać, że nam jest bardzo trudno pomóc — powiedział Popowycz w bezbłędnej polszczyźnie z cudownym ukraińskim akcentem — proponowaliśmy rozmaite rozwiązania, Polska jednak okazała się niełaskawa, niegościnna..."

Bardzo krytyczny pogląd na zachodnią (a w tym polską) strategię wobec Ukrainy jest powszechnie (to znaczy w miejscowej elicie) podzielany. Hotel nazywa się „Ukraina" (pięć gwiazdek), wódka tylko...Smirnowa, 10 dolarów mała płaska butelka, jedzenie podłe, rachunek astronomiczny, daje jednak przyjemne uczucie, przy płaceniu wychodzi, że się jest milionerem. Wokół stołu, kilku, świetnie zorientowanych, młodych ukraińskich politologów. Różnią się detalami i sympatiami (poza wspólną i ogólną sympatią nie tyle do Polski,

co do polskości), ale zgadzają się co do istoty. W wielkim skrócie, „istotę" można streścić tak:

a) Strobe Talbott, zastępca sekretarza stanu (i, jak się sądzi, przyszły sekretarz stanu), twórca rosyjskiej strategii USA, jest jedną z najmniej popularnych osobistości na Ukrainie. Jego polityka *Russia first* była, i jeszcze jest, zabójcza przede wszystkim dla Ukrainy.

b) Zmiany jakie w amerykańskiej polityce następują w wyniku rosyjskich wyborów i pojawienia się akcentów imperialnych w dyplomacji Jelcyna, są za małe i za wolne. Amerykanie powinni zrozumieć, że dawanie Rosji wolnej ręki w „bliskim sąsiedztwie", to zgoda na powrót do imperium. Rosja jest i pozostanie rywalem USA. Teraz jest rywalem słabym. Czekanie aż się rywal wzmocni, to błąd czyli gorzej niż zbrodnia.

c) Polska się myli, jeżeli sądzi, że w zamian za opuszczenie Ukrainy uzyska zgodę Moskwy na lądowanie w NATO.

d) Świat powinien zrozumieć, że jeżeli nic się tu, i to stosunkowo szybko, nie zmieni na lepsze, to Rosja nie będzie musiała się wysilać: „Ukraina przyjdzie do niej na kolanach." Lenin odżyje i odzyska głowę.

Dwa pomniki

Na kolanach czy na stojąco, pozycja nie ważna. Ważne, że nie będzie to dla Zachodu (a, powtarzam, że patrząc z Kijowa, Polska leży na Zachodzie) dobry interes. Ukraina jest dziś przykładem tragicznego paradoksu. Gospodarka w ruinie, choć prawdziwej gospodarki nie ma. Państwo w rozkładzie, choć prawdziwego państwa nie ma. Z braku prawdziwych punktów odniesienia, Ukraińcom pozostają symbole. Historia dostaje czkawki. Historia bowiem jest tu wpisana między dwie daty i dwa pomniki.

Pierwszy to Bohdan Chmielnicki, ataman kozacki (mój szkolny kolega: trzy wieki różnicy, ale obaj uczęszczaliśmy do gimnazjum we Lwowie, jego było jezuickie, moje żydowskie). Chmielnicki patrzy z kamiennego pomnika na Kijów i na Ukrainę, z wysoka, z ogromnego konia, twarzą do wspaniałej cerkwi św. Zofii i bezsensownej „stalinowskiej" kolumnady okropnego gmaszyska Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ale Chmielnicki powinien, po kozacku, ostro, zawrócić konia tak aby już przez wieczność patrzyć w kierunku Moskwy. To bowiem do Moskwy Chmielnicki się w 1654 roku zwrócił aby przyłączyła Ukrainę i pomogła bić Polaków. I rzeczywiście pomogła i przyłączyła. I to tak skutecznie, że dopiero po 350 latach kolonizacji, rusyfikacji i eksploatacji, Ukraińcy mogli się znowu poczuć u siebie. Niezupełnie, nie wszędzie, a na jak długo, to się dopiero okaże.

Drugi pomnik to betonowy, przygnębiający, straszny sarkofag reaktora numer 4 w Czarnobylu. Na Ukrainie, nie mówi się Czarnobyl. Tak jakby osiem lat po wybuchu ciągle panował strach przed tą nazwą i trzeba było ją egzorcyzmować, o Czarnobylu mówi się „zona". Tutaj do dziś ciągle brak słów dla opisania tej „chwili atomowej prawdy". Ministerstwo „Czarnobyla" pochłania jedną szóstą budżetu państwa, co naturalnie, nie starcza prawie na nic. Mimo obietnic a nawet decyzji rządowych i uchwał parlamentarnych, deficyt energetyczny i gazowy szantaż rosyjski są tak wielkie, że „monstrum" nie zostało zamknięte, trzy reaktory w Czarnobylu (tego samego typu co nr 4) nadal pracują.

Ale to nie tylko sam wybuch zaryły się i pozostał w pamięci Ukraińców. Sarkofag (coraz mniej szczelny zresztą), to symbol nie tylko dramatu ludzkiego, ale także cynizmu i niekompetencji władzy sowieckiej. Wstrząsem, dosłownie i w przenośni, był nie tylko początek popromiennej śmierci, ale także sposób w jaki władza komunistyczna „zarządzała", a raczej nie zarządzała, dramatem czarnobylskim. Kłamstwo o rozmiarach tragedii, dezinformacja o jej charakterze, pogarda dla życia ludzkiego, a, na dalszą metę może przede wszystkim, absolutny niedowład organizacyjny i niemożność sprostania wyzwaniu technologicznemu, obnażyły, tym razem do końca, prawdziwy sens i wewnętrzne próchno sowieckiej władzy. To wtedy w Moskwie Gorbaczowa poczęła się *głasnost*. To wtedy na Ukrainie zaczął się prawdziwy koniec sowietyzmu. Lata zanim Związek Sowiecki się rozleciał, to w Czarnobylu, w oczach i świadomości Ukraińców, a potem i innych, pękać zaczęły kajdany gnijącego od wewnątrz imperium.

Bush bez konia

By się symboliczna klamra naprawdę zamknęła to — jak proponują moi rozmówcy — potrzebny jest jeszcze jeden pomnik. Czyj, pytam? Prezydenta Busha!? Dlaczego? No bo my tutaj dobrze pamiętamy, że kiedy już się wszystko waliło, to prezydent Bush przyjechał do Kijowa, aby nas przekonywać o urokach wspólnego życia z Rosją...

Kultura, choć biedna, powinna sama się dołożyć i rozpisać składkę na taki pomnik, choćby — żeby było taniej — bez konia. Pomnik Busha, żeby wrócić do początku tego artykułu, powinien zająć dokładnie miejsce po niedawnym centralnie postawionym Leninie, albowiem powinien symbolizować inny, równie krótkowzroczny typ wielkomocarstwowego myślenia, niezrozumienia sytuacji w tej części Europy. Powinien uświadomić światu, że Ukraina, ale tylko Ukraina niepodległa, stanowić może zasadniczy element jakiegokolwiek skutecznego systemu bezpieczeństwa w tym rejonie Europy. Że Ukraina, ale tylko Ukraina niepodległa, może stać się falochronem, o który rozbijać się będzie mogła coraz bardziej wzbierająca w Moskwie fala dążąca do stworzenia nowej unii, nowego związku, zdominowanego przez Rosję i działającego w jej nowo- (a może staro-) mocarstwowym interesie.

Czas już nadszedł — jak mówi Popowycz — aby Polacy zaczęli się uczyć historii i polityki wschodniej z innych niż Sienkiewicz źródeł. Powinni sięgnąć poza ogień i miecz. Słowo Ukraina bierze się — jak Polakom wiadomo — z pojęcia pogranicza, obrzeża, krańca. Wystarczy kilka dni pobytu i kilka rozmów na Ukrainie, aby zdać sobie sprawę, że choć Ukraina leży na pograniczu i krańcu Europy, to z punktu widzenia nie geografii a polityki, Ukraina leży w środku naszego kontynentu. I — warto dodać — w centrum interesów Polski.

Pisane 8 kwietnia 1994

Leopold UNGER

P.S. Do powyższego „Widzianego z Kijowa", wysłanego do redakcji dwa dni przed drugą turą wyborów, mam — dwa dni po wyborach — niewiele do dodania. Wśród 337 miejsc już przyznanych, największą liczbę posłów w nowym parlamencie ukraińskim stanowią osoby... nieznane, startujące jako „niezależni". Prorosyjscy komuniści poszli do przodu, niepodległościowi demokraci także, choć w mniejszym niż się spodziewano stopniu. „Partia władzy" popierająca prezydenta Krawczuka i Blok Międzyregionalny byłego premiera Kuczmy poniosły klęskę. Na tym sumowanie wyników należy przerwać, albowiem to i tak prowizorka i wróżenie z fusów. Prawdziwy wynik i stosunek sił w parlamencie będzie możliwy do odczytania dopiero kiedy, przy okazji konkretnego głosowania, ujawnią swe kolory polityczne rzekomi (w znakomitej większości) niezależni.

Na razie można jednak sformułować dwie uwagi. Pierwsza to ta, że Ukraina będzie krajem bardzo trudnym do rządzenia. Mówiąc schematycznie, prorosyjski wschód (oraz Krym) i niepodległościowy zachód mają ze sobą niewiele wspólnego. Trzeba będzie ogromnej dozy dobrej woli i zdrowego rozsądku aby w tej sytuacji znaleźć wspólny język i jakąś wiarygodną większość w parlamencie. Nie mam pewności, że obecna klasa polityczna Ukrainy się na to zdobędzie.

Druga uwaga to ta, że, jak to wykazały, tuż po wyborach, pirackie zabawy z udziałem rządów Rosji i Ukrainy oraz kilku okrętów czarnomorskiej floty wojennej, akcenty hurrapatriotyczne będą w dalszym ciągu silniejsze niż pragmatyczne i rozsądne poszukiwanie jakiegoś, w końcu nieuniknionego, *modus vivendi* między obu państwami. Nowej wojny krymskiej nie będzie, ale takie awanturki są bardziej szkodliwe dla Ukrainy niż dla Rosji. W Rosji służą do banalnego podbijania nacjonalistycznego bębenka tak ostatnio modnego w kremlowskiej retoryce. Na Ukrainie jednak wywracają do góry nogami listę prawdziwych priorytetów i nie pozwalają zająć się podstawowymi sprawami kraju, to znaczy reformą gospodarki i budową państwa. Nie jestem pewny, że Ukraina może sobie na taki luksus pozwolić.

Wysłane 13 kwietnia 1994

L.U.

Zaniedbywany handel z Europą Wschodnią

Procesy integracji w Europie Zachodniej i dezintegracji w Europie Wschodniej

W minionym dziesięcioleciu nastąpiła drastyczna zmiana w strukturze handlu zagranicznego Polski. Udział krajów należących do dawnego RWPG obniżył się w eksporcie i imporcie polskim z ok. 55 % w początku lat osiemdziesiątych do ok. 15 % w 1992 r. Natomiast udział krajów rozwiniętych wzrósł w tym czasie z ok. 30 % do ok. 70 %. Fakt, że tak

duże przesunięcie w kierunkach handlu dało się zrealizować bez spadku obrotów handlowych, a nawet przy pewnym ich wzroście, można by nie bez racji uznać za sukces. Jest to jednak sukces doraźny, który nie daje żadnych pomyślnych perspektyw na przyszłość. Rozmiary handlu zagranicznego Polski są wciąż bardzo małe (np. w 1991 r. eksport na mieszkańca wynosił w Polsce 390 dol., gdy w Hiszpanii 1542 dol., a we Francji 3766 dol.). Trzeba więc rozwijać eksport na wschód i na zachód jednocześnie. Tymczasem na obu kierunkach występują trudności. Na rynkach zachodnich nasz eksport jest mało konkurencyjny. Na rynkach wschodnich zaś, dotkniętych kryzysem i borykających się ze zmianami systemowymi, też napotyka się bariery popytowe.

Jeżeli uwzględnimy, że dziś na dawne kraje RWPG przypada 6/7 granic lądowych państwa i zaledwie 1/7 obrotów handlu zagranicznego, to wówczas sprawa barier rozwoju handlu staje w szczególnie ostrym świetle i zasługuje, aby ją rozważyć na szerszym tle zachodzących w Europie procesów integracyjnych.

Lata po II wojnie światowej cechowały w Europie dwa zjawiska, które nie miały precedensu w historii tego kontynentu: jedno — to wysokie tempo wzrostu gospodarczego, zakłócane tylko w niewielkim stopniu łagodnymi stosunkowo recesjami; drugie — to intensywnie rozwijające się procesy integracji gospodarczej. Były to zjawiska wzajemnie powiązane, gdyż — jak to dziś raczej powszechnie ocenia się — organizacje integracyjne (Wspólny Rynek, Europejska Strefa Wolnego Handlu itp.) wydatnie przyczyniały się do szybszego rozwoju krajów uczestniczących.

Procesy integracyjne zachodziły zarówno w Zachodniej, jak i Wschodniej Europie. Jednak zainicjowane zostały i nabrały dużego rozmachu tylko w Europie Zachodniej. Natomiast procesy integracyjne podejmowane w Europie Wschodniej miały charakter wtórny i wynikały z chęci adaptacji pewnych rozwiązań zachodnich do warunków gospodarki centralnie planowanej. Tak więc np. powołanie w 1949 r. Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej było w jakiejś mierze odpowiedzią na Plan Marshalla, a uchwalenie w 1971 r. Programu Kompleksowego[1] było w dużym stopniu inspirowane sukcesami Wspólnego Rynku. Ten ostatni Program realizowany był powoli i z dużymi oporami. W latach siedemdziesiątych postęp w przekształcaniu mechanizmów wymiany w krajach Europy Wschodniej był znikomy: trudno powiedzieć, czy przyczyna braku postępu tkwiła tylko w złożoności zadań, czy raczej w oporach biurokratycznych aparatów w poszczególnych krajach, zazdrośnie strzegących swoich pozycji w centralnie zarządzanej gospodarce. Dylemat ten stracił oczywiście swoje znaczenie w świetle późniejszych wydarzeń.

1. Prace nad programem, którego pełna nazwa była: „Kompleksowy program dalszego pogłębiania i doskonalenia współpracy i rozwoju socjalistycznej integracji gospodarczej krajów członkowskich RWPG", trwały kilka lat. Pierwsze dyskusje nad problemem odbyły się w Polsce z inicjatywy premiera J. Cyrankiewicza jesienią 1967 r.

Od 1989 r. następuje szybki rozpad dotychczasowych form współpracy gospodarczej krajów Europy Wschodniej. W krótkim czasie dokonuje się zjednoczenie Niemiec, rozpad Jugosławii, podział Czechosłowacji i rozpoczyna się proces przekształcania ZSSR we Wspólnotę Niepodległych Państw. Znacznie szerszy zasięg mają procesy dezintegracji gospodarczej, które obejmują również kraje nie zmieniające swoich struktur państwowych. Wraz z odejściem od systemu gospodarki centralnie planowanej załamuje się całkowicie wzajemna wymiana handlowa, co dodatkowo pogłębia kryzys gospodarczy w krajach Europy Wschodniej.

W rezultacie tych procesów powstaje nowe zupełnie zjawisko podziału Europy na dwa obszary o całkowicie przeciwstawnych tendencjach rozwojowych. Z jednej strony integrująca się coraz ściślej Europa Zachodnia, gdzie znosi się granice dla ruchu ludzi, towarów i kapitałów, projektuje unię monetarną, myśli o unii politycznej. Z drugiej strony postępująca dezintegracja Europy Wschodniej, w której tworzą się coraz to nowe państwa, nowe granice, nowe waluty, kurczy się wzajemna wymiana handlowa, utrzymują się konflikty zbrojne, rośnie przepaść między stopą życiową ludności w obu częściach Europy.

Rozpatrując perspektywy rozwojowe tylko z punktu widzenia regionalnej współpracy gospodarczej nieodparcie nasuwa się wniosek, że Europa Zachodnia zmierza do świetlanej przyszłości, Europa Wschodnia zaś do nieuchronnej klęski. Oczywiście integracja gospodarcza nie jest jedynym czynnikiem rozwoju, ale niewątpliwie jest czynnikiem bardzo ważnym, jak tego dowodzą doświadczenia krajów europejskich. Te doświadczenia, a także przesłanki teoretyczne, uczą jednocześnie, że najkorzystniej jest rozwijać handel z krajami geograficznie bliskimi.

Czy i jak zamierzamy rozwijać handel z Europą Wschodnią?

Przy braku oficjalnych na ten temat materiałów, oficjalnych deklaracji, czy sprawozdań, warto sięgnąć do relacji z dys-

kusji, która miała miejsce w redakcji *Życia Gospodarczego* (*Ż.G.* nr 42 z 17.11.1993). W relacji, noszącej wymowny tytuł „Szanse i zasadzki rynków wschodnich", znajdują się opinie osób dysponujących doświadczeniem w handlu zagranicznym. Tak więc w dyskusji, prowadzonej przez naczelnego redaktora pisma — Karola Szwarca, uczestniczyli: prezes Banku Rolno-Przemysłowego (i były minister współpracy gospodarczej z zagranicą) Dariusz Ledworowski, prezesi dwóch dużych firm eksportujących: „Elektrim" — Andrzej Skowroński i „Budimex" — Grzegorz Tuderek, główny specjalista Ministerstwa Współpracy Gospodarczej z Zagranicą — Mikołaj Oniszczuk i prezes niedawno powstałego Światowego Centrum Finansów i Handlu ze Wschodem — J. Mulewicz.

W dyskusji zaznaczyła się duża zgodność w ogólnej ocenie handlu Polski z krajami Europy Wschodniej; uważano, że handel ten jest zbyt mały w stosunku do potrzeb i możliwości, należy go intensywnie rozwijać, nie oczekując jednak, że handel ten odzyska dominującą pozycję, jaką zajmował w wymianie Polski przed 1989 r. Podawano bardzo wiele przyczyn, które złożyły się na gwałtowny spadek wzajemnych obrotów: ostry kryzys gospodarczy i towarzyszący mu spadek inwestycji, całkowita zmiana systemu handlu i rozliczeń, trudności wdrażania dokonywanych głębokich reform gospodarczych, odchodzenie od nienowoczesnej, niekonkurencyjnej i materiałochłonnej struktury produkcji. Niektóre z tych zmian mają charakter nieodwracalny i one właśnie w dużej mierze decydują, że powrót do dominującej roli krajów Europy Wschodniej w obrotach zagranicznych Polski jest mało realny.

Niezależnie jednak od celowości analizowania przyczyn trudności powstałych we wzajemnej wymianie, dużo ważniejsze wydaje się poszukiwanie dróg przezwyciężenia tych trudności. Dyskutanci nie pominęli tego problemu. W dyskusji padło wiele propozycji środków mogących służyć ożywieniu wymiany. Najczęściej dotyczyły one systemu rozliczeń, co jest zrozumiałe w sytuacji, gdy wszystkie kraje regionu muszą walczyć z inflacją i deficytami bilansów płatniczych. Były więc propozycje wprowadzania *clearingu* dwustronnego, *barteru* (wymiany towaru za towar), rozliczeń w walutach krajowych, rozliczeń wielostronnych itp. Inny charakter miały propozycje dotyczące pewnych rozwiązań instytucjonalnych w formie tworzenia np. transnarodowych korporacji (również z udziałem przedsiębiorstw zachodnich międzynarodowych), banków np. polsko-rosyjskich, ośrodków informacji i promocji handlu.

Te luźne propozycje nie były przedmiotem szerszych dyskusji, czy kontrowersji, z jednym wszakże wyjątkiem. Gdy p. Tuderek zaproponował, aby uznać, że w istniejących warunkach nie ma innej możliwości wzajemnego rozszerzenia sobie dostępu do rynków, jak poprzez wymianę barterową i uzgadniane listy towarowe, nikt go nie poparł. Wprost przeciwnie, liczne były opinie krytyczne. Podkreślano, że wymianę należy realizować w sposób rynkowy, a nie centralnie sterowany, że należy budować system od dołu (od przedsiębiorstw), a nie od góry, że model handlu powinny wypracować przedsiębiorstwa, a nie, nie znający realiów życia, urzędnicy, że nie da się zmienić systemu bez pomocy zagranicznej. „Własnego patentu na handel z Rosją nie wymyślimy, jesteśmy za mali, do tego potrzeba wciągnąć partnerów zachodnich" — powiedział J. Mulewicz.

W toku dyskusji zarysował się jeszcze inny ważny dylemat, chociaż już mniej kontestowany. Nawiązując do propozycji rozliczeń w walutach narodowych (zgłoszonej niedawno przez Rosjan), D. Ledworowski zauważył, że rozliczenia takie trudno byłoby zastosować w obrotach z wszystkimi krajami Europy Wschodniej, natomiast mogłyby one okazać się odpowiednie w węższych układach, np. Grupy Wyszehradzkiej. Ten pogląd spotkał się jednak z repliką (J. Mulewicz), że nie można różnicować metod rozliczeń, gdyż prowadziłoby to do niespójności systemu.

Dyskusja była ciekawa i pożyteczna. Dyskusje tego typu pozwalają identyfikować niedomagania gospodarki i pomagają w poszukiwaniach skutecznych środków przezwyciężenia tychże niedomagań. Być może jednak, że najważniejszym osiągnięciem tej dyskusji (raczej nie dostrzeżonym przez uczestników) było ujawnienie marazmu w dziedzinie współpracy międzynarodowej krajów Europy Wschodniej. Po czterech latach postępującego rozpadu wzajemnej wymiany handlowej w dyskusji nie można było powołać się chociażby na jeden oficjalny dokument (dwu- czy wielostronny), który zawierałby koncepcję, projekt, czy innego rodzaju próbę rozwiązania metod współpracy krajów geograficznie sobie najbliższych i borykających się z podobnymi, albo nawet tymi samymi, trudnościami gospodarczymi. Nie można zaś było na taki dokument powołać się dlatego, że takiego dokumentu nie ma i o jego powstanie — jak się wydaje — nikt w żadnym z zainteresowanych krajów się nie zatroszczył.

Budowa nowych ram współpracy wymaga politycznej woli wyrażonej w działaniach rządów

Przyjmując tezę, że przebudowy systemu można dokonać tylko przy istnieniu politycznej woli, czyli ingerencji państwa, reprezentuję stanowisko zbliżone do tego, jakie w omawianej dyskusji zajmował G. Tuderek. Wprawdzie jego propozycje można uznać za nadmiernie szczegółowe i przez to ograniczające pole wyboru: wymiana niekoniecznie musi opierać się tylko na zasadach barteru, ani być regulowana tradycyjnymi listami. Chodzi natomiast o uznanie ogólnej, bardzo istotnej prawidłowości, że w warunkach całkowitego załamania się starego porządku, to państwa muszą ustalać jakieś ramy nowego porządku, w których będą poruszać się przedsiębiorstwa. Procedura odwrotna, polegająca na tym, że państwa czekają, aż przedsiębiorstwa wykształcą pewien model wymiany i dopiero do tego modelu będą dostosowywać regulacje prawne, byłaby bardzo czasochłonna i mało skuteczna.

Na rzecz wiodącej roli państwa w podobnych sytuacjach świadczą też doświadczenia przeszłości. Zarówno w okresie międzywojennym, jak i po ostatniej wojnie nie tylko w Polsce, ale także na Zachodzie w handlu międzynarodowym szeroko wykorzystywano transakcje barterowe i rozliczenia clearingowe w oparciu o porozumienia zawierane między rządami. W warunkach normalnych to nie są pożądane formy handlu. Ale w warunkach nienormalnych (a więc długotrwałego kryzysu lat 1929-33, czy handlu między państwami odczuwającymi skutki zniszczeń wojennych) te właśnie specyficzne formy pozwalały uruchamiać pewne nowe strumienie wymiany, do której inaczej w ogóle nie doszłoby.

Z dotychczasowych rozważań można wyprowadzić dwa ważne wnioski. Pierwszy wniosek to ten, że bez odwrócenia procesów dezintegracji w stosunkach gospodarczych między krajami Europy Wschodniej, kraje te narażają się na dalsze poważne straty gospodarcze z powodu ograniczenia wymiany z zagranicą. To nie oznacza, że kraje te nie mają jednocześnie dążyć do integrowania się z Wspólnotami Europejskimi; muszą jednak przy tym uwzględniać, że musi to być proces długotrwały, wymagający żmudnych przygotowań.

Wniosek drugi dotyczy uznania kluczowej roli rządów w tworzeniu ram współpracy gospodarczej. Jest to wniosek oczywisty, ale trzeba go podkreślać wobec wyraźnego niedoceniania wagi zadań, które tu wymagają podjęcia przez rządy Europy Wschodniej. Przypomnijmy chociażby z jakim trudem rodziła się i funkcjonuje Grupa Wyszehradzka.

Trudności organizowania współpracy gospodarczej między państwami Europy Wschodniej nie są rzeczą nową. Także w warunkach centralnie planowanej gospodarki, w dawnej grupie krajów RWPG, współpraca gospodarcza rozwijała się w niezwykle sztywnych, konserwatywnych ramach, które przez 40 lat niewiele się zmieniały. Waluty były niewymienialne, ceny oderwane od kosztów produkcji, kursy walut niezależne od popytu i podaży walut. Nie ma podstaw, aby sądzić, że na etapie przechodzenia do gospodarki rynkowej te trudności będą mniejsze. Raczej będą większe. Utrzymają się bowiem dawne przyczyny utrudniające współpracę, jak ociężałość biurokracji, troska o główny rynek i lekceważenie mniejszych rynków, lęk przed ryzykiem. A jednocześnie dojdą przyczyny nowe związane z koniecznością zmiany ogólnego systemu gospodarowania i pojawieniem się konkurencji rynków zachodnich. Na tym tle nasuwa się trzeci wniosek, aby niezależnie od prób tworzenia i wdrażania systemu całościowego wymiany (dla ogółu krajów Europy Wschodniej), nie rezygnować z poszukiwania łatwiejszych rozwiązań np. dwustronnych lub trójstronnych z partnerami chętnymi do nawiązania takiej współpracy. Warto dodać, że sukcesy osiągane w takich węższych porozumieniach mogłyby torować drogę rozwiązaniom uniwersalnym.

Przyjęcie takich trzech ogólnych kierunków działań, wskazanych w powyższych wnioskach, to zaledwie pierwszy krok na drodze do utworzenia jakichś ram współpracy gospodarczej krajów Europy Wschodniej i wypełnienia w ten sposób istniejącej dziś w tej dziedzinie pustki. Ale — być może — że byłby to ów krok najważniejszy, stanowiąc swojego rodzaju deklarację intencji, wskazywałby jasno wolę współpracy, zadania rządów i potrzebę elastycznych działań. Współpraca ta w żadnym wypadku nie oznaczałaby próby tworzenia struktur konkurencyjnych w stosunku do organizacji zachodnich, np. Wspólnot Europejskich. Współpraca ta nie kolidowałaby też w jakikolwiek sposób z ewentualnymi zobowiązaniami jej uczestników wobec np. Wspólnot Europejskich i nie ograniczałaby swobody tych uczestników uzyskiwania członkostwa Wspólnot. Można nawet zaryzykować twierdzenie odwrotne, że rozwijająca się współpraca gospodarcza krajów Europy Wschodniej byłaby czynnikiem ułatwiającym przystosowanie tych krajów do uczestnictwa we Wspól-

notach, czy innych organizacjach międzynarodowych. Na terenie takich organizacji większym bowiem autorytetem cieszą się kraje wchodzące w skład pewnych większych sprawnie funkcjonujących ugrupowań, niż te, które pozostają w odosobnieniu lub działają w mało spójnych grupach. Można pójść nawet dalej i twierdzić, że harmonijna współpraca krajów Europy Wschodniej leży w interesie Zachodu. Przyczyniając się bowiem do szybszego przezwyciężenia kryzysu w tych krajach, współpraca ta staje się ważnym czynnikiem łagodzenia ewentualnych konfliktów i umacniania tendencji pokojowych, na czym państwom zachodnim też zależy.

Poświęcając tyle miejsca tak bardzo ogólnym czynnikom rozwoju współpracy, czynię to w przekonaniu, że mają one decydujące znaczenie dla przełamania istniejącego impasu i ruszenia spraw z miejsca. Istnienie impasu stwierdzają politycy, jego przełamanie leży w interesie każdego kraju i dlatego każdy kraj może i powinien czuć się zobowiązany do podjęcia inicjatywy. Można by sądzić, że — chociażby z racji posiadanego potencjału gospodarczego — najprędzej inicjatywę podejmie Rosja. Nie wydaje się to jednak prawdopodobne z dwóch powodów: po pierwsze — wielkość kraju sprawia, że Rosja jest znacznie mniej zależna od wymiany z zagranicą, niż jakikolwiek inny kraj w Europie, a tym samym jest w tej wymianie mniej żywotnie zainteresowana; po drugie — od początku I wojny światowej, czyli od 80 lat, w Rosji nie było gospodarki rynkowej, a zatem z natury rzeczy również rozumienie tej gospodarki może odbiegać od tego z jakim spotykamy się w krajach, które znacznie później utraciły kontakt z tą gospodarką[2]. Z tego względu Rosja może nawet z zadowoleniem powitałaby podjęcie inicjatywy przez inny kraj Europy Wschodniej.

Gdy zostanie przesądzona decyzja o tworzeniu i o ogólnym kształcie porozumienia w sprawie współpracy gospodarczej, wówczas dopiero otwiera się ogromne pole prac nad szczegółowymi postanowieniami porozumienia. Będą one dotyczyć np. ruchu towarów, usług i kapitałów, rozliczeń, kursów walutowych, kredytów, ceł, podatków itd. Opracowanie takiego dokumentu wymagać będzie dużo czasu i uzgodnień. Prace ułatwić może jednak dostęp do licznych wzorców najrozmaitszych tego rodzaju porozumień. Sięgać można np. do układów o Wspólnym Rynku, Europejskiej Strefie Wolnego Handlu, czy Europejskiej Unii Płatniczej, czasem nawet do praktyki rozliczeń clearingowych, czy transakcji kompensacyjnych z okresu międzywojennego.

22.03.1994

Stanisław POLACZEK

2. Jak dalece dystans w czasie lub przestrzeni może zmieniać optykę widzenia problemu nieźle ilustruje zestawienie niektórych tez zawartych w tym artykule z poglądem wyrażonym przez J. Kaszlewa, ambasadora Rosji w Polsce, w rozmowie z dziennikarzami *Gazety Wyborczej* („Gospodarka i bioprądy", *G.W.* nr 67 z 21.03.1994): „... wciąż zbyt wielkie znaczenie przywiązujemy do umów międzynarodowych. Ciągle nie możemy doczekać się takich czasów, kiedy rządy po prostu nie będą przeszkadzać". Jest to niewątpliwie bardzo oryginalne, ale mało realistyczne, ujęcie funkcji państwa w gospodarce rynkowej.

Koreańskie zagrożenia nuklearne

Półwysep Koreański, zamieszkały przez jeden z najstarszych, najdumniejszych a równocześnie najbardziej doświadczonych historią narodów na Dalekim Wschodzie, jest znów od dłuższego czasu w centrum uwagi świata. Podzielona na dwa odrębne państwa, Korea była zawsze źródłem nieustannych napięć i konfliktów, szczególnie ze względu na nieobliczalny charakter komunistyczno-stalinowskiego reżimu na Północy. U podłoża obecnego kryzysu są obawy, podtrzymywane przez wywiady USA i Japonii, iż Korea Północna znajduje się na progu produkcji broni nuklearnej. Przewlekły impas w sprawie międzynarodowej inspekcji północnokoreańskich reaktorów, oraz groźba proponowanych przez USA sankcji ONZ, mają w sobie zalążki nowego konfliktu zbrojnego w tym rejonie, z nieobliczalnymi konsekwencjami dla całego świata.

Podłoże historyczne

W świecie po-zimnowojennym, Korea pozostaje nadal jedynym krajem politycznie podzielonym na dwie części, nadal bez realnych widoków na zjednoczenie. Pomimo ostrych

rozbieżności polityczno-ideowych i ustrojowych, oba państwa koreańskie łączy ten sam język, ta sama historia i tradycje kulturowo-cywilizacyjne, wyprzedzające w czasie nawet Japonię. Po długim okresie rozdrobnienia na kilka wzajemnie zwalczających się państewek, w r. 668 cała Korea została zjednoczona pod panowaniem królestwa Silla. Datująca się od tego roku długa historia nieprzerwanej ciągłości państwowej, praktycznie aż do aneksji japońskiej w 1910 r., podtrzymała w narodzie koreańskim silny sens politycznej ciągłości i świadomości narodowej. Średniowieczna Korea była jednym z najbardziej scentralizowanych i sprawnie administrowanych krajów na Dalekim Wschodzie, lecz nigdy państwem w pełni autokratycznym, na wzór Japonii czy Chin. Pomimo silnych wpływów kulturowych Chin od r. 1400 (szczególnie konfucjanizmu), Korea zachowała w swym życiu intelektualnym i politycznym sporo własnych, rdzennie domowych struktur społecznych i ustrojowych. Głównym źródłem władzy była uprzywilejowana, lecz niezmiernie wykształcona i zdyscyplinowana warstwa arystokracji (kor. *yangban*), z której wywodziły się kadry administracji państwowej. Niestety, postępujące rozdrobnienie rządzącej warstwy *yangban*'ów na rywalizujące i zwalczające się kliki w przeciągu 18 i 19-go wieku doprowadziło do znacznego osłabienia władzy centralnej i państwa, aż do ostatecznej aneksji przez Japonię w 1910 r. Przez cały czas 35-letniej, bezwzględnej a czasami brutalnej okupacji, Japończycy usiłowali całkowicie podbić i złamać świadomość narodową Koreańczyków, lecz bezskutecznie. Okres ten obciąża gorzkim dziedzictwem stosunki koreańsko-japońskie do dziś dnia.

Koniec drugiej wojny światowej i porażka Japonii oznaczały wprawdzie odzyskanie wolności i niepodległości, lecz nie zjednoczonej państwowości. Na mocy układów w Jałcie i Poczdamie, odradzająca się Korea została podzielona na dwie strefy okupacyjne, sowiecką i amerykańską, wzdłuż linii demarkacyjnej na 38 równoleżniku. Podział ten, podobnie jak w wypadku Niemiec w Europie, doprowadził ostatecznie do powstania dwu odrębnych państw: komunistycznej Korei na Północy (pod patronatem Sowietów), i republiki koreańskiej na Południu (pod patronatem USA). Na tle zaostrzających się konfliktów zimnowojennych między USA a ZSSR doszło na Półwyspie Koreańskim do jedynej, „gorącej" wojny tego okresu, trwającej pełne trzy lata, aż do zawieszenia działań wojennych w lipcu 1953. Wysoka w ofiarach ludzkich, krwawa wojna nie przyniosła żadnych zmian i rozwiązań w

sensie dalszego istnienia dwu państw koreańskich, w takich samych granicach jak przed wybuchem konfliktu.

Północ-Południe

Sposób powstawania i utrwalania dwu odrębnych reżimów i systemów ustrojowych na Północy i Południu, jak również dziedzictwo wojny z lat 1950-53, wywarły trwałe piętno na ewolucję polityczną w obu Koreach, doprowadzając do stanu trwałego napięcia na Półwyspie Koreańskim. Na północy ugruntował się totalitarny system komunistyczny typu sowiecko-stalinowskiego, ukoronowany systemem dynastycznej sukcesji rodzimego chowu. Przywódca („najwyższy przywódca, jasne słoneczko narodu") Kim Il-Song został i jest do dziś dnia otoczony kultem, jakiego mógłby mu pozazdrościć nawet sam Stalin. Na południu wytworzył się formalnie demokratyczny, lecz na wskroś autokratyczny system władzy, zdominowany przez wojskowych, niemniej stopniowo ewoluujący w kierunku konstytucyjnej demokracji[1].

Pomijając inne aspekty rywalizacji polityczno-gospodarczej między obu Koreami, niepewny stan przymierza („ani wojna, ani pokój"), podsycający świadomość nieustannego zagrożenia, niepewności i strachu, doprowadził do niebywałej rozbudowy militarnej w obu Koreach. Wg pobieżnych ocen ekspertów, jeszcze do niedawna Korea Północna miała znaczną przewagę nad Południem w ogólnym balansie sił, lecz z początkiem lat 1990-ych doszło do stopniowego wyrównania, a pod względem jakościowo-technologicznym nawet uzyskania pewnej przewagi przez Koreę Południową. Podobnie jak w wypadku Japonii, produkcja zbrojeniowa na licencjach amerykańskich doprowadziła tu do rozwoju własnej technologii militarnej. Nie jest dziełem przypadku, iż Korea Południowa była jedynym krajem (oprócz, oczywiście, Japonii) azjatyckim zaproszonym do udziału w amerykańskim programie tzw. Inicjatywy Strategii Obronnej (SDI).

Wyścig zbrojeniowy na Półwyspie Koreańskim był od samego początku nie tylko sprawą wewnątrz-koreańską, lecz miał ważny wymiar geopolityczny w stosunkach Wschód-Zachód, ze względu na ogromne znaczenie strategiczne Korei dla

1. Jest to bardzo uproszczone ujęcie ewolucji ustrojowej i kultury politycznej Republiki Korei, lecz dokładniejsze wyjaśnienia wychodziłyby poza ramy tematyczne artykułu. Z podobnych przyczyn opuszczam również omówienie aspektów i sukcesów gospodarczych Korei Południowej.

obu supermocarstw. Kamieniem węgielnym strategii militarnej Korei Południowej jest Układ o Wzajemnej Pomocy Wojskowej z USA z r. 1954, upoważniający Amerykę do baz wojskowych, a nawet stacjonowania taktycznych broni atomowych na terytorium Korei Południowej. Coroczne, wspólne manewry amerykańsko-koreańskie (tzw. *Team Spirit*) należą do największych w niekomunistycznym świecie. Pomimo okresowych zapowiedzi obniżenia profilu militarnego (np. przez obecną administrację Clintona), należy wątpić, by Waszyngton kiedykolwiek poważnie myślał o zrezygnowaniu ze swej pozycji w tak ważnym punkcie strategicznym na Dalekim Wschodzie.

Poniekąd bardziej złożona, pod względem aliansów strategiczno-wojskowych, jest sytuacja na Północy. Reżym w Pyongyangu zawdzięcza swe przetrwanie po wojnie, oraz rozbudowę gospodarczą i militarną tak Chinom, jak b. ZSSR, z którymi pozawierał rozległe umowy wojskowo-strategiczne. Późniejszy konflikt chińsko-sowiecki spowodował przyjęcie przez Pyongyang tzw. doktryny „juche", czyli polityki „równego dystansu" między Pekinem a Moskwą. Chiny były i są Korei Północnej bliższe kulturowo, lecz Sowiety były bardziej użyteczne, tak na arenie międzynarodowej, jak w dziedzinie pomocy gospodarczej. Z kolei dla Moskwy, bardziej niż Pekinu, uzyskanie decydujących wpływów w Korei było zawsze ważnym celem strategicznym. Od czasu wizyty Kim Il-Songa w Moskwie w maju 1984 można było odnotować coraz wyraźniejszą oscylację Pyongyangu w kierunku Moskwy. W trzy lata później eksperci wywiadu japońskiego w definitywny sposób potwierdzili, iż od r. 1985 rozpoczął się na szeroką skalę zakrojony proces integracji militarnej Korei Północnej z Sowietami. Proces ten, jak na ironię, przybrał szczególnie na sile za czasów Gorbaczowa. W tym też czasie Korea Północna otrzymała od Moskwy technologie, które jej umożliwiły niezależny rozwój reaktorów atomowych. Oficjalnie Moskwa dziś utrzymuje, iż współpraca i więzy militarne z Koreą Północną zostały przerwane, lecz wg źródeł japońskich pewne zaangażowanie Moskwy w Korei Północnej nadal trwa, chociaż w znacznie ograniczonym rozmiarze.

Źródła zagrożenia

Eksperci zachodni utrzymują, iż w obrębie Azji/Pacyfiku tylko Chiny posiadają w pełni rozwinięty potencjał dla produkcji broni nuklearnej, lecz Korea Północna jest najbliżej osiągnięcia takiego potencjału[2]. Od r. 1987 wprowadziła do obiegu produkcyjnego 30-MGW reaktor w Yongbyon, a zużyte paliwo przerabia na plutonium. Wg oficjalnej wersji Pyongyangu, chodzi tu tylko o ograniczoną produkcję dla celów badawczych, natomiast wg ekspertów zachodnich ilość produkowanego plutonium jest już dziś wystarczająca dla produkcji broni nuklearnej. Pod presjami Zachodu Korea Północna podpisała w r. 1985 Układ o Nierozpowszechnianiu Nuklearnym (ang. *Nuclear Non-proliferation Treaty/NNT*), oraz udostępniała swe siłownie nuklearne dla inspekcji międzynarodowej aż do r. 1992. Jednakowoż od końca r. 1992 zaczęła robić trudności, a w marcu 1993 Pyongyang zapowiedział swą intencję wycofania się z NNT (chociaż formalnie tego jeszcze nie zrobił). Od tego momentu datuje się początek oraz eskalacja trwającego do dziś dnia „kryzysu nuklearnego" wokół Korei Północnej.

W latach 1970-ch również Korea Południowa czyniła potajemne starania w kierunku zdobycia odpowiednich technologii dla produkcji broni nuklearnej (po decyzji Nixona częściowego wycofania kontyngentów USA z Korei Południowej), lecz gdy w r. 1974 Waszyngton dowiedział się o takich planach, zmusił od razu Seul do podpisania NNT. Niemniej Korea Południowa nigdy zupełnie nie porzuciła planów niezależnego rozwoju broni nuklearnej, a intencje takie zostały na pewno wzmocnione obecnym kryzysem nuklearnym na Północy. Pod naciskami i swoistym patronatem Waszyngtonu, obie Koree podpisały w grudniu 1991 układ o denuklearyzacji Półwyspu, który zawiera jednak wiele luk i niedociągnięć, a w samej Korei wzbudza sporo kontrowersji. Z kolei w sąsiedniej Japonii przybierają na sile obawy, iż jeżeli kiedyś dojdzie do zjednoczenia Korei, to program niezależnego rozwoju nuklearnego stanie się tam rzeczywistością, bez względu na ostateczny wynik obecnego konfliktu między Pyongyangiem a Międzynarodową Agencją Atomową (IAEA).

Problematyka nuklearna na Dalekim Wschodzie jest dodatkowo skomplikowana faktem, iż oprócz Chin obie Koree zaangażowane są w produkcji broni chemicznych oraz

2. Oceny takie są jednak niezupełnie ścisłe. Wg niezależnych ocen ekspertów japońskich, Japonia dysponuje znacznymi rezerwami plutonium (w wys. 10 ton), które już dziś może przetwarzać na użytek militarny. Nie jest też przypadkiem, iż ze swej strony Korea Północna często osłania się „zagrożeniem japońskim" dla usprawiedliwienia swego programu nuklearnego.

rakiet balistycznych o znacznym zasięgu. Korea Północna już od dłuższego czasu produkuje rakiety typu Scud-B (280 km) oraz Scud-C (600 km). Szczególny niepokój strategów japońskich budzi jednak znaczna rozbudowa produkcji rakiet typu Rodong-1 (1000 km), dysponujących również pojemnikami dla pocisków nuklearnych. Również Korea Południowa dysponuje pokaźnie rozwiniętą produkcją rakiet balistycznych, głównie NHK-1, a ostatnio również głowic typu IRBM.

Wyścig zbrojeniowy na Półwyspie Koreańskim, oraz perspektywa rozwoju broni nuklearnej, mogą mieć nieobliczalne skutki dla sytuacji bezpieczeństwa na Dalekim Wschodzie. W pierwszym rzędzie mogą one przesądzić o obraniu przez Japonię „opcji nuklearnej", co oznaczałoby dalszą proliferację, a nie redukcję arsenałów nuklearnych w tym rejonie. W wywiadzie dla prasy b. minister spraw zagranicznych Japonii, Muto, pierwszy raz przyznał, iż „w świetle zagrożenia koreańskiego, Japonia musi być gotowa do produkcji własnej broni nuklearnej".

Największym jednak problemem jest widmo otwartego konfliktu zbrojnego, jeżeli Północ nie podporządkuje się rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ żądającej udostępnienia siłowni dla inspekcji międzynarodowej. Pod naciskami Chin groźba sankcji została poniekąd złagodzona, lecz w zależności od rozwoju sytuacji może być odpowiednio zaostrzona, oraz wprowadzona w życie. Postępowanie Pyongyangu jest trudne do zrozumienia, pod każdym racjonalnym względem. Dowodzi ono jednak, iż podupadający, nieobliczalny reżim może być zdolny do najbardziej desperackich kroków. Nawet do rozpętania nowej wojny.

6 kwietnia 1994

Janusz MONDRY

Kraj

Wałęsa na ścieżce wojennej

1.

Sądząc z marcowego sondażu OBOP 52% Polaków wyżej ceni jako polityka Wojciecha Jaruzelskiego niż Lecha Wałęsę, a tylko 24% — odwrotnie (5% ceni obu podobnie, a 11% nie ceni żadnego, reszta nie ma zdania). W tymże czasie sondaż Demoskopu wykazuje, że działalność prezydenta ocenia dobrze jedynie 20% obywateli, źle natomiast — 70%. W rankingu CBOS — pytano o najlepszego kandydata na prezydenta — Wałęsa zebrał zaledwie 5% wskazań (wobec 9% w styczniu) ustępując Kwaśniewskiemu, Pawlakowi, Relidze, Olechowskiemu, Brzezińskiemu i Skubiszewskiemu... Wreszcie, w najbardziej wypracowanym badaniu sopockiej PBS, które dotyczyło szans wyborczych dziesięciu najprawdopodobniejszych w chwili obecnej kandydatów do prezydentury, Wałęsa w żadnej kombinacji nie przeszedł nawet do drugiej tury... W wywiadzie udzielonym *Polityce*, o którym będzie jeszcze dalej mowa, Wałęsa tłumaczy swą niepopularność w sondażach tym, że np. ani Glemp ani Kuroń nie są prezydentami. Ale, jak widać, Wałęsa jest nieakceptowany właśnie jako prezydent, jako ktoś, kto się na prezydenta nie nadaje.

Jeśli zatem za miernik powodzenia polityka i prognozę jego dalszych losów przyjąć opinię wyborców — co w ustro-

ju demokratycznym nie jest bezzasadne — Lech Wałęsa jest politycznie pogrążony. Ale Lech Wałęsa na pewno nie zamierza się z tym pogodzić, przeciwnie, właśnie przystąpił do *Rekonkwisty*. Muszę przyznać, że nie spodziewałem się aż takiego pośpiechu, sądziłem (*Kultura* 4/1994), że Belweder zaczeka do wyborów samorządowych w czerwcu, żeby przynajmniej zorientować się w rozkładzie sił i pozwolić dojrzeć różnym konfliktom, na które liczy. Najwyraźniej prezydent i jego sztab uznali, że zamiast czekać na wybory muszą starać się wpłynąć na ich rezultat, aby nie dopuścić do zupełnej demoralizacji zwolenników, którzy im jeszcze pozostali, i do zniechęcenia tych, których chcieliby pozyskać w przyszłości. W rezultacie Belweder, w ciągu zaledwie trzech miesięcy rozpoczął takie oto bitwy — a wyliczam tylko najgłośniejsze:

— z Sejmem o tryb uchwalenia nowej konstytucji,

— z Krajową Radą Telewizji i Radiofonii o nominacje kierownictwa telewizji publicznej i koncesje dla sieci prywatnych,

— o nowego szefa Ministerstwa Finansów i zarazem wicepremiera do spraw gospodarczych,

— o ustawę w sprawie nowych sankcji podatkowych za nadmierną podwyżkę płac (tzw. neopopiwek),

— o budżet na 1994,

— o ordynację wyborczą dla samorządów,

— o kierownictwo sił zbrojnych i całej sfery obronności i bezpieczeństwa.

Wszystkie te bitwy są jeszcze (10 kwietnia) w toku i taktyka prezydenta może w nich ulegać zmianom: Wałęsa może na przykład podpisać w końcu budżet, wiedząc, że w tej sprawie koalicja działając zgodnie i tak obali jego veto. Ale nad taktyką nie warto się tu rozwodzić. Zastanowimy się raczej nad strategią prezydenta i jej możliwymi konsekwencjami. Sięgnijmy najpierw do wspomnianego wywiadu.

Spisany on został — całkiem zgrabnie, gdyż zdania zachowują poetykę właściwą Wałęsie, a zarazem są najzupełniej zrozumiałe — przez prof. Wiktora Osiatyńskiego, który wraz z prof. Lechem Falandyszem jest dziś prawdziwym *maître à penser* prezydenta (acz, inaczej niż Falandysz, nie etatowym). Belwederska ekipa jest dziś skonstruowana trochę na kształt kosmicznego kombinezonu prezydenta, w który wbudowane są wzmacniacze rozmaitych funkcji Dostojnego Kosmonauty. Wachowski to ręce i nogi, Drzycimski — język, Milczanowski i Milewski — uszy i oczy. Całe natomiast profesorskie grono zatrudnione w Kancelarii, to zaledwie świecidełka, lampasy i gwiazdki na kombinezonie. Z wyjątkiem dwóch wymienionych, doradców autentycznych. Z tym może zastrzeżeniem, że Falandysz biega nadto do Sejmu i do telewizji, gdzie ten uroczy specjalista od wiktymologii, zakochany w prezydencie jak adiutant w Napoleonie, nie jest zbyt przekonujący. Natomiast Wiktor Osiatyński jest niezależny, nie biega i umie nieraz wymyślić Wałęsie, co prezydent chciał powiedzieć. Wywiad w *Polityce* jest zatem na pewno autentyczny i na pewno niekoniunkturalny — ale nie trzeba się zdziwić, jeśli Wałęsa powie niezadługo coś odmiennego z równym przekonaniem.

Co zaznaczywszy, chciałbym zwrócić uwagę na zasadniczą konstrukcję polityczną prezydentury, zaprezentowaną w tym tekście. Zawiera ją zdanie: MUSZĘ STWORZYĆ SIŁY, KTÓRYM MOŻNA BĘDZIE PRZEKAZAĆ WŁADZĘ. Wałęsa, jak wiadomo, już dawno przekonał sam siebie, że to on stworzył Solidarność, choć nieczęsto się zdarza, by zależność była aż do tego stopnia odwrotna: człowiek jako wytwór ruchu. Ale w latach 1990–1993 Wałęsa jakby przestał się uważać za kreatora rzeczywistości politycznej, szczególnie o „wojnie na górze" zawsze powtarzał, że to naród, robotnicy i Solidarność wołają go na pomoc, on sam niczego nie wymyślił, nie zaplanował. Zaraz po zdobyciu prezydentury — i to także jest prawdą w wywiadzie dla *Polityki* — starał się „równoważyć wszystkie nogi" (bywało ich więcej niż dwie) i występować, jak to sam nazywa, w roli arbitra. I oto od kampanii wyborczej 1993 odnajdujemy Wałęsę kreatora. Najpierw trochę niemrawego: próba stanięcia na czele koalicji rządowej Suchockiej, ale koalicja wcale go nie chce, zresztą sama idzie do wyborów w rozproszeniu; próba z BBWR, poroniona od poczęcia, podobnie zresztą jak koalicja Ojczyzna, zmontowana przez arcybiskupa Gocłowskiego, któremu dziś prezydent zarzuca niewczesną konkurencję. Ale teraz Wałęsa gra *va banque*. Co się właściwie stało?

Drużyna belwederska i sam prezydent starają się usilnie przekonać opinię, że chodzi o walkę z władzą lewicy, która jest zagrożeniem dla reform i eliminacją ugrupowań solidarnościowych na rzecz postkomunistów. Jednak w rzeczywistości działania Wałęsy dowodzą, że obu argumentów używa on z doskonałą złą wiarą. Gdyby na przykład chciał „bronić reform", przez co w polskim języku politycznym rozumie się tzw. linię Balcerowicza i jej adherentów w różnych ugrupowaniach, to zamiast blokować kandydaturę Rosatiego zaoponowałby przeciw dymisji Borowskiego. Gdyby istotnie chodzi-

ło mu o obronę solidarnościowego dziedzictwa przeciw postkomunie, to by nie starał się tak bardzo o pozyskanie Pawlaka i PSLu, mimo że to oni właśnie przejmują najwięcej posad od nominatów poprzednich gabinetów. I tak dalej. Jest, oczywiście, prawdą, że w aktualnej koalicji rządowej mocno reprezentowane są siły i poglądy przeciwne polityce kontynuacji, której jednak trzyma się tak atakowane przez prezydenta kierownictwo tej koalicji. Jest też prawdą, że na powierzchnię życia politycznego wychodzą postaci — od Ireneusza Sekuły do Krzysztofa Teodora Toeplitza — o których sądzono, że definitywnie z niego odeszły. Ale prezydent wie równie dobrze jak ktokolwiek, że możliwość i nieuchronność owych powrotów stworzyła najpierw strategia okrągłego stołu, której Wałęsa był pierwszym firmantem (a Kościół i doradcy „S" autorami), z jej zasadą uwłaszczenia nomenklatury, następnie zaś wieloraka kompromitacja polityków solidarnościowych, którzy porzucili swoją bazę, zdradzili swój dawniejszy program i ulegli zdecydowanie zbyt prędko pokusom, urokom i brudom władzy. Można więc wprawdzie nad tym ubolewać, ale podział na postkomunistów i postsolidarnościowców nie jest już odpowiednim opisem polskiej sceny politycznej. Świetnie to zresztą zrozumiał już w ubiegłym roku polski episkopat.

Prezydencka gra *va banque* nie ma na celu obrony jakiegokolwiek programu ani jakiegokolwiek obozu politycznego. Jest natomiast grą o zabezpieczenie prezydentowi roli najwyższej władzy w państwie, od której zależne są w tej czy innej mierze wszystkie inne: rząd na pewno, ale również parlament i nawet gałęzie władzy o formalnie zastrzeżonej niezawisłości jak sądownictwo czy rada telewizji i radiofonii. Ideałem z punktu widzenia prezydenta i jego doradców byłoby zapisanie takiej wszechzależności od prezydenta wprost w konstytucji. Wiadomo jednak, że w aktualnym stanie opinii i nastrojów mało jest na to szans*. Stąd też koncentracja wysiłków raczej na zabezpieczeniu aktualnego formalnego *status quo* i zarazem stwarzanie coraz nowych precedensów rozszerzających interpretację tzw. małej konstytucji na rzecz prezydenta. Ta gra jest prowadzona ze zmiennym szczęściem, ale w sumie raczej z powodzeniem.

* Wg jeszcze jednego badania CBOS z 10–14 marca 36% uważa, że prezydent ma za dużo władzy, 30%, że w sam raz, 22% że za mało. 60% jest zdania, że prezydent swymi działaniami osłabia państwo a tylko 16% że wzmacnia. W porównaniu z czerwcem 1993 „saldo" prezydenckie radykalnie się pogorszyło. Niemniej, zwracam uwagę na mniej więcej jedną piątą „nieodwracalnych" zwolenników prezydenta.

2.

Zaczęło się od razu po utworzeniu koalicji SLD–PSL: prezydent najpierw zażyczył sobie, bez żadnej podstawy konstytucyjnej, trzech kandydatów na premiera do wyboru, aby odstąpić łaskawie od tego żądania w zamian za milczące pozostawienie mu do dyspozycji tek spraw zagranicznych, spraw wewnętrznych i obrony narodowej, choć art. 61 ustawy konstytucyjnej nie przewiduje nic ponad „zasięganie opinii" prezydenta przed powołaniem odnośnych ministrów przez premiera. Bezpośrednim skutkiem tej genezy jest, że trzej ministrowie, zachowują się tak, jakby rzadziej zasiadali w rządzie, niż w kancelarii prezydenta. Olechowski robi swoje z dużą zręcznością i stara się nikomu nie deptać po odciskach: sprawę wiceministrów z koalicji, długo nie dopuszczanych do resortu, załatwił po mistrzowsku, poprzedzając to posunięcie błyskawiczną reformą MSZ: apolityczny korpus służby zagranicznej oddzielono od politycznej czapy resortu z nowymi wiceministrami. Kołodziejczyk w MON poczyna sobie całkiem odmiennie: doszło nawet do tego, że minister obrony publicznie zażądał od Senatu, aby odrzucił budżet w części zamówień wojskowych, mimo że był to dokument rządowy już uchwalony przez Sejm. (Chodziło, jak wiadomo, o samoloty Iryda z Mielca, do których zakupu posłowie chcą zmusić MON, aby zakładom mieleckim pomóc. Niezależnie od meritum, sam fakt, że parlament uchwala kredyty zbrojeniowe na konkretne cele, nie jest żadnym fenomenem w świecie.) Znacznie istotniejsze wydaje się, że minister Kołodziejczyk nie umie bądź nie chce bronić cywilnej kontroli nad siłami zbrojnymi i własnej pozycji cywilnego ministra wobec sztabu generalnego. Szef tego ostatniego gen. Wilecki, na naradzie, która odbyła się w lutym w obecności prezydenta, wyłożył swą koncepcję wedle której szef sztabu generalnego (czasem używa się już formuły generalnego inspektora sił zbrojnych) podlega bezpośrednio prezydentowi, przy czym ministerstwo obrony i cały rząd pełnią w tym układzie rolę pomocniczą. Komentarze, jakie można było usłyszeć po naradzie, głosiły, że szef sztabu generalnego miałby być „drugą osobą w państwie", po prezydencie, jak niegdyś Rydz-Śmigły. Zabiegi te znajdują wsparcie w zawiłej aferze z Radą Bezpieczeństwa Narodowego. Oto z grubsza jej historia.

W ustawie o powszechnym obowiązku obrony z 21.XI.1967

utworzono Komitet Obrony Kraju (KOK). W 1991 tuż przed wyborami, znowelizowano zapis o KOK dodając, że podejmuje on decyzje w porozumieniu z rządem. W ustawie konstytucyjnej z 17.X.1992 („małej konstytucji") KOK znikł, ale pozostał po nim ślad w art. 34 w postaci zapisu o Radzie Bezpieczeństwa Narodowego jako „organie doradczym Prezydenta" w sprawowaniu przez niego „ogólnego kierownictwa w dziedzinie zewnętrznego i wewnętrznego bezpieczeństwa państwa". KOK miał też zniknąć z ustawy z 1967/1991, ale ani nowelizacji ani nowej ustawy dotychczas nie uchwalono. KOK istnieje więc nadal, choć bez umocowania konstytucyjnego.

26.XI.1993 Wałęsa zwołał nagle posiedzenie KOK w pełnym składzie (Pawlak, Oleksy, Struzik, Borowski, Kołodziejczyk, Olechowski, Wachowski, Milewski) plus zaproszeni: Szmajdziński jako przewodniczący sejmowej komisji obrony, Zimowski, z-ca Milczanowskiego i I zastępca szefa sztabu, Bołociuch. Na wniosek Wałęsy uchwalono, iż KOK „stoi na stanowisku, że najwyższym organem państwa w sprawach obronności i bezpieczeństwa winna być w przyszłości Rada Bezpieczeństwa Narodowego wyposażona w kompetencje decyzyjne". Taka RBN zastąpić powinna KOK, a odpowiednie zmiany w ustawie konstytucyjnej, gdzie, jak pamiętamy, RBN jest tylko organem doradczym, zalecono przeprowadzić jako pilne. Rządowi polecono też na wniosek Wałęsy powołać Komitet Spraw Obronnych Rady Ministrów, podległy *ex definitione* RBN. Proszę zwrócić uwagę, że RBN jako swój organ doradczy prezydent dobiera sobie sam.

Ustępstwo z 26 listopada było ostatnią ze strony koalicji próbą pozyskania łask prezydenta. Kiedy zaczęła się awantura o Rosatiego, koalicjanci nie kryli już przed dziennikarzami, że komunikatu z 26 listopada nie zrealizują i że RBN z uprawnieniami decyzyjnymi nie będzie. Belweder zaś poinformował, że warunkiem wznowienia rozmów z koalicją jest nie tylko definitywne wycofanie kandydatury Rosatiego, lecz również gwarancja realizacji zobowiązań z 26 listopada.

Nim jeszcze do tego doszło rozegrano partię o Krajową Radę Telewizji i Radiofonii, w czasie której prezydent odwołał karnie przewodniczącego Markiewicza za nieposłuszeństwo (choć ustawa milczy o odwoływaniu przewodniczącego KRTR — sprawa jest w Trybunale Konstytucyjnym — i choć *explicite* domaga się niezawisłości Rady od władz państwowych). Wreszcie, prezydent podjął też próbę narzucenia Sejmowi zmiany trybu uchwalania konstytucji; wnioski prezydenta utrącono już w pierwszym czytaniu. Nawet jednak i w tej sprawie koalicja chciała coś niecoś załagodzić: przyjęto wniosek Jaskierni z SLD, żeby własne projekty konstytucji mogły zgłaszać grupy obywateli (ale z 500 tys. podpisów, w propozycji Wałęsy było 100 tys.).

3.

O co prezydent gra, już wiemy. Na co zaś liczy?

Zdaniem większości warszawskich komentatorów prasowych Wałęsa liczy przede wszystkim na rozbieżności w koalicji SLD–PSL. Jest ich wiele i są oczywiste dla każdego, zarówno te, które się już ujawniły („Brudne szyby", *Kultura* 3/1994), jak inne, które się dopiero zaktualizują: np. zarówno Kwaśniewski jak Pawlak mogą kandydować w wyborach prezydenckich, obie partie będą różnie głosować nad ratyfikacją konkordatu, nowelizacją ustawy antyaborcyjnej, zapewne też prawem lokalowym itd. Nie ulega kwestii, że Wałęsa z lubością odróżnia „dobrego chłopa, Polaka i katolika" Pawlaka od eks-komucha Kwaśniewskiego, który na dodatek lubi się odpyskną (radząc np. żeby prezydent znalazł sobie zajęcia mniej wyczerpujące intelektualnie), podczas gdy Pawlak jest grzeczny, powściągliwy i małomówny. Wałęsa na pewno powitałby z radością rozpad koalicji. Ale to nie znaczy, że sam mógłby coś zmontować z PSL raczej niż z SLD: ostatecznie to eks-komuch Kwaśniewski „broni reform", nie zaś poseł Pęk... Prezydent o tym doskonale wie, zresztą również jego osobiste preferencje dla Pawlaka nie sięgają daleko. Pawlak był dobry jako chłopski polityk, zawdzięczający prezydentowi swój awans. Pawlakowi niezależnemu Wałęsa wymierza policzki. Tak było np. z neopopiwkiem, w którego uchwalenie Pawlak zaangażował się osobiście. Krótko mówiąc, wobec koalicji SLD–PSL prezydent uprawia czystą destrukcję, w żadnym z jej członów nie dopatrując się możliwego sojusznika. Zważywszy zaś, że obie partie razem reprezentują dwie trzecie parlamentu, jest oczywiste, że prezydent steruje ku przedterminowym wyborom parlamentarnym, których warunkiem byłby oczywiście rozpad obecnej koalicji. Oleksemu, który był u niego z kolejną próbą mediacji, Wałęsa potrafił warknąć, żeby uważał, bo już w tym roku przestanie być marszałkiem Sejmu. „Przedterminowymi wyborami" Wałęsa straszył zresztą publicznie zaraz potem, jak poseł Borowski, eks-wicepremier, oświadczył, że można by poprawką do ustawy konstytucyjnej ograniczyć kompetencje prezydenta. Najpierw zaprzyjaźnieni z Belwederem dziennikarze wyjaśnili,

że Wałęsa miał na myśli podanie się do dymisji, wobec tego przedterminowe byłyby wybory prezydenckie. Ale w dwa dni potem Belweder wyjaśnił oficjalnie, że chodziłoby o przedterminowe wybory i prezydenckie, i parlamentarne. Lecz Wałęsa nie może rozwiązać Sejmu, który na czas uchwalił budżet... Czyżby więc groźba „działań niekonstytucyjnych"? Raczej wojna nerwów, ale nie bez kolejnych skutków destabilizacyjnych.

Kierownictwo SLD przygotowało tymczasem zapowiadaną przez Borowskiego poprawkę: art. 68, który mówi o procedurze zmiany na stanowisku ministra, byłby uzupełniony o dwa dodatkowe ustępy, stanowiące, że jeśli prezydent w ciągu 7 dni nie podpisze przedłożonego przez premiera wniosku o zmianie, to sprawa przechodzi do kompetencji Sejmu.

Jeśli, jak należało przypuszczać, prezydentowi nie uda się rozerwać koalicji, to w każdym razie cała ta kampania podjazdów i awantur miałaby „przypomnieć" Wałęsę wyborcom niezadowolonym i z rządu, i z dotychczasowych poczynań opozycji, parlamentarnej i pozaparlamentarnej. W ten sposób miałby się ukształtować nurt opinii popychający ugrupowania opozycyjne pod sztandary prezydenta. Teraz jeszcze przy jego namiocie jest pustawo, ale — myśli — przyjdą, nawet jeśli się dziś zaklinają, że z Wałęsą już nigdy. Przyjdą, bo do kogo mają pójść? Ta zbieranina nie byłaby, oczywiście „siłą, której można przekazać władzę" z wywiadu dla Osiatyńskiego, lecz na jeden akt wyborczy mogłoby jej wystarczyć. I o to chodzi.

Taka nadzieja niekoniecznie jest płonna. Opozycja wobec rządu SLD-PSL jest bardzo wieloraka: związkowcy i samorządowcy, przedsiębiorcy i profesorowie, nieprzeliczalne mrowie partyjek prawicy i Unia Demokratyczna z liberałami, KPN i BBWR... (Nie wymieniam opozycji z lewa, Unii Pracy czy PPS, tam Wałęsa na nic nie liczy). Już choćby w imię skuteczności opozycja ta może zapragnąć jakiegoś choćby paktu o jedności działania. Dobrą płaszczyzną byłaby wspólna kandydatura prezydencka. Ostatecznie, Jan Maria Rokita wyobraża sobie, że możliwa jest taka kandydatura dla całego centrum i całej prawicy; pewnie myśli o Hannie Suchockiej, bo mąż się tak nie przywiązuje do żony, jak polityk do pomysłów, które mu się raz powiodły. Więc jeśli Suchocka, to dlaczego nie Wałęsa?

Gdyby takie były rzeczywiście intencje Belwederu, warunkiem ich jakiej takiej realności jest niepomniejszenie roli i kompetencji prezydenta, który ma być wybrany najpóźniej w listopadzie 1995. Prezydent w rodzaju niemieckiego, autorytet moralny i postać symboliczna, nie nadaje się oczywiście, na wodza opozycji. I nie ma co począć ze zbieraniną, która go ewentualnie wyniesie do zwycięstwa. Podkreślam też słowo „najpóźniej", gdyż urzędujący prezydent zawsze może, składając swój urząd, wymusić wybory wcześniejsze. Jest całkiem możliwe, że uczyni tak Lech Wałęsa zagrożony niesprzyjającą zmianą konstytucji i zarazem dysponujący choć trochę lepszymi niż dziś notowaniami oraz pewien rozstrzelenia głosów pomiędzy wielu kandydatów. Ta możliwość jest *nota bene* dodatkowym ważkim powodem, aby jak najszybciej rozstrzygnąć o zasadniczym kształcie nowej konstytucji. Referendum dyrektywne w myśl projektu Unii Pracy, przesądzające o tym w głosowaniu ludowym przed debatą w Zgromadzeniu Narodowym, byłoby dobrym sposobem. Ale są niewielkie na nie szanse.

Oto bowiem ostatnim z elementów, na które liczyć może w swej grze prezydent Wałęsa, jest niechęć koalicji rządowej do jakiegokolwiek w sprawie konstytucji pośpiechu. W *Kulturze* 3/1994 pisałem, że Kwaśniewskiemu jako przewodniczącemu komisji konstytucyjnej spieszy się, jak Mruczusiowi na piecu. Ostatnimi czasy Mruczuś chodzi na długie spacery; wiosna. A podkomisje głównie nie obradują z braku *quorum*. Czyżby przywódcy koalicyjni, zwłaszcza Kwaśniewski, przed którym sondaże otwierają realne perspektywy prezydentury, również polubili „system prezydencko-parlamentarny"?

...Tyle na dziś o drogach i sposobach, którymi kandydat Wałęsa mógłby się wydobyć z pogrążenia.

Warszawa, 11 kwietnia 1994

Krzysztof WOLICKI

Kartki ze skażonej strefy

1.

W Wielką Sobotę, przy Grobie w warszawskiej „Św. Annie", czyli w kościele akademickim stolicy, uległam zgorszeniu.

Oto tradycyjną od dziesiątków lat, polityczną symbolikę grobu w tym kościele reprezentował tego roku strzęp brukowca NIE, z widoczną wyraźnie stroną tytułową, w otoczeniu podświetlonych na czerwono diabłów. Tuż obok leżał biały Chrystus, martwy, złożony do grobu. Moje zgorszenie i zażenowanie brały się z poczucia, że dokonano tu nie tylko niesłychanego zwulgaryzowania symboliki, ale i doboru zupełnie chybionego merytorycznie przykładu.

Grób wielkanocny w kościele Św. Anny, który zapamiętałam jako dziecko jeszcze z czasów okupacji, wyrażał zawsze w swojej plastycznej wizji aktualne, ale ważkie, zagrożenie czasów. Zarówno za Hitlera, jak i za Stalina, a i potem, w ciągu ustroju totalitarnego, władze świątyni i autorzy Grobu mogli za czytelność tej symboliki ponieść represje. Tu, w mroku barokowego ołtarza, mówiło się zawsze o wolności człowieka i jego godności, czyli o wartościach na zewnątrz stłamszonych. Toteż nic dziwnego, że ludzie się tu garnęli. Jak sięgnę pamięcią, do tego właśnie Grobu warszawiacy ustawiali się w długie kolejki.

Podobnie jak i przed półwiekiem, jest i teraz, anno Domini 1994, ogonek do Św. Anny ciągnie się daleko w głąb Krakowskiego Przedmieścia. Wszyscy pod parasolami, bo leje; posuwamy się karnie. Na długie przystawanie przed ołtarzem, gdzie usytuowany jest Grób, nie ma czasu wobec naporu ludzi. Więc tylko przechodzimy szeregiem boczną nawą, zatrzaskując parasole, i wyciągając szyje, żeby lepiej widzieć. Z daleka, od Grobu, niesie się zwielokrotniony ludzki szept: „nie, nie..." Może on oznaczać, że ten właśnie element dekoracji został w pierwszym rzędzie zauważony, ale, powtarzane ze zdziwieniem słowo „nie", może mieć również wymowę protestu wobec takiej właśnie symboliki.

Bo oto w czasach wielkiej przemiany; w czasach wielkich problemów, wymagających od nas maksymalnego namysłu — również namysłu ze strony Kościoła jako autorytetu, oto w czasie poszukiwania mądrej postawy, tu, w miejscu, gdzie się jej szczególnie oczekuje, nie w żadnym prowincjonalnym kościele, ale niejako w świątyni wzorcowej — zostaje podniesione do rangi Głównego Zagrożenia brukowe piśmidło, i to piśmidło, które akurat chyli się ku swej naturalnej śmierci. Jakaż bezmyślność i jakiż anachronizm!

NIE, które zaistniało niemal równocześnie z naszą nagłą wolnością, było początkowo potajemnie rozchwytywane przez publikę dla obscenów w słowie i obrazie, zupełnie w polskiej prasie dotychczas nieobecnych. Nie tylko grafika bulwersowała

ludzi; również teksty prześcigały się w powtarzaniu wulgarnych słów, jakie normalnie się w prasie wykropkowuje. NIE dopracowało się pewnego jednolitego chamskiego stylu, w jakim mówiło na każdy temat, nie przeczuwając zapewne, że jest to styl tak ograniczony i monotonny, że w przyszłości musi podziałać usypiająco. I tak się też stało.

Prasoznawcy dokonają kiedyś fachowej oceny zjawiska NIE na naszym rynku czytelniczym, ja chcę tu tylko zaznaczyć moją prywatną obserwację: oto po pierwszym zachłyśnięciu się przez publiczność zakazanym świństwem, na czym, nawiasem mówiąc, naczelny pisma Jerzy Urban zbił majątek, pismo zaczęło regularnie, choć może na pierwszy rzut oka, niepostrzeżenie, spadać w poczytności.

NIE od początku było pismem ogólnie antysolidarnościowym i antyklerykalnym. Ale rózga satyry została tu tak gęsto oblepiona monotonnymi w swojej repetycji schematami myślowymi, prostackimi wulgaryzmami leksykalnymi i patologiczną obsesyjnością podejścia, że pod ich ciężarem nawet, tak zwane, nagie fakty traciły wszelką wymowę i wiarygodność. Dziwne, że autorzy w porę nie zdali sobie sprawy, że styl, w jakim uprawiają swoją propagandę, jest na dłuższą metę samobójczy. No, a kiedy rządy w kraju objęła postkomuna, ograniczając tematycznie satyryczny bicz NIE — pismo na potęgę zaczęło nudnieć. Aż przykro patrzeć na upadek felietonistyki Jerzego Urbana, dziennikarza, którego tekstów szukało się dawnymi laty po gazetach, niezależnie od ich treści. Teraz, czytając, tak samego Urbana, jak i całą resztę NIE, człowiek załamuje się po dwu akapitach tej lektury — z nudy.

Dowodnym przykładem utraty popularności NIE może być afera w poznańskiej policji. NIE sygnalizowało ją daleko wcześniej od *Gazety Wyborczej*, ale wówczas nikt na tę publikację nie zwrócił uwagi.

I teraz oto, kiedy tygodnik NIE w sposób najnaturalniejszy chyli się ku upadkowi, plastycy od Św. Anny przydali mu niebywałego znaczenia, podnosząc niechybnie poczytność. (Obawiam się, że NIE fakt ten podchwyci i podziękuje we właściwy sobie sposób).

●

„Albo ja zwariowałam, albo 'Św. Anna' zwariowała" — pomyślałam patrząc na ów wyczyn kompozycyjny przy Grobie. I zrobiło mi się żal. Warszawska Św. Anna, kościół szcze-

gólny, zawsze dotąd trafiający w sedno, i taka wpadka!

Pamiętam z czasów okupacji ascetyczną, smukłą sylwetkę młodego ojca Tomasza Rostworowskiego; ówczesnego rektora Św. Anny, jego rekolekcje, kiedy ludzie obracali się ze strachem, czy już po niego nie idą. Pamiętam nie mniej odważne kazania księdza Prymasa Wyszyńskiego z tej ambony za wczesnej komuny, a potem nieprawdopodobny wprost *boom* z przełomu lat 70/80 Akademickich Siedemnastek, grup tu ukształtowanych i stąd wyruszających, nadających ton Wielkiej Warszawskiej Pielgrzymce do Częstochowy, gdzie obok wierzących szli niewierzący, a konferencje w marszu były jedną wielką lekcją historii i najgłębiej rozumianej polityki w duchu zasad Ewangelii — gdzie to się wszystko podziało?

O dzisiejszym życiu akademickim w Polsce mówi się, że wyprane z polityki. Studenci w swojej masie odwracają się do niej plecami; podobno grupki tych, których polityka interesuje, opowiadają się za skrajną prawicą, nie wstydzą się nawet słowa „faszyzm". Może więc i tę niefortunną tegoroczną symbolikę w Św. Annie należy traktować jako przejaw aberracyjnego w społeczeństwie myślenia?

Jest rzeczą oczywistą, że Kościół w Polsce szuka dziś tonu, który rezonowałby wśród wiernych. Znalezienie go i zastosowanie stanowi problem niezwykle skomplikowany, jak wszystko w naszej dzisiejszej rzeczywistości. Nie tu miejsce na podpowiedzi, wskazówki, a tym bardziej, pouczenia. Jednakże, patrząc na postawy niektórych polskich duchownych, nie sposób nie dostrzec w nich fatalnego lęku przed nowością sytuacji, którą dla ułatwienia, zbyt pochopnie gotowi są utożsamiać z rozpasaniem i rozwiązłością, z uleganiem nowinkom płynącym z Zachodu. Tam, gdzie potrzeba cierpliwości i wspólnego zastanawiania się — wszak wszyscy jesteśmy Kościołem — chcą natychmiast od razu, podać diagnozę i wypisać gotową receptę. Gotowej recepty nie ma. Gdybym miała radzić, powiedziałabym kapłanom nie bójmy się czekać, mówić „nie wiem", a przede wszystkim wchodzić między ludzi i być z nimi na każdy czas...

Tymczasem odnoszę wrażenie, że niektóre ośrodki mieniące się katolickimi, jak np. tygodnik *Niedziela* w Częstochowie, czy niektórzy proboszczowie rozsiani po całej Polsce — skorzy są raczej tworzyć przeciwnika tam, gdzie go nie ma, ponieważ łatwiej im się obracać w sferze bezapelacyjnych zakazów i nakazów wygłaszanych w tonie bitewnym niż głosić proste, ale nie upraszczające, słowa Ewangelii. Tacy księża

wyolbrzymiają zazwyczaj polski antyklerykalizm, nakręcając go niejako samoczynnie. Żałosne w swym prymitywizmie napaści NIE, i krytykę płynącą z wewnątrz Kościoła, czyli od swoich sojuszników, wrzucają do jednego worka i biorą za atak tajemnego spisku wymierzonego w Kościół jako całość. Jak błędnie! Czasem, słuchając podobnych homilii, myślę, że ci, co je głoszą, wolą status oblężonej twierdzy, bo w niej łatwiej żyć niż na zewnątrz, w otwartym, skomplikowanym świecie.

Drobnym, ale znamiennym, przykładem postawy ksenofobicznej może być tu reakcja niektórych księży na zjawisko Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, słynnej już w kraju i wśród Polonii akcji charytatywnej na rzecz chorych na serce polskich dzieci. Kościół zamiast jak jeden mąż przyłączyć się do tych rozhukanych, sprawiających kłopoty, małolatów z „heavy-metalu", którzy teraz znoszą w pudełkach od butów setki milionów uzbieranych od ludzi złotych; zamiast ich promotora i propagatora, dziennikarza radiowego, Jurka Owsiaka, uznać za tego, kim jest, czyli za człowieka obdarzonego talentem i swoistą charyzmą, otóż zamiast to zrobić, księża, o których mowa, nie szczędzą jemu i całej imprezie uszczypliwości. Po co?! Spontanicznego entuzjazmu dla tej akcji nie da się już zahamować, natomiast niechęcią mogą zaszkodzić sobie, a w dalszej perspektywie, Kościołowi w Polsce. Na szczęście świątynie pełne są jeszcze ludzi, o czym świadczą choćby tegoroczne obrzędy wielkanocne. Ale czy będą?

Podobne myśli przychodzą mi do głowy, gdy patrzę na owe diabły z potarganymi strzępami NIE w szponach, u Grobu w Św. Annie. I naraz widzę że ich pyski przypominają poczciwe mordy naszych psów. Co za pociecha!

2.

Dwaj moi znajomi, malarz i historyk sztuki, ludzie w swoim środowisku wybitni i opiniotwórczy, zakupili 4000 m kwadratowych rozfalowanych morenowych pagórków o kilometr od granicy litewskiej w pobliżu Sejn. Wójt wsi mieszanej, polsko-litewskiej, sam Litwin, bardzo się ucieszył z nowych przybyszów (zapewne, jako dobry gospodarz, w przewidywaniu na ożywienie gospodarcze), i obiecał skrzyknąć drużynę do odbudowy rozwalającej się na zakupionym terenie chaty. Nadzór techniczny miał objąć ktoś z pobliskiego „Pogranicza".

Gdy spytałam moich znajomych o przyczyny takiej właśnie lokalizacji ich nowego letniego domostwa, odpowiedzieli, że nie przyświecała im żadna uboczna myśl prócz: szerokiego krajobrazu, ciszy i zbawczego oddalenia wiejskich chat, jedna od drugiej. Albowiem, ściśnięcia, łomotu, jazgotu, stylu w aranżowaniu przestrzeni i stylu życia w makro i w mikroskali, która stała się charakterystyczna dla dzisiejszej środkowej Polski, zapchanej kulturą masową w wyjątkowo tandetnym wydaniu, tego wszystkiego, mieli już szczerze dosyć. Sprzedali więc krytą strzechą chatę w modnej wiosce nie opodal Kazimierza Dolnego nad Wisłą, gdzie od lat latem mieszkali i pracowali, żeby przenieść się do tej głuszy.

●

Pamiętam jak przed wojną każdego lutego nasze warszawskie mieszkanie zamieniało się w bazę przygotowawczą wyprawy górskiej. Narty, smary, foki i fascynująca mnie 60-metrowa czerwona lina, którą każdy z uczestników musiał za sobą wlec, żeby łatwiej go było odnaleźć w razie zasypania przez lawinę. W ten sposób mój ojciec gotował się rokrocznie na narciarski szlak w południowo-wschodniej Polsce. Padały nazwy, potem na długo zapomniane, jak Czarnohory, Howerla, Sianki...

Tak jak ongiś Zakopane, tuż przed wojną Huculszczyzna stała się modna. Może „modna" nie jest właściwym słowem, gdyż nie chodziło tu o atrakcję li tylko turystyczną, ale o typ kultury, o wskazanie nowego, twórczego kierunku w myśleniu o naszej wielonarodowej społecznej wspólnocie. Owo ożywienie, ów ciąg w tamtym kierunku z centralnej Polski odbywał się z pewnością za sprawą wielkiego animatora tamtych stron, pisarza Stanisława Vincenza, który jak niegdyś Chałubiński do Zakopanego, przyciągał ludzi na huculską „wysoką połoninę".

Gdy w latach dziewięćdziesiątych powstała wolna Ukraina, prywatne stosunki po obu stronach oczywiście bardzo się ożywiły. Ale tylko na chwilę, i raczej na linii Lwów i okolice. Polacy masowo odwiedzali kraj swojego dzieciństwa, zabierając do towarzystwa dzieci i wnuki. Co prawda, znam młodych, którzy samorzutnie próbowali wówczas jeździć i w Czarnohory, to naturalne przedłużenie ulubionych włóczęgowsko Bieszczad. Niektórzy całkiem świadomie odwoływali się do tradycji „Czerwonego pasa", śpiewanego do dziś niezmordowanie przy ogniskach; nawiązali tam nawet miłe kontakty z miejscowymi, ale zniechęciło ich ostatecznie swoiste sowieckie „wystepowienie" terenu, czego elementem były również rozsiane po górach „tur-bazy", nie do przyjęcia już dla Polaka, z ich brudem, pchłami i brakiem jakiegokolwiek zagospodarowania.

Na trasie południowo-wschodniej pozostały więc na dłużej jedynie stosunki prywatno-handlowe.

Turystycznie oczy Polaków zwróciły się na Północ. Dziś wystarczy przejrzeć rozkład jazdy PKP lub licznych prywatnych firm autokarowych oraz „socjologię" pasażerów, żeby się o tym przekonać. Wspomniani moi znajomi, malarz i historyk sztuki, którzy nie mają samochodu, już z góry się cieszą, że w luksusowej autokarowej lux-torpedzie na linii Warszawa-Wilno pierwszym przystankiem są Sejny, skąd już blisko do ich północnego „chutoru".

Kto wie, czy na własne utrapienie, owi pionierzy nie przeszczepią tam swoim entuzjazmem wielkiej mody na Północ? Czy nie zagłuszy ciszy Północy nowobogacki styl i rejwach Polski Środka, od których uciekają? A może stanie się inaczej? Może powstanie coś na kształt życiodajnej symbiozy, znane nam z najlepszych czasów naszej historii? Może dobry układ sąsiadów o miedzę pójdzie głębiej i szerzej, obejmie Polaka i Litwina po obu stronach granicy, ucząc ich wzajemnego zrozumienia i umiejętności brania od siebie tego, co wziąć warto? Może w naszym nieznośnie jednolitym etnicznie i przez to zagrożonym nacjonalizmem społeczeństwie wykształci się jakaś szersza mentalność nowej kresowości?

Niech jeżdżą!

Ewa BERBERYUSZ

O religii bez namaszczenia

Czy potrzebni są księża-kobiety?

Ten tytuł jest trochę niegramatyczny. Ale nie wiadomo, jak tej niegramatyczności uniknąć. W ten sposób sam język stawia opór zbitce pojęciowej ksiądz-kobieta czy kapłan-kobieta. Jest to namacalny dowód, jak głęboko w naszej świadomości jest zakorzeniony prymat mężczyzny, datujący się z czasów, zanim jeszcze nasz język powstał. Bo jest tak już w języku Biblii. (W języku polskim, nawiasem mówiąc, ten prymat znajduje szczególnie drastyczny wyraz: istnieje osobna odmiana przymiotnikowa liczby mnogiej dla osób płci męskiej i osobna dla kobiet, zwierząt i przedmiotów martwych; np. ci mężczyźni, ale te kobiety, te zwierzęta, te rzeczy.) Ten odwieczny prymat mężczyzny jest zapewne powodem, dla którego tak trudno nam zaakceptować pojęcie kapłana-kobiety. Pogodziliśmy się już z tym, że kobiety sprawują dziś funkcje, które dawniej sprawowali tylko mężczyźni, i z czystym sumieniem zadajemy gwałt językowi mówiąc o pani profesor, pani doktor czy pani premier. O tyle przezwyciężyliśmy dyktat kulturowej tradycji. Zdecydowaliśmy na ogół zgodnie, że funkcje nauczania, leczenia i nawet rządzenia państwem nie są z natury wyłącznie męskie, tak jak funkcja rodzenia dzieci jest z natury swej funkcją wyłącznie kobiecą. Nie zdecydowaliśmy zgodnie, że taką funkcją jest również kapłaństwo. W Kościele katolickim i prawosławnym kapłaństwo jest funkcją wyłącznie męską, tak jak macierzyństwo wyłącznie kobiecą.

Do niedawna tak samo było w Kościele Anglii. Ale nie w całej wspólnocie anglikańskiej, rozproszonej po wielu krajach świata, gdziekolwiek dotarła kultura anglosaska. Kościoły

tej wspólnoty są luźno z sobą związane; wszystkie wprawdzie uznają duchowy prymat każdorazowego arcybiskupa Canterbury, ale jest to prymat raczej historyczny i formalny, pozbawiony atrybutów władzy duchowej. Jest rzeczą znamienną, że całkiem spontaniczna ewolucja kilku wielkich kościołów wspólnoty anglikańskiej doprowadziła do wyświęcenia tam, już wiele lat temu — kapłanów-kobiet. W Stanach Zjednoczonych (gdzie kościół anglikański nazywa się, podobnie jak w Szkocji, kościołem episkopalnym) istnieje już nawet biskup-kobieta. Odbyło się to bez oglądania się tych autonomicznych kościołów na macierzysty kościół Anglii i bez oglądania się na siebie wzajemnie. Co więcej, odbyło się to bez szczególnych protestów i bez międzynarodowego rozgłosu, jaki wywołało teraz wprowadzenie święceń dla kobiet w Kościele Anglii. Po prostu poza-angielskie kościoły wspólnoty anglikańskiej zdecydowały kolejno, że ich sytuacja lokalna dojrzała do wprowadzenia tej zmiany. Ciekawe, że nie odbiło się to w sposób widoczny na stosunkach między Kościołem Anglii a Watykanem ani na obradach wspólnej komisji teologicznej anglikańsko-katolickiej, znanej pod skrótem literowym ARCIC, odbywających się od 1968 roku, w których strona anglikańska reprezentowała przecież całą wspólnotę anglikańską, a nie tylko lokalny kościół angielski. ARCIC najwyraźniej uniknęła tego drażliwego tematu.

Tymczasem jednak sprawa kapłanów-kobiet poczęła również dojrzewać w Anglii. Kolejni arcybiskupi Canterbury, świadomi wagi tego problemu dla sprawy zbliżenia, jeśli nie aż zjednoczenia, z Kościołem katolickim (która właśnie dzięki ARCIC poczęła nabierać realnych kształtów) podjęli dialog z Rzymem na temat obu tych spraw. Ale już w połowie lat siedemdziesiątych papież Paweł VI oświadczył arcybiskupowi Cogganowi, że święcenia dla kobiet w Kościele Anglii stanowiłyby nową walną przeszkodę na drodze do przyszłego zjednoczenia. W dziesięć lat później, między rokiem 1984 a 1986, następca Coggana na kanterburyjskiej stolicy, arcybiskup Runcie, prowadzi w tej sprawie obszerną korespondencję z Rzymem, w tym osobiście z papieżem Janem Pawłem. Wymiana listów jest powolna, bo przedłużają ją miesiące studiów i wewnętrznych konsultacji po jednej i drugiej stronie, lecz w końcu 1986 roku cała ta korespondencja zostaje ogłoszona w angielskiej prasie. Równocześnie toczy się publiczna debata w łonie samego Kościoła Anglii, w którym istnieje silna opozycja przeciw dopuszczeniu do pełnienia funkcji kapłańskich kobiet, pełniących już w tym kościele funkcje diako-

nów (czy diakonis). Jednak presja większości opinii kościelnej, jak o tym świadczą kolejne synody generalne Kościoła Anglii, jest coraz bardziej po stronie zwolenników kapłaństwa kobiet. Działają niewątpliwie te same motywy i tendencje rozwojowe, które już doprowadziły do wyświęcenia kapłanów-kobiet w innych kościołach światowej wspólnoty anglikańskiej. Arcybiskup Runcie próbuje za wszelką cenę nie dopuścić do wewnętrznej schizmy w Kościele Anglii i do pogorszenia stosunków z papiestwem. Przecież nie tak dawno, w r. 1982, przyjmował Jana Pawła II w swej kanterburyjskiej katedrze, gdzie się razem modlili słowami nicejskiego Credo. Ale stanowisko Rzymu pozostaje niezmienione. Chodzi nie o to, że Rzym w ogóle nie bierze pod uwagę możliwości wprowadzenia kapłaństwa kobiet w Kościele katolickim (bo waży się tylko przyszłość Kościoła Anglii), tylko o to że między obu kościołami wyrasta nowa bariera. A Kościół Anglii, wbrew Rzymowi i w odróżnieniu od innych wyznań ukształtowanych w okresie Reformacji, uważał się zawsze za zreformowaną, narodową kontynuację jednego światowego Kościoła katolickiego. Dlatego teraz oponenci przeciw kapłaństwu kobiet, głównie ze skrzydła tzw. anglokatolików, zaczęli się liczyć z możliwością przejścia na rzymski katolicyzm.

W tej sytuacji kadencja arcybiskupa Roberta Runcie dobiegła końca i jego następcą na stolicy w Canterbury został George Carey, zdecydowany zwolennik kapłaństwa kobiet. Nie to jednak lecz dalsza ewolucja anglikańskiej opinii sprawiła, że w listopadzie 1992 roku Synod Generalny uchwalił wymaganą większością dwóch trzecich głosów wprowadzenie kapłaństwa kobiet w Kościele Anglii. W niecałe półtora roku później, w marcu 1994 roku, pierwsze 32 diakonisy zostały wyświęcone na pełnoprawnych kapłanów. W ciągu następnych miesięcy około 1000 kandydatek ma otrzymać święcenia. Była to trudna decyzja, która groziła — i grozi nadal — nie tyle może schizmą co wewnętrznymi rozdźwiękami, niepokojem i poczuciem goryczy wśród tych członków Kościoła, którym trudno jest te decyzje w sumieniu przyjąć. Synod Generalny i biskupi zrobili wszystko, by skrupuły tych członków Kościoła Anglii uwzględnić, między innymi wyświęcono dwóch nowych biskupów, spośród przeciwników święceń dla kobiet, których zadaniem będzie opieka nad tymi parafiami czy mniejszościami w parafiach, które nie są w stanie przyjąć posługi kapłańskiej z rąk kapłana-kobiety. Rozwiązanie bardzo nieporządne i zarówno z tego względu jak i ze względu na

swój pragmatyczny i demokratyczny charakter rozwiązanie typowo angielskie. Po prostu innego wyjścia nie było, bo ogromna większość wiernych Kościoła Anglii kapłaństwo kobiet zaakceptowała — po części może dlatego, że w ciągu wielu lat publicznej debaty wierni zdołali się z tą myślą oswoić, ale w dużej mierze także z głębokiego przekonania, że tak być powinno.

Niemniej koszt tej innowacji dla Kościoła Anglii — duchowy, strukturalny i materialny — jest ogromny. Nade wszystko ta część zawiedzionej mniejszości, która pozostaje w ramach Kościoła Anglii, jest duchowo zdezorientowana, a inna część, jakkolwiek drobna, opuszcza ten Kościół i, sądząc z kilku spektakularnych wypadków, przechodzi na rzymski katolicyzm. Mam na myśli przyjęcie na łono Kościoła katolickiego księżnej Kentu, mimo wszystko członka rodziny królewskiej, i dwojga ministrów obecnego rządu. Mówi się o możliwości przejścia na katolicyzm aż 700 anglikańskich księży, w tym 7 biskupów (choć nie ma wśród nich ani jednego biskupa-ordynariusza), ale nawet jeśli ta liczba nie jest przesadzona, mało jest prawdopodobne, by wielu ich ten zamiar zrealizowało. A liczebność anglikańskiego duchowieństwa w Anglii wynosi z górą dziesięć tysięcy.

Czy ten wstrząs był konieczny? Czy korzyści — mam na myśli oczywiście duchowe korzyści — rekompensują straty? By odpowiedzieć na te pytania, musimy spojrzeć na motywację, która wywołała ten przewrót.

Debata na ten temat trwa przynajmniej od połowy stulecia. Na dobrą sprawę jest ona częścią tego samego duchowego fermentu — nazwijmy go fermentem nowoczesności — którego przejawem jest również powstanie w tym stuleciu Światowej Rady Kościołów, ruchu ekumenicznego, a także powołanie Soboru Watykańskiego. Pod pewnym względem jest on przedłużeniem historycznej Reformacji, okresu szczególnie gwałtownej ale i płodnej debaty — choć oczywiście debata nigdy nie była chrześcijaństwu obca, od samych jego początków. A podstawowym motywem debat jest zawsze pogłębienie doktryny i przystosowanie jej do zmieniających się warunków, to co papież Jan XXIII określił mianem *aggiornamento*. Wśród elementów nowoczesności, które najpierw Jan XXIII w swych dwóch wielkich encyklikach, a następnie Sobór w konstytucji *Gaudium et Spes* uznali za pozytywne i zgodne z duchem Ewangelii, jest dokonujące się w naszych czasach równouprawnienie kobiet.

Idea ta ma głębsze uzasadnienie aniżeli tylko interes żeńskiej połowy ludzkości i uprzystępnienie jej przywilejów, które tradycyjny prymat dawał dotychczas tylko mężczyźnie. Chodzi raczej o pełne wyzyskanie twórczego potencjału kobiety poza tradycyjnie jej przynależnymi dziedzinami, a więc dajmy na to, w nauce, szkolnictwie czy polityce i danie jej w tych dziedzinach możliwości osiągnięcia ludzkiego maksimum. Dlaczego nie miałoby to być możliwe w Kościele? Jest tak już od dłuższego czasu w wyznaniach czysto protestanckich, z tym że w tych kościołach funkcje wyższego szczebla nie mają mistycznego charakteru kapłaństwa. I tu wchodzi w grę argumentacja Kościoła katolickiego (i prawosławnego). Według tej nauki kapłan nie jest tylko wykonawcą praktycznych funkcji, choćby tak wzniosłych jak głoszenie Słowa Bożego i przewodniczenie w Eucharystii, ale ma powierzony sobie udział w kapłaństwie samego Chrystusa i jako jego przedstawiciel dokonuje ofiary Eucharystii. A Chrystus był mężczyzną i na apostołów, na których przelał swą władzę kapłańską, też wybrał tylko mężczyzn. Kobiety zatem z godności kapłańskiej są wyłączone. Taki jest mniej więcej rdzeń sprawy. Pełna argumentacja jest oczywiście bardziej rozbudowana. Autorytatywnym jej dokumentem jest deklaracja *Inter Insigniores* wydana w roku 1976 przez watykańską Kongregację dla Spraw Nauki Wiary.

Kościół Anglii jak i cała Wspólnota Anglikańska uznają ten mistyczny, personalnie Chrystusowy, charakter katolickiego kapłaństwa. Tym się różni od innych poreformacyjnych wyznań chrześcijańskich, mimo że Kościół katolicki dekretem Leona XIII z r. 1898 uznał anglikańskie kapłaństwo za nieważne, a zatem nie istniejące. Anglikanie oczywiście nie uznają tego dekretu. Nie uważają przy tym, by Chrystusowy charakter kapłaństwa był dodatkowo zdeterminowany faktem, że Jezus był mężczyzną. Tajemnica wcielenia polega na tym, że Bóg stał się człowiekiem, a byłoby nonsensem twierdzić, że kobieta jest pod jakimkolwiek względem mniej człowiekiem niż mężczyzna. Tak z kolei wygląda rdzeń argumentacji anglikańskiej. Kapłaństwo kobiet jest naturalną, choć historycznie bardzo spóźnioną konsekwencją ortodoksyjnej chrystologii*.

* W tym kontekście nie ma znaczenia fakt, że Jezus na apostołów wybrał samych mężczyzn. Jest to wynik historycznych okoliczności; wybrał również samych Żydów, ale z tego nie wynika, by kapłanami mogli być tylko Żydzi. Ale warto sobie uprzytomnić, że ten wzgląd grał rolę w najwcześniejszym, przed-Pawłowym kościele jerozolimskim, w którym tylko obrzezany Żyd mógł być chrześcijaninem.

Teologowie muszą rozumować i argumentować kategoriami doktrynalnymi. Ale życie szeregowego chrześcijanina (i, śmiem sądzić, niechrześcijan też) kształtuje raczej duszpasterska praktyka i instynktowne poczucie prawdy i moralnego dobra. Nie sposób przewidzieć, jak się obecna sytuacja anglikańsko-katolicka rozwinie. Nie bardzo widzę jak anglikanie, którzy nie akceptują kapłaństwa kobiet, mogą tylko z tego powodu akceptować teraz katolicyzm, wraz (dajmy na to) z dekretem Leona XIII, negującym wartość ich dotychczasowego anglikanizmu. Jeśli tak, to powinni byli to zrobić sto lat temu. Nie bardzo też widzę, jak Kościół katolicki mógłby witać z otwartymi ramionami tego rodzaju koniunkturalnych konwertytów. Tym bardziej, że problem kapłaństwa kobiet daje o sobie znać również wśród wiernych Kościoła katolickiego i jest mało prawdopodobne, by dotychczasowa ewolucja poglądów stanęła nagle na tym punkcie, na którym w tej chwili stanęła. Jedno wydaje się pewne: że tej ewolucji nie da się już odwrócić. Niezależnie od tego, jak daleko zajdzie, trudno sobie wyobrazić, by kościoły wspólnoty anglikańskiej, raz przyjąwszy kapłaństwo kobiet, mogły kiedykolwiek się go wyrzec. Jest kwestią, czy przeciwnikom kapłaństwa kobiet wolno mieć tego rodzaju nadzieję. Taka nadzieja byłaby uzasadniona — i obowiązkowa — gdyby chodziło o prawdę albo zasadę istotną dla zbawienia ludzi i zbawienia świata. Ale kapłaństwo kobiet taką zasadą najoczywiściej nie jest. Na pytanie postawione w tytule tego eseju, czy potrzebni są kapłani-kobiety?, odpowiedziałbym: dla jednych ludzi nie, dla innych tak. Ci (i te), którzy tę zasadę przyjęli i przez wiele lat o nią wolą i myślą walczyli, uczynili tak niewątpliwie z potrzeby serca, to jest z wiary. Ale jest to może jakiś duchowy luksus, bez którego inni mogą się obejść, bez którego innym jest lepiej. Oczywistym nakazem moralnym w takiej sytuacji jest wzajemna tolerancja. I to tolerancja czynna czyli dzielenie się między sobą swoimi darami duchowymi. Przy czym należy pamiętać, że chodzi nie tylko o dawanie, ale i o przyjmowanie, które bywa trudniejsze.

I ten tok myśli w sposób równie oczywisty prowadzi jeszcze dalej. Chodzi o tolerancję czynną nie tylko *między* kościołami chrześcijańskimi wraz z innymi religiami, ale także o tolerancję *wewnątrz* każdej z tych wielkich społeczności religijnych. Żaden historyczny kościół nie jest dzisiaj doktrynalnym monolitem; wszystkie niejako przenikają się wzajemnie i w rezultacie granice między wyznaniami stają się coraz

bardziej płynne i mniej istotne. Wbrew pozorom nie jest to żaden indyferentyzm; wprost przeciwnie, znaczy to, że ludzie traktują swoje poglądy religijne poważniej niżby to wynikało z samego faktu przynależności do określonego wyznania. I wbrew pozorom nie oznacza to wcale — w każdym razie nie musi oznaczać — cofania się chrześcijaństwa i postępów bezbożnej sekularyzacji. Bezbożny i bezmyślny sekularyzm istnieje, ale jest to cena religijnej wolności; że już nikt nikogo do wiary religijnej nie zmusza. Ale jest i dobry sekularyzm, który jest wynikiem powolnego, trwającego od wielu stuleci, przenikania wartości ewangelicznych do świeckiego świata, gdzie funkcjonują bez swojej chrześcijańskiej etykiety, ale dlatego może tym rzetelniej i sprawniej. Bo źródłem wszystkich niedoskonałości historycznego chrześcijaństwa było współzawodnictwo o taką czy inną chrześcijańską etykietę, aż po wojny religijne. Kościoły, wyznania i obrządki są ważne jako nosiciele ewangelicznych wartości, ale są apostolsko sprawne tylko, gdy są pokorne.

Nie sposób tu nie pomyśleć o sytuacji na Bałkanach jako stosownej ilustracji. Ten zwrot ku lepszemu, ku pokojowi, który obserwujemy ostatnio (daj Boże, by się utrzymał, piszę pod koniec marca) nie jest oczywiście dziełem ani chorwackiego katolicyzmu, ani serbskiego prawosławia czy bośniackiego islamu, choć najlepsi przedstawiciele każdej z tych społeczności na pewno do tego się przyczynili. Jest nade wszystko dziełem tego tajemniczego zaczynu, który przenika wszystkie trzy społeczności, a także tych, bez widocznej religijnej etykiety, co z całego świata przybiegli — od Ameryki poprzez Europę i Egipt aż po Japonię — by żywić, leczyć, pielęgnować i nieść pokój. *Po owocach ich poznacie je.* (Mat. 7.16.)

Antoni POSPIESZALSKI

Sprawy i troski

Zakład św. Kazimierza w Paryżu

Historia tego Zakładu sięga roku 1846. Założony został przez polskie siostry Miłosierdzia Wincentego à Paulo, z siostrą Teofilą Mikułowską na czele. W 1839 roku car Mikołaj I ukazem zlikwidował w Wilnie klasztor Szarytek. Siostra Teofila oraz jej rodzona siostra Ludwika miały do wyboru: prawosławie albo ucieczkę z Wilna. Wybrały to drugie i w 1844 znalazły się w Paryżu. Sprawami polskich sióstr zajął się generał Zgromadzenia Lazarystów, ksiądz Etienne. W dwa lata później, w domu wynajętym dla nich, pod Paryżem, przez księżnę Annę Czartoryską, siostry przyjęły pięć pierwszych polskich sierot. Ponieważ Zakład się rozwijał hrabina Grocholska wynajęła dla sióstr dom w Paryżu, przy ulicy Gentilly. Otwarto w nim przytułek dla weteranów potrzebujących opieki. W roku 1861, dzięki darom hrabiny Grocholskiej i hrabiostwa Moszczeńskich, złożonym na ręce księdza Etienne, zakupiono dom wraz z terenem — tam gdzie znajduje się do dzisiaj — przy ulicy Chevaleret, wówczas nr 48, dzisiaj 119. Z pozostałych po zakupie pieniędzy dobudowano dwa piętra i kaplicę. Ofiarodawczyni, hrabina Grocholska postawiła jeden warunek ofiarowując na rzecz Zakładu 100 tys. franków, że jeżeli kiedykolwiek Zakład zostanie zlikwidowany, to pieniądze mają zostać zwrócone jej spadkobiercom, wraz z odsetkami.

Cesarz Napoleon III zatwierdził status Domu, jako instytucji wyższej użyteczności publicznej. Zwalniało to Zakład św. Kazimierza z płacenia podatków i tak jest do dzisiaj. Początkowo przywilej ten wiązał się i z pewnymi subwencjami przyznawanymi przez rząd francuski. Zlikwidowano je na przełomie wieku. Razem z przywilejem powstał i statut, który do dzisiaj obowiązuje polską placówkę. Zakład pozostaje pod kontrolą fran-

cuskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i paryskiej prefektury. Według statutu Zakładem zarządza Rada Administracyjna, wybierana spośród członków Stowarzyszenia Dzieła św. Kazimierza (*Association de l'Oeuvre de Saint Casimir*),. drogą głosowania. Wybiera się dwunastu administratorów, którzy spośród siebie wybierają Radę Administracyjną. Kierownictwo Domu powierzone jest Matce Przełożonej, która, jak i pozostałe Siostry, podlega bezpośrednio władzom zakonnym prowincji warszawskiej. Siostry niezależne są zarówno od Arcybiskupstwa paryskiego, jak i od polskiej Misji Katolickiej we Francji.

Zakład, jak większość instytucji charytatywnych, utrzymuje się z darów i spadków. Lista ofiarodawców polskich i francuskich jest bardzo długa. Dzisiaj Dom jest schronieniem dla starszych pań i dziewczynek pochodzących z biednych polskich rodzin oraz sierot.

Wiosną 1988 roku Rada Administracyjna, na czele której stoi Jerzy Baranowski (prezes) zaczęła opracowywać przy pomocy specjalistów plan ratowania Zakładu św. Kazimierza. Sporządzono projekty prac budowlanych na terenie polskiej placówki. Rada wychodziła z założenia, że z braku odpowiednich środków stoi przed wyborem: albo skazać Zakład na wegetację, utrzymując dotychczasowe pomieszczenia, jako „miejsca pamięci", albo zapewnić Zakładowi przyszłość w nowych, wygodnych i funkcjonalnych pomieszczeniach, odpowiednio przystosowanych do spełniania tradycyjnych celów charytatywnych, tzn. przeznaczonych na: „rezydencję dla osób starszych, internat dla dziewcząt, miejsce czasowego schronienia dla Polaków, potrzebujących pomocy..."

W efekcie kilkuletnich prac powstał projekt sprowadzający się do tego, żeby wyburzyć wszystkie budynki na terenie Zakładu i zbudować nowe. Ponieważ Zakład nie dysponuje możliwościami finansowymi koniecznymi do wykonania takiego planu zdecydowano, że z posiadłości Zakładu (3440 m.kw.) odstąpi się francuskiemu inwestorowi budowlanemu (działkę budowlaną 488 m.kw.) od strony ulicy Chevaleret. W zamian za to kontrahent francuski zobowiązuje się „przedkładając wszelkie gwarancje bankowe, do właściwego wykonania robót, do wybudowania: nowego Zakładu św. Kazimierza o powierzchni 1000 m.kw. (czyli większej o 1/3 od dotychczasowej) oraz budynku o powierzchni 960 m.kw., należącego do Zakładu i przeznaczonego do wynajmu, w celu zapewnienia Zakładowi stałych dochodów". A na tych odstąpionych 488 m.kw. pobuduje dla siebie ośmiopiętrowy biurowiec z trzema, czy czterema podziemnymi kondygnacjami. Dom Zakładu będzie przylegał do budynku przeznaczonego na wynajem. Zakład byłby więc nieco oddzielony od biurowca właśnie owym domem do wynajęcia. Dom Zakładu liczyłby sobie sześć pięter plus kondygnacje podziemne, gdzie między innymi miałaby być kaplica. Zaplanowano też odtworzenie, w tych nowoczesnych wnętrzach, „izdebki Norwida", bo to u św. Kazimierza wybitny poeta spędził ostatnie lata swojego życia. Nowa sala widowiskowa miałaby nosić imię Ignacego Paderewskiego, tak jak obecnie istniejąca zbudowana w 1926 roku z dochodu z koncertu Paderewskiego, który przeznaczył on Zakładowi św. Kazimierza.

W sierpniu ubiegłego roku władze zatwierdziły projekt Rady Administracyjnej.

Do burzenia i nowych prac jednak nie doszło. Prowadzące Dom siostry Szarytki nie zamierzają zgodzić się na to, by burzono i zmieniano charakter tej polskiej placówki. Protest Sióstr wspiera, powołane do życia w czerwcu 1992 roku Stowarzyszenie Przyjaciół św. Kazimierza. Zwolennicy projektu twierdzą, że to właśnie ci „fałszywi przyjaciele" przestraszyli Siostry, które początkowo nie były przeciwne projektowi Rady. Jej prezes wręcz dowodzi, że poprzednia Matka Przełożona brała czynny udział we wstępnych fazach opracowywania projektu. Obecna Siostra Przełożona, Henryka Biernacka, twierdzi, że siostry nigdy nie akceptowały projektu, a poza tym na początku mówiono o czteropiętrowych budynkach. Mówi też, że nie jest prawdą jakoby Siostry ktokolwiek nastraszył. Stowarzyszenie Przyjaciół istnieje po to, by bronić Zakładu. Jak nie będzie takiej potrzeby samo się rozwiąże. Stowarzyszenie Przyjaciół ma osobowość prawną i wniosło do sądu sprawę „przeciw projektowi". Uzasadniając, że dano Radzie prawo do burzenia i budowy co nie powinno mieć miejsca, ze względu na szczególny charakter tego miejsca, należącego do polskiej historii. Na razie więc projekt jest zablokowany. A po dwóch latach zezwolenie, wydane przez władze traci swą moc prawną.

Siostry prowadzące Zakład widzą w tym iskierkę nadziei. Nie wyobrażają sobie, by mogły prowadzić Dzieło św. Kazimierza wciśnięte pomiędzy biurowiec i budynek mieszkalny, z ogrodem podzielonym na trzy części, pozbawionym intymności i tej swojskiej atmosfery. Tym bardziej, że biurowiec najprawdopodobniej nie byłby biurowcem, a budynkiem mieszkalnym. — Kto wynajmie biura — pyta Matka Przełożona — cała Chevaleret wypełniona jest biurowcami, których nikt nie wynajmuje.

Faktycznie w Paryżu świeci pustkami pięć milionów m.kw. biur do wynajęcia. Rada Administracyjna twierdzi, że miała konkretnego kontrahenta Société Ipsos, które z biurowca na terenie posiadłości Zakładu chciało zrobić swoją główną siedzibę i rozpocząć budowę zaraz po otrzymaniu przez Radę zezwolenia. Skoro okazało się to niemożliwe Ipsos wycofało się, przynaglone własnymi terminami.

W grudniu 1993 roku Rada Administracyjna skierowała do Siostry Wizytatorki Warszawskiej Prowincji Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, Łucji Kwietniewskiej, bezpośredniej przełożonej Szarytek z Zakładu św. Kazimierza — list, w którym czytamy: „podkreślamy również, że tak jak zawsze było powiedziane żadna decyzja dotycząca przebudowy Domu św. Kazimierza nie zostanie powzięta bez zgody sióstr. W tym celu będziemy szukali rozwiązania problemu, które zarówno zapewni przyszłość Zakładu i zadowoli siostry". Podpisy złożyli prezes Jerzy Baranowski i trzech członków Rady: Jadwiga Morawska, Andrzej Orłowski i Władysław Tarnowski.

— Dlaczego więc chcą się procesować? — pyta Matka Przełożona — skoro piszą, że nie zrobią niczego czego siostry nie chcą. A my nie chcemy realizacji tego projektu.

Już wydano ponad milion dwieście tysięcy franków na opracowanie projektu, który siostry odrzucają, albowiem chcą, by odnawiano i restaurowano stare budynki i nie odstępowano kawałka posiadłości. Budynek główny jest stale odnawiany — wyjaśnia siostra — a w przyszłości jak będą pieniądze można go unowocześnić. Natomiast sprawą pilną jest odnowa pawilonu pań lub budowa nowego budynku. Na razie siostry nie mogą nic zrobić, bo Rada nie dała im na piśmie oświadczenia, że odstępuje od burzenia całości i utraty części terenu. Siostra wierzy, że można wszystko zrobić. Tyle że Rada zajmuje się od czterech lat projektem burzenia. Zasięgała siostra opinii innych architektów (ludzi dobrej woli) i w ich opinii budynek główny i kaplica są solidne, zbudowane z czystej czerwonej cegły. Mury są grube i trzeba tylko wnętrza dostosować do współczesnych wymogów. Jeśli chodzi o pawilon pań, ci sami architekci odkuli tynk i stwierdzili, że cegła jest „zdrowa". Czy można go zmodernizować, czy trzeba wybudować nowy? Na to pytanie nie ma jeszcze odpowiedzi architektów, współpracujących z siostrami.

Skąd na to pieniądze? Według wyliczeń Rady na sam remont głównego budynku (tego na którym w 1983 roku wmurowano tablicę, upamiętniającą pobyt w nim Wielkiego Poety) i kaplicy trzeba około 20 milionów franków. Inny, niezależnie przygotowywany kosztorys, opiewa na 17 milionów 200 tys. franków. Jak widać jest tutaj pewna zbieżność sum. Zakład św. Kazimierza dysponuje sześcioma milionami.

— Jeżeli Stowarzyszenie Przyjaciół wmawia Siostrom i Polonii — ocenia pan Baranowski — że to wystarczy, to jest to absurdalne i kłamliwe. I skończy się to bardzo źle dla Zakładu.

Matka Przełożona jest przekonana, że wszystko to, włącznie z przebudową pawilonu pań można zrobić o wiele, wiele taniej. Po prostu mogą to robić Polacy, zatrudnieni na legalne kontrakty, w porozumieniu z Konsulatem RP. Konsul Tomasz

Gos całkowicie popiera Siostry. Nie burzyć, nie odstępować i nie robić niczego wbrew ich woli. Jest to bowiem Dzieło, które prowadzą od początku i które dzięki nim trwa. Konsul pomoże w załatwianiu ewentualnych formalności, tym bardziej, że istnieją porozumienia francusko-polskie, w sprawie zatrudniania na kontrakty polskich pracowników.

Oczywiście można w tym kontekście rozważyć i wątek prawny: do kogo należą budynki. Do ubogich, potrzebujących pomocy i do sióstr będących u zarania Dzieła — odpowiadają niemal wszyscy. To dla sióstr przeznaczone są spadki, legaty, meble i inne dary. Nie pobierają one żadnych pensji, bo pracują u siebie. Ale z punktu widzenia statutu osobowość prawną ma Rada Administracyjna, chociaż właścicielem Domu nie jest. Dom został zakupiony dla sióstr.

I na koniec — czynnik ludzki. Co działoby się przez dwa lata, czasu burzenia i budowy, z pensjonariuszkami, dziećmi i siostrami?

Pan Baranowski mówi, że zarówno staruszki, jak i siostry zamieszkałyby na ten czas w domu Fondation Humanitaire Polonaise, w Lailly-en-Val. Dzieci zaś po sprawdzeniu sytuacji rodzin mogłyby na ten czas do rodzin powrócić. Rada pomagałaby im indywidualnie. Jeżeli to okazałoby się niemożliwe, można je umieścić w innych charytatywnych instytucjach francuskich.

Matka Przełożona nie bardzo jest przekonana o prawdziwości tych zamysłów. Przede wszystkim siostry nie otrzymały żadnych gwarancji, że wróciłyby do nowego domu przyklejonego do wieżowców. Starsze panie, z których najstarsza liczy sobie 103 lata, nie chcą się przenosić. Tutaj mają swoje meble, swoje bibeloty i, co podkreślają, „są u siebie". I boją się, że mogą tutaj już nie wrócić.

Nie zaproponuję okrągłego stołu, bo gdyby takowy miał być stałoby się to dawno, zanim nagromadziło się tyle nieporozumień i niezrozumień. Rada czuje się niedoceniona, siostry i ich podopieczne zagrożone. Jak to rozwiązać?

Maria de HERNANDEZ-PALUCH

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Każdy człowiek pamięta daty, które zaważyły na jego dalszym życiu i stanowią jakby znaki drogowe w jego biografii. Jedną z takich dat obchodzę dzisiaj: równo dwadzieścia pięć lat temu napisałem dla *Kultury* pierwszy przegląd prasy sowieckiej, którego tytuł okoliczności pozwoliły niedawno zmienić na „Notatki rosyjskie". Minęło od tego czasu ćwierć wieku: w kwietniu 1969 roku Leonid Breżniew cieszył się doskonałym zdrowiem, jego rządy, zaczęte niecałe pięć lat wcześniej, miały potrwać jeszcze ponad dziesięć lat. Dziś na Kremlu zasiada Borys Jelcyn i czuje się niepewnie.

Wiele się zmieniło i wiele zostało po staremu. Dwoisty charakter Wspólnoty, która zastąpiła Związek Sowiecki, najlepiej oddają symbole. Zmieniło się godło państwowe: Federacja Rosyjska używa dwugłowego orła, którego Zofia Paleolog, krewniaczka cesarza bizantyjskiego, przywiozła do Moskwy w XV wieku w podarunku ślubnym dla Wielkiego Księcia Iwana III. Natomiast nad kremlowskimi kopułami nadal błyszczą czerwone gwiazdy, umieszczone tam z rozkazu Stalina. Drugiej stolicy Rosji przywrócono pierwotną nazwę Sankt Petersburg, ale miasto nadal znajduje się w obwodzie leningradzkim.

Główna zmiana polega na tym, że partia komunistyczna straciła władzę. Komuniści jednak zostali i po krótkim okresie zupełnego oszołomienia zaczęli dawać o sobie znać, choć na razie nie mają jeszcze jasnego programu ani wodza. Rosja stoi na rozstajach i nie wie, którą drogę wybrać. W bajkach rosyjskich często występuje bohater, który na spienionym rumaku podjeżdża na rozstaje dróg i widzi napis: pojedziesz prosto — stracisz głowę; pojedziesz w lewo — znajdziesz

żonę; pojedziesz w prawo — bogaczem będziesz. Pluralizm wyjść, jak by dziś powiedziano. Dzisiejsza Rosja też ma wiele wyjść: pójdzie w prawo — zajdzie do gospodarki rynkowej i demokracji. Pójdzie w lewo... I tak dalej.

Możliwość wyboru wprowadza kraj w stan gorączki. Kierownictwo polityczne rozdzierają sprzeczności i walki personalne. Wzmaga to niepokój i nieufność narodu. Przeżarta konfliktami jest przede wszystkim władza centralna w Moskwie. Symptomem chorobliwej atmosfery było oczekiwanie kolejnego puczu, ledwie tylko Borys Jelcyn wyjechał na urlop na Krym. Pogłoski o nadchodzącym puczu krążą po Moskwie — od czasów Gorbaczowa — ilekroć prezydent opuszcza stolicę. Tym razem pogłoska została wydrukowana: 18 marca *Obszczaja gazieta* i *Komsomolskaja prawda* ogłosiły „Wersję Nr 1" — analizę planu przejęcia władzy przez grupę wysokich działaczy państwowych, pierwszego wicepremiera, szefa sztabu generalnego i tak dalej. Nie warto wdawać się w szczegóły tego planu, bo tydzień później *Obszczaja gazieta* opublikowała przeprosiny: redaktor naczelny Jegor Jakowlew, w swoim czasie redaktor *Moskowskich nowostiej*, głównego organu *pieriestrojki*, i najbliższy doradca Gorbaczowa, przyznał, że „Wersję Nr 1" sporządził członek redakcji, Gleb Pawłowski. Co kierowało autorem tego fałszerstwa, nie wiadomo. Dziennikarze rosyjscy zaproponowali wiele sprzecznych wyjaśnień, ale sam fakt, że niemal wszyscy uwierzyli w nadchodzący pucz, świadczy o nastrojach w Moskwie.

W stolicy weszło w modę nowe wyrażenie. Niedawno premier Czernomyrdin oświadczył, że dość już romantyki rynkowej. Na początku kwietnia rzecznik prasowy Jelcyna, Wiaczesław Kostikow, też ogłosił koniec romantyzmu w posttotalitarnej dyplomacji.

Te pożegnania z romantyzmem wskazują, że dokonano wyboru. Dla Wiktora Czernomyrdina „romantyzm" to program szybkiego przejścia do gospodarki rynkowej, decentralizacja i brak kontroli państwowej nad życiem gospodarczym. Dla Wiaczesława Kostikowa „romantyzm" to marzenia o wspólnej rosyjsko-amerykańskiej polityce europejskiej, która ignorowałaby — że użyję wyrażenia rzecznika — „interesy narodowe".

Rosja wybrała „narodową" politykę zagraniczną. Koniec (chwilowo?) z planetarnymi ambicjami Związku Sowieckiego. Dzisiejsze strategiczne cele Rosji polegają na tym, by zapewnić sobie hegemonię w swojej strefie wpływów. Nie ogłoszono jeszcze publicznie rosyjskiej „doktryny Monroe", ale

chyba tylko dlatego, że nie było okazji. Na rosyjską strefę wpływów składają się dwa rejony: „bliska zagranica", czyli dawne republiki sowieckie, i „dalsza zagranica" (ten termin jeszcze nie wszedł w użycie, ale jest rozważany), czyli byłe europejskie kraje satelitarne. W „bliskiej zagranicy" zadanie polega na tym, aby — po pierwsze — wskrzesić na dawnych terenach ZSSR porwane więzi gospodarcze, wojskowe i inne, a — po drugie — uzyskać zgodę NATO na fakt, że teren ten jest rosyjską strefą wpływów. W „dalszej zagranicy" zadanie ma charakter obronny: Rosja wszelkimi siłami sprzeciwia się zbliżeniu byłych krajów socjalistycznych z NATO. Zadanie to realizuje wyłącznie za pośrednictwem NATO, ignorując całkowicie byłych satelitów, co przychodzi jej tym łatwiej, że ignoruje ich całkowicie Zachód.

Także rosyjscy wyborcy wypowiedzieli się podczas marcowych wyborów do lokalnych samorządów przeciw „romantyzmowi". Wybory właściwie się nie odbyły z braku wyborców. To oznacza, że „romantyka demokracji", czyli nadzieje, iż w wolnych wyborach do władzy dojdą najlepsi z wielu kandydatów, nie zachęciły wyborców, którzy widzą, że wolne życie nie staje się automatycznie łatwiejsze.

Bojkot wyborów jest faktem niezwykle ważnym. Jest to mianowicie także wybór: nie głosując, wyborcy zamanifestowali, że nie wierzą w możliwość poważnych zmian. Najprzenikliwsi dziennikarze rosyjscy tłumaczą bojkot wyborów tym, że władza terenowa wciąż znajduje się w rękach machiny administracyjno-gospodarczej zwanej „partią naczelników". W artykule pod takim tytułem, wydrukowanym w *Izwiestiach* 12 marca 1994, W. Ryżutowicz obliczył, że w dwóch miastach — Lipiecku i Jolce — i osiemnastu okolicznych rejonach władzę wykonawczą sprawuje 3.498 ludzi. Od tych ludzi zależy bez reszty „aktyw", to znaczy dyrektorzy fabryk, przewodniczący kołchozów, transportu, komunikacji i szkół, naczelni lekarze szpitali itd. Naprzeciw tej potężnej armii „naczalstwa" stoi 178 członków Demokratycznej Partii Rosji, 180 członków Partii Chłopskiej i 16 członków Demokratycznej Rosji. W. Ryżutowicz porównując te liczby stwierdza: oto tak naprawdę wygląda wielopartyjność na rosyjskiej prowincji.

Lew Timofiejew, dziennikarz *Russkoj mysli* mieszkający w Moskwie, zgadza się, że władzę terenową sprawuje „partia naczelników" i kończy analizę wyborów smutnym stwierdzeniem: „Wyborcy nie są idiotami! Na jaką władzę, na jaki samorząd mają głosować, kiedy widzą gołym okiem, że o rzeczywistej władzy, rzeczywistej kontroli nad organami samorządowymi decydują nie wyborcy, lecz ukryte przed społeczeństwem wewnątrzpartyjne i wewnątrzkorporacyjne decyzje. A na te decyzje żaden wyborca nie ma wpływu".

W dawnych ciężkich czasach każdej zmianie kursu, zmierzającej do polepszenia i przyspieszenia budowy socjalizmu, towarzyszyła zmiana nazwy głównego urzędu w państwie — policji politycznej. WCzK zamieniła się w GPU, GPU w NKWD, a NKWD w pamiętne jeszcze wszystkim KGB. Nowa Rosja zachowała przez jakiś czas tę zasłużoną nazwę, a także starą kadrę policji. Dziś wreszcie nazwa się zmieniła. Kadra natomiast została. Całkiem niedawno komisja weryfikacyjna sprawdzała kierownictwo następczyni KGB. 227 pracowników uznała za godnych dalszej pracy, w tym 35 nowo mianowanych generałów. Zwolniono — z racji wieku — 13 osób. Ogromną większość stanowią więc doświadczeni zawodowcy tarczy i miecza. Średnia wieku wynosi 47 lat.

Federalnym kontrwywiadem Federacji Rosyjskiej (FSKRF) — tak brzmi nowa nazwa policji politycznej — kieruje Siergiej Stiepaszyn, lat 42, do niedawna zastępca byłego szefa KGB Mikołaja Gołuszko, starego kagebisty, zasłużonego w walce z ukraińskimi dysydentami. Borys Jelcyn skorzystał z dwuznacznej postawy Gołuszki podczas październikowych zamieszek w Moskwie, by mianować na jego miejsce Stiepaszyna. W odróżnieniu od KGB FSKRF działa — prawie — otwarcie. W każdym razie 30 marca 1994 *Rossijskaja gazieta* opublikowała uchwałę o federalnym kontrwywiadzie Rosji, zatwierdzoną 5 stycznia bieżącego roku.

Sens tej uchwały można streścić w dwóch słowach: umarł KGB, niech żyje KGB! Już pierwszy punkt uchwały nazywa rzeczy po imieniu: „FSKRF jest centralnym organem federalnej władzy państwowej..." Wszystkie organy są równe, ale kontrwywiad jest centralny, powiedziałby Orwell. Z punktu drugiego dowiadujemy się, że FSK Rosji kierować się będzie konstytucją, ustawami i „innymi aktami normatywnymi". Jakimi, uchwała nie zdradza. Wśród licznych punktów uchwały najważniejszy wydaje mi się punkt trzeci: „FSK Rosji bezpośrednio podlega prezydentowi Federacji Rosyjskiej".

Tak było zawsze. „Organy" zawsze znajdowały się w rękach Wodza, ale nazywało się, że rządzi nimi partia. Dziś partii nie ma i potężną bronią, jaką jest kontrwywiad, włada bezpośrednio i niepodzielnie prezydent. To znaczy, że wszystko zależy od jego dobrej woli i od tego, jakim jest człowiekiem: dobrym czy złym, przyzwoitym czy nie. Oficjal-

nie „centralny organ" zatrudnia 75 tysięcy osób. 29 marca — w przeddzień ogłoszenia uchwały — telewizja rosyjska podała wiadomość, że Borys Jelcyn spotkał się z Siergiejem Stiepaszynem i w czasie rozmowy podkreślił, że Rosji niezbędne są silne i fachowe służby specjalne.

Onkolodzy wiedzą, że guz rakowy w pewnym momencie zaczyna się dzielić i tworzyć przerzuty w całym organizmie. Odnoszę wrażenie, że coś podobnego wydarzyło się z KGB. Komitet został podzielony, rozdrobniony i przemianowany — aż nagle okazało się, że są przerzuty. Dziennikarze rosyjscy piszą od niedawna o Federalnej Agencji Łączności i Informacji Rządowej, w skrócie FAPSI. Pod tą przymilną nazwą kryje się odprysk KGB, wyspecjalizowany w podsłuchach, cenzurze listów, kryptografii i podobnych sztuczkach. O ile istnieje jakaś uchwała na temat FAPSI, to nie została ona ogłoszona, choć Agencja wydaje się akurat tą częścią KGB, która zajmuje się wywiadem politycznym. Warto zwrócić uwagę na słowa „łączność" i „informacja". FAPSI, podejrzewają nie bez podstaw obywatele Rosji, zajmuje się nie tylko łącznością między rozmaitymi organami władzy państwowej, ale kontroluje też przepływ informacji. Możliwe, że ją nawet sporządza. Zbyteczne dodawać, że na czele FAPSI stoi od czasów Gorbaczowa generał KGB, Aleksander Starowojtow.

Kiedy nieco ponad rok temu pojechałem po raz pierwszy do Moskwy, ze zdziwieniem zobaczyłem, że na cokole, na którym do niedawna stał Feliks Zygmuntowicz Dzierżyński, stoi krzyż. Krzyż wznosił się naprzeciw głównego gmachu KGB, kagebiści mogli nań spoglądać przez okno. To właśnie mnie zdziwiło: czyżby im krzyż nie przeszkadzał? Kiedy wróciłem do Moskwy kilka miesięcy później, krzyża na byłym placu Dzierżyńskiego już nie było. Z okien KGB rozpościerał się niczym nie zmącony widok na Moskwę.

11.4.1994

Adam KRUCZEK

Kronika kulturalna

Pochwała filologii

Przez wiele lat twórczość naukowa, eseistyczna i literacka Marii Danilewicz Zielińskiej była w Polsce praktycznie nieznana. Felietony i recenzje Autorki docierały co prawda do Polski dzięki Radiu Wolna Europa, a większe artykuły pojawiały się w *Wiadomościach* i w *Kulturze*, ale ich odbiorcą był niewielki krąg czytelników mających dostęp do publikacji emigracyjnych. W jeszcze mniejszym, bo ściśle specjalistycznym kręgu, funkcjonowały trzy tomy „Bibliografii *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*. Ale najmniej znane były chyba w Polsce studia historycznoliterackie Marii Danilewiczowej — przez lata nie wznawiane, choć przywoływane w przypisach niskonakładowych prac polonistycznych. Niewielu czytelników znało *Pierścień z Herkulanum i płaszcz pokutnicy* (Londyn, 1960) oraz przedwojenne prace autorki: pionierską rozprawę o Tymonie Zaborowskim (1933), edycję jego utworów (1936) oraz studium o *Życiu naukowym dawnego Liceum Krzemienieckiego* (1937).

Natomiast najbardziej znaną publikacją Danilewiczowej były niewątpliwie *Szkice o literaturze emigracyjnej* (1978) będące lekturą obowiązkową polonistów i do dzisiaj ...jedyną tego rodzaju syntetyczną panoramą piśmiennictwa emigracyjnego.

Wymieniając te publikacje, wymieniłem przede wszystkim bardzo różne pisarskie zatrudnienia Marii Danilewiczowej, a więc dorobek krytyka literackiego, bibliografa, edytora, historyka literatury, eseisty, recenzenta, a do tego trzeba jeszcze dodać prace biograficzne (w *Polskim Słowniku Biograficznym*), dokumentacyjno-bibliotekoznawcze, redakcyjne (*Teki Historyczne, Antemurale, Materiały do Biografii, Genealogii i He-*

raldyki Polskiej) oraz — *last not least* — utwory literackie: wspomnienia, tom opowiadań *Blisko i daleko* (1953) oraz powieść *Dom* (1956).

Twórczość Danilewiczowej stała się w Polsce lepiej znana — podobnie jak w wypadku innych pisarzy emigracyjnych — dopiero w latach osiemdziesiątych. Wtedy właśnie ukazały się m.in. przedruki *Szkiców o literaturze emigracyjnej* oraz opracowanie syntetyczne *Literatura wolnego słowa 1939-1986* wydane przez wydawnictwo KOS w serii Zeszyty Edukacji Narodowej (1987, b.m.w.). Niemal równocześnie PWN zamieścił notę o Marii Danilewicz Zielińskiej w pierwszym wydaniu *Przewodnika Encyklopedycznego: Literatura Polska* — ale dopiero w... *Suplemencie*. Po roku 1989 dydaktyczne i faktograficzne zalety pisarstwa Danilewiczowej zostały szybko docenione przez Ossolineum — w roku 1992 ukazało się pierwsze oficjalne wydanie *Szkiców o literaturze emigracyjnej* doprowadzonych do roku 1985. Wcześniej jednak — bo w roku 1989 i 1993 r. — ukazały się dwa specjalistyczne i opasłe tomy Mickiewiczianów pochodzących ze zbiorów Tomasza Niewodniczańskiego, znanego kolekcjonera poloników z Bitburga. Oba powstały przy udziale Marii Danilewicz Zielińskiej. Tom drugi już przeszedł do historii nie wykrytych kradzieży w III Rzeczpospolitej. Został bowiem oparty na przedruku utworów z tzw. Albumu Moszyńskiego, który wraz z samochodem, gdzie spoczywał w bagażniku, został skradziony właścicielowi przebywającemu chwilowo w Warszawie. Całą historię opisała niedawno *Gazeta Wyborcza*. W ten sposób ponad milion czytelników dowiedział się o istnieniu książki, która na rynek księgarski trafiła w bibliofilskim nakładzie ok. 100 egzemplarzy. Oryginał Albumu Moszyńskiego przepadł — Maria Danilewicz Zielińska zdążyła mu jednak poświęcić jedno ze swoich studiów.

W tym samym czasie, w roku 1992, w Bibliotece *Więzi* ukazały się *Próby przywołań. Szkice literackie** Marii Danilewicz Zielińskiej — w wyborze i ze wstępem Marka Zielińskiego. Szkice literackie należy tu rozumieć dwoiście, przede wszystkim tematycznie — jako szkice o literaturze, ale także gatunkowo — jako szkice pisane ze zmysłem i z zamysłem literackim. Ostatni, dziewiąty dział książki składa się wyłącznie z trzech takich esejów literackich.

* Maria Danilewicz Zielińska. *Próby przywołań. Szkice literackie.* Wybór, opracowanie i przedmowa Marek Zieliński. Biblioteka „Więzi", tom 74, Warszawa 1992, s. 430.

Wydawca podzielił książkę na dziewięć działów, które zostały wypełnione przede wszystkim esejami historycznoliterackimi — część z nich ukazała się wcześniej w tomie *Pierścień z Herkulanum...* Oprócz trzech wymienionych na książkę składa się osiemnaście szkiców, z których czternaście to studia poświęcone biografistyce i piśmiennictwu XIX wieku, a cztery (o Wacławie Berencie, Józefie Conradzie i Bronisławie Malinowskim) dotyczą postaci wieku XX. Spośród pierwszych — osiem dotyczy Mickiewicza, a pozostałe poświęcone są takim tematom, jak działalność Tadeusza Grabianki, historia Liceum Krzemienieckiego (1805-1832), wolnomularstwo polskie w Anglii, przyjaźń Zygmunta Krasińskiego i Henry'ego Reeve'a.

W doborze tematów i w sposobie ich prezentacji przez Marię Danilewiczową odkryć można inspiracje i warsztat historycznoliteracki mistrzów przedwojennej filologii: profesorów Józefa Ujejskiego i Stanisława Pigonia, którym *nota bene*, cała książka jest dedykowana.

Historycznoliterackim pisarstwem Danilewicz Zielińskiej rządzą cztery cechy: perspektywa biograficzna nakazująca widzenie problematyki historycznej w powiązaniu z działalnością konkretnego pisarza (autora), perspektywa historii kultury, w której literatura jest tylko częścią piśmiennictwa, a piśmiennictwo częścią dziejów kultury narodowej oraz perspektywa, którą — z braku lepszego określenia — nazwałbym perspektywą dokumentacyjną. Maria Danilewicz Zielińska jest bowiem — jako historyk i filolog — rozkochana w historycznoliterackich szczegółach. Znakomity warsztat bibliograficzny, znajomość źródeł, umiejętność dotarcia do publikacji unikatowych, erudycyjna znajomość spraw na pozór od siebie odległych a przede wszystkim pasja splatania różnorodnych nici biograficznych i piśmienniczych w jedną tkaninę — to podstawowa siła jej pisarstwa naukowego. Jeśli te trzy cechy pisarstwa Danilewiczowej wiążą się najściślej z warsztatem filologa, to czwarta bliższa jest namiętnościom pisarza i krytyka. Autorka bowiem nie poprzestaje na — by tak rzec — biograficzno-dokumentacyjnym przedstawieniu swoich bohaterek i bohaterów. W gąszczu historycznych detali pasjonują ją wewnętrzne dramaty ludzi i idei. Danilewiczowa ma pióro oszczędne, rumaka stylu trzyma mocno na krótkiej uździe, ale pod pozornie oschłą opowieścią historyka i kronikarza kłębią się namiętności i zagadki wieków. Danilewiczowa nawet jako historyk i dokumentalista nie przestaje być bowiem pisarką: jej szkice w każdym momencie są również

opowieściami o losach ludzi, książek, tematów i idei. Zdumiewające jak książka Danilewiczowej — w której pierwszy i ostatni szkic oddziela upływ półwiecza (sic) — jest spójna. Jej styl, jednorodność tematyczna czy metodologiczna, sprawiają wrażenie jakby wszystkie te szkice powstały w ciągu lat niewielu.

Jeśli warsztat filologiczny Danilewiczowej jest żywą i znakomitą pamiątką lekcji pobranych od przedwojennych mistrzów, to tematyki szkiców w *Próbach przywołań* nie da się wytłumaczyć tylko intelektualnymi inspiracjami profesorów Ujejskiego i Pigonia. Oczywiście, nie byłoby świetnego szkicu Danilewiczowej o Tadeuszu Grabiance i Liceum Krzemienieckim gdyby nie *Król Nowego Izraela* (1924) i wykłady Ujejskiego o wieku XIX, czy studiów nad biografią Mickiewicza, gdyby nie nowoczesna biografistyka i filologia Pigonia, ale czynnikiem, który miał wpływ na zainteresowania autorki były także jej własne losy. Przed wojną choćby znajomość z Wacławem Berentem, a po roku 1939 — doświadczenie emigracji. Rzecz o profesorskich latach Mickiewicza w Lozannie powstała w 1943 r., wspomnienie o Gabrielu Korbucie w 1944 r., o Wacławie Berencie — w 1945. Późniejsze szkice i studia Danilewiczowej — ostatnie pochodzą z lat osiemdziesiątych — są bardzo bliskie tym pierwszym nie tylko solidnością warsztatową i identyczną perspektywą badawczą, ale przede wszystkim specyficzną dla autorki powściągliwą emocjonalnością. Danilewiczowa rekonstruując polską i rosyjską przeszłość XIX w. stale bowiem pamięta, że ma do czynienia nie tylko z naturalnym upływem czasu, ale także z historyczną ruiną, tragedią, Atlantydą — z zapadnięciem się całej formacji cywilizacyjnej. Stąd być może nostalgiczna dyskrecja tytułu: „przywołania" — ale jednak tylko w postaci prób. I jako pisarka, i jako historyk Maria Danilewicz wie bowiem doskonale, że każdy kto pisze o przeszłości musi się zmierzyć ze zdaniem Mickiewicza: „Jedźmy, nikt nie woła".

Włodzimierz BOLECKI

Okratowane sonety

POEZJA IWANA SWITŁYCZNEGO

Odejście w październiku 1992 roku wybitnego krytyka i poety Iwana Switłycznego było wydarzeniem, które u progu wciąż niepewnej ukraińskiej niepodległości nabrało także znaczenia symbolicznego. Zamknęło trwającą ponad ćwierć wieku tragiczną epopeję ukraińskich intelektualistów, więźniów GUŁag-u, z pokolenia „szestydesiatnykiw", którzy właśnie w początkach lat sześćdziesiątych zaczęli się sprzeciwiać sowieckiemu systemowi i zapłacili za to bardzo wysoką cenę. Dziś są smutną legendą literatury ukraińskiej, nie do końca jednak znaną nawet przez jej społeczeństwo.

Aresztowanie Switłycznego w styczniu 1972 roku za antysowiecką agitację i wyrok siedmiu lat obozu pracy o zaostrzonym rygorze oraz pięciu lat zesłania przerwały jego świetnie zapowiadającą się karierę na polu krytyki i literatury. Po latach Switłyczny wyszedł z obozu sparaliżowany na skutek nieudanej operacji mózgu w 1981 r. W latach 60 i 70 wraz z dwoma innymi wybitnymi krytykami i poetami „pokolenia 60"[1] — Iwanem Dziubą i Jewhenem Swerstiukiem — Switłyczny organizował niewielki, niezależny obieg wydawniczy, „samwydaw". Wśród pojawiających się wówczas, niezależnie kolportowanych rękopisów, były filozoficzne artykuły Swerstiuka, socjologizujące teksty Dziuby, estetyczne refleksje Switłycznego, wiersze Wasyla Stusa. Młodzi ukraińscy artyści z „pokolenia 60" siłą rzeczy stawali się rzecznikami swojego społeczeństwa, a także jego krytykami. Dlaczego oni? Może dlatego, że posiadali głębsze poczucie odpowiedzialności i siły, jaką daje człowiekowi twórczość we własnym języku, że byli po prostu wrażliwsi na nędzę swojego i ukraińskiego życia, a może i dlatego, że byli po prostu bardzo młodzi i dlatego pozbawieni paraliżującego starsze pokolenie strachu.

Pierwszą własną książkę na Ukrainie wydał dopiero pod koniec życia, w roku 1991. Był to zbiór wierszy i artykułów pt. „Serce dla kul i dla rym" obejmujący większość jego dokonań krytycznoliterackich i poetyckich z lat 60 i 70. Ten zbiór pokazuje, iż znaczenie Switłycznego w kulturze ukraińskiej można

1. B. Lewycky, *Polityka i społeczeństwo na Ukrainie Sowieckiej 1953-1980*, Wyd. CDN, Warszawa 1988, s. 91-93.

mierzyć nie tylko wielkością intelektualnych dokonań, ale również jego osobistym wpływem na wielu ludzi literatury i sztuki. Byli wśród nich tak znani twórcy i politycy jak: W. Stus, M. Horyń, M. Horbal, J. Swerstiuk, I. Hel, J. Badzio, I. Dracz, M. Kociubińska, małżeństwo Kałyńciów, E. Proniuk, I. Dziuba, W. Czornowił, Ł. Taniuk i inni[2].

Switłyczny reprezentował rzadki wśród swojego pokolenia typ nieromantyczny[3]. Skłaniał się do pragmatyzmu i z rozmysłem uprawianego tradycjonalizmu, a nade wszystko domagał się pracy nad podstawami kultury. Taki sens miała jego decyzja opracowania słownika synonimów ukraińskich, jakże ważnego dla każdego pisarza, krytyka, badacza języka. Napisany w więzieniu zbiór wierszy *Hratowani sonety*, wydany przez emigracyjną oficynę w 1977 roku[4], stał się głosem niezależnej poezji ukraińskiej, łagrowej, niemal równie znaczącym jak pierwsze książki uwięzionego Wasyla Stusa. Komentator liryki Switłycznego Leonid Pluszcz pisze, iż „... większa część 'Okratowanych sonetów' jest poetycką refleksją Switłycznego filologa i krytyka nad tajemnicami poetyckiej twórczości, nad współdziałaniem między sensem a formą, nad psychologią twórczości i grafomanii, źródłami geniuszu i nieumiejętności. [...] Więzienne sonety są przesiąknięte cytatami fraz, słów, obrazów, rytmu, zestawieniami cytatów i parodii poetów, po to by określić swoją własną myśl"[5].

Rzeczowy a przy tym ironiczny styl poezji Switłycznego — to rzadkość w skonwencjonalizowanej liryce ukraińskiej. Poeta chciał być po trosze bluźniercą, naruszać kanony klasycyzującego estetyzmu. Do jego wierszy wkroczyły więc wyrażenia codzienne, żargon, ironicznie cytowana mowa gazet. W łagrze stał się badaczem alienacji języka. To co jest tak zajmujące w jego twórczości bierze się z połączenia dwóch tradycji: klasycystycznej tradycji pisania w rygorach gatunkowych i odwoływania się do wzorów z przeszłości oraz nurtu nowoczesnej poetyckiej refleksji obywatelskiej, bazującej na analizie języka ideologii. Tradycjonalista wobec konwencji, był zarazem Switłyczny buntownikiem i „awangardzistą" burzącym gmach serwilistycznego spokoju zbudowany w ukraińskiej kulturze. Był antypoetycki w sonetach, tak jak był antysowiecki w swoich marzeniach o sprawiedliwym

2. I. Dziuba, Wstęp [w:] „Ivan Switłycznyj, Serce dla kul i dla rym. Poezji. Poetyczni perekłady. Literaturno-krytyczni statti". Kyjiw 1990, s. 4.

3. L. Pluszcz, „I wse ż ja — wypadok. Sam po sobi". *Ukrajinśke Słowo*" 1992, nr 2639, s. 6. Zob. też dalsze części artykułu w: *Ukrajinśke Słowo* 1992, nr 2640, 2641.

4. I Switłyczny, „Hratowani sonety", *Suczasnist'*, New York 1977.

5. L. Pluszcz, „I wse ż ja — wypadok", *Ukrajinśke Słowo* 1992, nr 2640, s. 5.

ustroju politycznym. Na swój sposób były jego wiersze bliskie polskiej Nowej Fali i mniej więcej w tych samych latach powstające. Switłyczny, reagując na kłamstwo, polityczne zdziczenie, hipokryzję, tworzył własny model poezji obywatelskiej.

„Hratowani sonety" są poetycką autobiografią Switłycznego z lat uwięzienia. Poeta dyskutuje w nich z życiem sowietyzowanej Ukrainy, z jej upokorzeniem, z „janczarami", jak ich nazywa, Moskwy. Sam ironicznie pisze o sobie w wierszu „Wypadkowyj sonet":

Ja — wypadok. Ja iz zakonu wypaw
I wypaw u wyniatkowist', jak u son.
Ale nie liubyt' wyniatkiw zakon.
Chocza — chiba ce wybryk? wykłyk? wypad?

Poeta jako „wypadek" z litery sowieckiego prawa, z reguł życia; „wypadł w wyjątkowość", która jest jak koszmarny sen, bo prawo nie kocha wyjątków, zwłaszcza sowieckie. Nic tu nie znaczy sztuka, abstrakcją są prawa człowieka. Switłyczny nie pragnie zemsty. Wybacza pisząc w jednym ze swoich wierszy: *Umij suddiu swoho żality* [Umiej pożałować sędziego swojego]. Switłyczny wybiera ateistyczną, ale nie wyzbytą przez to chrześcijańskiej miłości, drogę pojednania z drugim człowiekiem. Odrzuca nienawiść, ale nie wyraża zgody na poniżenie, uwięzienie, torturę świadomości. Trudno zatem mówić, że jest poetą franciszkańskiej pokory i zgody na świat. Mierzy się nie z ludźmi, lecz z systemem. Nie ma w jego poezji romantycznego indywidualizmu Stusa, patosu Rudenki, lirycznych eksperymentów Dracza — jest wręcz zegarmistrzowska groteska oraz ironiczna fraza oskarżająca niekiedy Boga, jak w wierszu „Sonet wdjacznosty": *I sława Bohu, szczo spodobiw / Mene dla hartu i dla proby / Na zhyn, na sprotyw i na złam.*

Switłyczny rzadko odwołuje się do tradycji rodzimych, do historii kozackich, do dramatów narodu w wersji czytankowej, tak częstych w ukraińskiej poezji pozostającej pod nadzorem cenzury. Jest poetą mówiącym wprost o najtragiczniejszych doświadczeniach człowieka XX wieku — o systemie ludobójstwa, o zabijaniu duszy i języka. Jeśli jednak odwołuje się do historii czyni to prawie zawsze w intencji rozrachunkowej. Kłamstwu i ograniczeniu przeciwstawia topos kozackiej swobody i szczerości, unikając jednocześnie idyllicznego patosu.

Sytuacji ograniczenia (lub samoograniczenia) egzystencji, wyraźnie rysowanej w większości wierszy Switłycznego, towarzyszy wielekroć analizowana sytuacja osobliwej niemoty: milczenia z przymusu, ze strachu lub, odwrotnie, nadmiaru mowy, która nic nie wyraża.

Kijów mówiący po rosyjsku był dla Switłycznego obcy. Moskwie — pisał — potrzebny jest tylko Kijów niemy, pozbawiony ojczystej mowy i pełne ukraińskiego języka Sołówki. Nie ma obiecywanego raju — dodaje w innym miejscu — tu wszędzie krzyczy śmierć, bełkocze cierpienie; świat okazuje się gazetowym sloganem, „komedią gotowych masek", objawem zbiorowej głuchoty oraz dla wszystkich dziką pogonią za kawałkiem chleba. Dla głodnych chleb jest prawem. *I na pochmillja — samohon...* — dodaje ironicznie.

A poezja? Jest: „gwardyjską wyprawką idei, paradą rymowanych myśli". Switłyczny sprzeciwiał się oficjalnie promowanym wielkościom. Jako krytyk ówczesnej sowieckiej rzeczywistości, toczył przez obozowe druty dialog poetycki z symbolami tradycji: ze Skoworodą, Szewczenką, Symonenką oraz w obozie i poza nim — ze Stusem, Swerstiukiem, Kałyńciem, Draczem, Dziubą i innymi. W kręgu łagrowej poezji tworzył ponadwięzienną wspólnotę poetów. W pierścieniu okratowanych (anty)sonetów tworzy się przestrzeń wolnego dialogu. Poprzez dystans, ironię, paradoks, a zwłaszcza przez namiętność dyskutowania ze światem, którego tak mu brakowało w uwięzieniu, osiągnął Switłyczny niezależność artystyczną oraz intelektualną, jakiej nie posiadali poeci „na wolności"[6]. W historii literatury ukraińskiej lat 60-70 pozostanie jego głos poetycki, znaczący poprzez siłę przekonań i wyrazistość artystyczną; głos tamtego pokolenia, które lekcje dojrzałości pobierało w łagrze.

Bogusław BAKUŁA

6. O nowoczesnej publicystyce Switłycznego zob.: O. Zynkewycz, „Z heneracji nowatoriw, Switłycznyj i Dziuba. U dżereł modernoji ukrajinśkoji krytyky". Smołoskyp, Baltimore-Toronto 1967, pp. 243. I. Dziuba, „Dusza rozpłastana na płasi...", *Literaturna Ukraina*" 1990, nr 1(4358); O I. Switłycznym zob. także: J. Swerstiuk, „Dobra im'ja Switłycznoho, *Ukrajinśke Słowo* 1992, nr 2638; I. Jarosewycz, „Ivan Switłychny dead at 63", *The Ukrainian Weekly* 1992, nr 44.

Książki

Pamiętnik pisany w Australii

Ukazał się w Sydney pamiętnik sędziego Franciszka Ostrowskiego (1907-1989), w języku angielskim, pt. „The Road and the Passer-by", czyli „Droga i przechodzień"*. Fakt wydania w Australii pamiętnika pisanego po angielsku przez Polaka nie jest niczym nowym ani zaskakującym. W pięknie wydanym przez „Wspólnotę Polską" w Warszawie „Almanachu Polonii 1993" można znaleźć artykuł Andrzeja Gawrońskiego, „Australijsko-polscy pisarze ostatniego czterdziestolecia", w którym wymienia około stu książek wydanych w tym okresie, między innymi ponad pół tuzina pamiętników pisanych czy też przetłumaczonych na angielski.

Pamiętnik Ostrowskiego pisany jest płynną i bogatą angielszczyzną, nie pozbawioną tzw. idiomów, czyli specyficznych zwrotów, którymi mało kto z Polaków operuje. Autor znał angielski jeszcze przed II wojną światową i z usług jego korzystała nawet czasami ambasada brytyjska w Warszawie. Nie jest to angielszczyzna w pełni literacka, ale raczej w stylu urzędniczego sprawozdania. Pamiętniki te obejmują aż 75 lat dwudziestego stulecia, 1910-1985, i stanowią pewnego rodzaju panoramę losów polskiego inteligenta z tego okresu.

Autor, urodzony w r. 1907, był synem cesarsko-królewskiego prokuratora w Czortkowie, na Podolu, a początek wspomnień sięga roku 1910. Mając pięć lat nauczył się czytać i pisać, więc jako dziecko był wcześnie rozwinięty. Dbał o to ojciec który od zarania zdecydował, że musi wychować jedynaka na sędziego.

Wybuch I wojny światowej zastał autora w wieku siedmiu lat, toteż sporo zapamiętał. Na wstępie dobra pamięć stworzyła natłok wydarzeń i opisów: barwne mundury huzarów, ewakuacja na Węgry, austriacki oficer z wypalonymi oczami, Kozacy, wozy

* Frank Ostrowski. *The Road and the Passer-by*. (Wyd. Roman Migocki i Wojtek Ihnatowicz) Sydney 1992, str. 356 i 6 nlb.)

pełne trupów zmarłych na cholerę, wojna polsko-ukraińska. Niektóre fragmenty, jak opisy zabaw, czy siodłanie krnąbrnego konia w stajni, można było opuścić. Na szczęście dla autora w r. 1920 przeniesiono jego ojca do Sądu Apelacyjnego w Poznaniu. W ten sposób uniknął doświadczeń nawały wojennej przewalającej się przez Kresy Wschodnie.

Wielki wpływ na rozwój młodego człowieka wywarł wuj Roman Zrębowicz, postać ciekawa, tchnąca duchem artystycznej cyganerii, prawdziwy *bon vivant*, wybitny dziennikarz, pisarz, krytyk literacki, teatralny i artystyczny, któremu Stanisław Lam poświęcił notę w swej „Podręcznej encyklopedii powszechnej" (Paryż 1954). Dla jedynaka wychowanego w purytańskim domu wuj stawał się zaprzeczeniem i magiczną odtrutką nudy rodzinnego gniazda.

Pobyt w Poznaniu trwał zaledwie dwa lata, gdyż sędziego Ostrowskiego przeniesiono na stanowisko przewodniczącego Sądu Okręgowego w Grudziądzu. Tam Franciszek zdał maturę w r. 1926, a na jesieni wyjechał do Warszawy, gdzie rozpoczął studia prawnicze. Warszawa oczarowała młodziutkiego studenta swoim klimatem duchowym, temperamentem i swoistym dowcipem, tak różnym od prowincjonalnego Grudziądza. Do wejścia w życie dopomagały wizyty w mieszkaniu wuja, pełnego oszałamiającego rozgardiaszu, a również wspólne wyprawy na miasto, do barów i restauracji. Zrębowicz zdawał się znać każdego w stolicy, pływał jak ryba w wodzie wśród koterii literackich, grup artystycznych i kół dyplomatycznych, a przyjaźniąc się z Wieniawą Długoszowskim, szczycił się wywiadem z Józefem Piłsudskim w odosobnionym okresie Sulejówka. Błyskotliwy dziennikarz lubił siostrzeńca i często zabierał go na towarzyskie przygody.

Surowy nadzór ojca skończył się z jego śmiercią, która nastąpiła niespodziewanie na wiosnę 1932 r. Pomimo dziwactw ojca syn otaczał go niezachwianym szacunkiem.

Po dwóch latach aplikantury Ostrowski rozpoczął karierę sędziego. W czasie urzędowania spotykał szereg znanych osób w Warszawie, jak dr Bronisławę Dłuską, siostrę Marii Curie, lub prof. Ludwika Hirszfelda. Afera jednego ze zbierających na Fundusz Obrony Kresów Zachodnich przyczyniła się również do poznania wybitnych postaci jak Stefan Starzyński, biskup Edward Ropp, nuncjusz i kardynał Francesco Marmaggi. Sporo miejsca poświęcił autor postaci dra Janusza Korczaka, który był wzywany do sądów jako ekspert psychologii dzieci.

Ostrowski w r. 1933 popłynął statkiem do Londynu, który zrobił na nim ogromne wrażenie. Dużo jednak więcej miejsca zajmują jego komentarze o wizycie w Niemczech w r. 1937, podczas Igrzysk Olimpijskich w Garmisch, pełne obserwacji turystyczno-politycznych. W maju tegoż roku otrzymał nominację na sędziego śledczego w Mołodecznie, w województwie wileńskim, blisko granicy rosyjskiej. Pierwsze miesiące wydały się młodemu sędziemu koszmarem. Kontrast między życiem w Warszawie a Mołodecznem był więcej niż szokujący. Natomiast bajecznie barwną postacią był przewodniczący miejscowego sądu, eks-kapitan żeglugi z Morza Czarnego, pochodzący z bogatej rodziny ziemiańskiej. Z biegiem czasu pamiętnikarz zaczął odkrywać piękno Wileńszczyzny.

W grudniu 1938 Ostrowski przeniesiony został do Sądu Okręgowego w Łodzi. Zapowiadająca się znakomicie kariera 32-letniego sędziego została brutalnie przerwana wybuchem II wojny światowej.

Łódzki Sąd Okręgowy opuścił miasto 6 września zorganizowaną grupą. Widok był może nawet patetyczny: platforma pełna bagaży, ciągnięta przez siwą kobyłę, na siodle woźny w mundurze ze srebrnymi guzikami i orłem na czapce, a w tyle maszerująca grupa kilkunastu sędziów. Ten przymusowy spacer zawiódł Ostrowskiego aż na Wołyń, do Kowla, gdzie 18 września dowiedziano się o wkroczeniu Rosjan w granice Rzeczypospolitej. Zespół prawników natychmiast rozpoczął marsz powrotny, pochód za platformą doszedł do Lublina, obsadzonego już przez Niemców. Ostrowski wrócił do mieszkania matki w Warszawie.

Pamiętnikarz próbuje dać na kilku stronach coś w rodzaju historii kampanii wrześniowej. Nie będąc wojskowym, uległ wrażeniom wyniesionym z pochodu za platformą, dzieląc zwątpienie i przygnębienie uciekinierów wędrujących po bombardowanych szosach. Wiedzę swoją autor uzupełnił książką lorda Nicholasa Bethella „The War Hitler Won" (Wojna którą Hitler wygrał), wydaną w r. 1972. Książkę tę nazywa „świetną" i kilka razy cytuje. Dzieło to istotnie można tak nazwać, gdyż jest doskonale napisane pod względem literackim i pełne ironii. Bethell podniósł unikaną przez aliantów sprawę zdrady Polski w roku 1939 i głupoty sztabów, trzymających z bronią u nogi przeszło 100 dywizji, gdy Niemcy zostawili na Zachodzie zaledwie 20 czwartorzędnych dywizji, używając trzy czwarte sił zbrojnych na rozbicie Polski. Niestety lord Bethell na 470 stron swego chwalebnego dzieła poświęcił działaniom wojennym tylko 60, w tym tylko kilka kart przedstawiających opór wojska polskiego. Dzieło to zajmuje się głównie debatą polityczną i dyplomatycznymi machinacjami Francji i Anglii.

Ostrowski powtarza za Bethellem, że pierwszego dnia wojny większość polskiego lotnictwa została zniszczona na lotniskach, a w rzeczywistości ani jeden samolot z eskadr bojowych nie był uszkodzony na ziemi, gdyż zostały one dobrze ukryte

na polach osłoniętych lasami. Tutaj Ostrowski, jak i miliony Polaków, a także historycy z Zachodu uwierzyli niemieckiej propagandzie z zadziwiającą łatwością, głosząc do dzisiaj wersję warszawskich orkiestr podwórkowych, że na niebie „naszych orłów nie było". Wystarczy zajrzeć do książki niemieckiego historyka, Cajusa Bekkera, „The Luftwaffe War Diaries" (1967), by zdać sobie sprawę jak wielkimi stratami okupiła Luftwaffe swoje zwycięstwo. Z 1930 samolotów wysłanych na Polskę zostało zestrzelonych lub ciężko uszkodzonych 564, czyli ponad 25 % w ciągu trzech tygodni. Luftwaffe straciła też 734 ludzi, w tym ponad 400 pilotów i obserwatorów.

Dalszym przykładem jest powtarzanie za Bethellem, że pojawiający się pod Warszawą zagon niemieckiej dywizji pancernej, w dniach 8 i 9 września, został zatrzymany tracąc kilka („several") czołgów, gdy w rzeczywistości rozbito ich 42. W Polsce Niemcy stracili 674 czołgi.

Na s. 145 pamiętnika jest zdanie, że „Katastrofalna bitwa polskiej kawalerii przeciw niemieckim czołgom, we wrześniu 1939, dyskutowana tyle razy, demonstruje sytuację". Autor dostrzegł iż temat ten Niemcy szczególnie faworyzowali, „tarzając się" w „głośnym politycznym śmiechu". Istotnie chodziło o to, by podbitych Polaków dobić ośmieszeniem, stąd wymyślono bajki o domniemanych szarżach na czołgi. Ostrowski czytał, że polskie źródła temu zaprzeczały, ale jakby im nie wierzył, tłumacząc iż broniono swego kraju zacięcie i z desperacją.

Można tu dodać, że historycy II wojny światowej, jak m.in. Bethell, przejęli dużo z niemieckiej propagandy, dając obraz wypaczony eksponowaniem polskiej kawalerii, która stanowiła nie więcej jak 6 % zmobilizowanej armii i była dobrym wojskiem, walczącym statecznie. Bethell pisze, jakby z wyrzutem, że armia polska miała ćwierć miliona koni, chyba nie wiedząc iż Niemcy idąc na Polskę zabrali ich pół miliona. Trzykrotnie większa niż polska, bo licząca 30 dywizji kawaleria rosyjska, walcząca z powodzeniem do r. 1945, nigdy nie budziła złośliwych komentarzy ani ironicznych uśmiechów u historyków w Niemczech ani na Zachodzie.

Wróćmy do losów Ostrowskiego. Szarzyznę okupacyjnego wegetowania i pogoni za żywnością urozmaicały spotkania z wujem Zrębowiczem, a także przypadkowa znajomość dwóch braci Słowaków, którzy będąc nominalnie wpisani na tzw. Volkslistę, pomagali Polakom zupełnie bezinteresownie. Dzięki obu braciom Ostrowski miał dostęp do radia i komunikatów BBC. Po kilku miesiącach znalazł stałą pracę w biurze tłumaczy przy Polskim Sądzie Okręgowym. We wrześniu 1940 został aresztowany przez Gestapo. Uniknął obozu w Oświęcimiu dzięki swojemu niezwykłemu szczęściu oraz interwencji znajomego

inżyniera, prowadzącego remont Belwederu. Tym wybawcą, ryzykującym własne życie, był Polak angielskiego pochodzenia Mieczysław Willmoth.

Pamiętnikarz potępiał tragiczne traktowanie Żydów, a sam miał rzadkie dwie czy trzy okazje wejścia do getta w związku z sądowymi sprawami bankructwa, które były nierealną fikcją godną powieści Kafki. Życie pod okupacją przerywały różne wydarzenia jak powstanie w getcie, zamach na Kutscherę, aresztowanie przez Gestapo Adolfa Nowaczyńskiego, czy wreszcie śmierć matki na trzy tygodnie przed wybuchem powstania warszawskiego. Ostrowski miał jak zwykle szczęście, gdyż wybuch powstania odciął go od mieszkania na Ochocie, gdzie Niemcy wymordowali całą ludność. Los zapędził go na Stare Miasto, do budynku Hipoteki, gdzie przetrwał całą powstańczą gehennę. Wszystkich mężczyzn wywieziono ze Starego Miasta wprost do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Wygłodzony podczas oblężenia Starówki Ostrowski przetrzymał dalsze dziewięć miesięcy w obozach koncentracyjnych, co chyba zawdzięczał silnemu organizmowi, chociaż lekarze polskiej komisji poborowej orzekli, że nie był zdolny do noszenia broni i dali mu kategorię D. Historycy zajmujący się zagadnieniem obozów koncentracyjnych III Rzeszy znajdą w pamiętniku chłodną i trafną analizę funkcjonowania tej maszyny do niszczenia ludności. Do najciekawszych opisów należą miesiące przebyte w Sachsenhausen, Ravensbrück, a także podczas budowy kwatery Himmlera w pobliżu Prenzlau i ponownego powrotu do obozów. Mozaika maleńkich przygód, wydarzeń, niepospolicie szczęśliwych przypadków, szkice postaci współtowarzyszy i oprawców, wszystko to składa się na obraz prawdziwie zajmujący. Miał też pamiętnikarz łatwość nawiązywania przyjaźni z współwięźniami różnych narodowości; pomagali mu szczególnie Czesi, których braterstwo i samopomoc stawiał swoim rodakom za wzór.

Ewakuowany z Ravensbrück do Sachsenhausen, 3 marca 1945, autor miał jeszcze raz szczęście gdy transport więźniów, przeznaczony do Belsen, został zatrzymany zbombardowaniem stacji kolejowej w Oranienburgu. Makabryczny marsz śmierci rozpoczął się 21 marca. Więźniom dano po pół bochenka chleba i kawał kiełbasy, ale przez następne 14 dni nie dostali więcej jedzenia. Marsz na północ miał prawdopodobnie za cel osiągnięcie Lubeki i zatopienie więźniów w morzu. Wiele stron zajmują okrucieństwa popełniane przez konwojentów podczas marszu. To że Ostrowski przetrzymał marsz zawdzięczał pewnie niezwykłym przypadkom: pierwszy, iż jeden z więźniów-Polaków dał mu parę wygodnych butów, gdyż w drewnianych sabotach daleko nie uszedłby, a drugi gdy idący obok słowacki Żyd zdobył pięć pieczonych kartofli, oddając mu trzy mniejsze i potem

wpakował mu w usta garść cukru. Ten Żyd, którego znał tylko z imienia Dawid, stał się dla pamiętnikarza symbolem najbardziej chrześcijańskiego ideału poświęcenia dla bliźniego. Z drugiej strony przypominał sobie beznadziejną głupotę konwojujących SS-manów, którzy niemal do przedostatniego dnia walącej się Rzeszy mordowali ludzi z bestialstwem i sadyzmem.

Drugiego maja kolumna doszła do Schwerina, zajętego przez Amerykanów. Wybawcy rozbroili konwojentów, ale nie interesowali się więźniami, którzy rozeszli się szukając żywności na własną rękę. Wielu z nich zmarło po przyjęciu solidnego pokarmu, ale Ostrowski uratował się szukając pomocy w niemieckim szpitalu. Potem został tłumaczem londyńskiego oddziału Armii Zbawienia działającego w obozie Delmenhorst pod Bremą, a następnie w Cuxhaven. Z Armią Zbawienia przeniósł się do Kilonii, a gdy Anglicy zaczęli likwidować swoją działalność w Niemczech, zdecydował się w r. 1949 emigrować do Australii. Kandydatów na wyjazd wysłano do Włoch. Ostrowski, ze swym przyjacielem byłym więźniem Sachsenhausen, odpłynął z Neapolu, 22 stycznia 1950, na statku „General Blatchford", który przypłynął do Sydney 18 lutego. Imigrantów wysłano do obozu w Bathurst, potem do Wallgrove pod Górami Błękitnymi.

Początkowo autor był zachwycony spokojem i otaczającą go egzotyczną przyrodą, ale wkrótce ogarnęło go rozczarowanie i przygnębienie, gdy jego starania o posadę nauczyciela czy urzędnika spełzły na niczym. Wykorzystano go jako pomocnika w kuchni obozowej, z obowiązkiem rozpalania ognia pod kotłami o 4-ej rano i dowożenia produktów z magazynów. Wszyscy przybyli na dwuletni kontrakt mężczyźni traktowani byli jako „robotnicy", a kobiety jako „służące", bez względu na zawód i wykształcenie. Małżeństwa często rozdzielano o kilkaset kilometrów. Architekci, dentyści, artyści, okuliści, adwokaci, pułkownicy i kardiolodzy, kopali w błocie rowy kanalizacyjne. Emigrantom powtarzano stale, że mają zapomnieć o swojej przeszłości, zawodzie, języku ojczystym, a nawet doradzano spalenie dokumentów i dyplomów. Zabroniono używania tytułów naukowych, jak doktor czy magister. Dla czytelników, pamiętających lata 1950-te, pamiętnik nie wnosi tu nic nowego ani rewelacyjnego. Węgierski historyk i socjolog Egon Kunz wydał na ten temat rozprawę w r. 1976, pt. „The Intruders: Refugee doctors in Australia" (ANU Press, Canberra, stron 140).

Gdy Ostrowski wspominał lata pracy w oddziale Armii Zbawienia w Kilonii, wydawało mu się że znalazł się w australijskiej „karnej kolonii" i nazwał ten okres „szkaradnym kamieniem milowym na drodze" swego życia. Po jakimś czasie otrzymał posadę niskiego stopnia w biurze obozowym i na kartkach pamiętnika szkicował różne postaci Australijczyków, wi-

dząc zarówno ich cechy ujemne i dodatnie, jak dyskrecja, grzeczność, humor oraz zdolności organizacyjne. Nie mógł jednak zrozumieć podnoszenia do wydarzeń niemal historycznych spotkań ekip krykieta oraz ciągnących się godzinami dyskusji, których tematem było rzucanie, odbijanie i łapanie twardej piłki. Nuda życia obozowego była tak przygnębiająca, że autor pominął z odrazą swoje dzienniki z lat 1950-1952. Wolał wykreślić ten okres ze swojego życiorysu.

Awans do głównej kwatery administracyjnej obozów przyjął jako błogą odmianę losu. Miał tam dalsze pole do obserwacji rozmaitych Australijczyków, których charakteryzował z zacięciem psychologa. Odwiedzał Sydney, które zmieniało coraz bardziej swoje oblicze, wchłaniając kulturę, obyczaje i gastronomię Europejczyków. Przygnębiający obraz miasta zanikał, ale zachowano anglosaski zdrowy rozsądek, takt i porządek.

W r. 1967 Ostrowski udał się w wielką podróż przez Singapur, Indie, Turcję, Izrael, Grecję, Włochy, Watykan, Anglię, Portugalię, Francję i Niemcy, notując swoje wrażenia. Spotkanie z Polską przyniosło opisy lasu i wzruszeń, ale pomimo łez na widok odbudowanej Warszawy zdecydował, że należy do Australii. Książka kończy się „Epilogiem", gdzie autor wspomina najbardziej przyjemne i przykre chwile życia, wyraża żal iż nie założył rodziny i wreszcie filozoficznie rozważa zagadnienie przebaczenia. W sumie jest to pamiętnik ciekawy. Nie ma w nim jednak ani słowa o Polonii australijskiej, o co naturalnie nie można mieć żadnej pretensji.

Chciałoby się pochwalić wydawców za pamięć o przyjacielu i zabezpieczenie pamiętnika od zaginięcia, przez wydanie go drukiem. Do tego przyczyniły się zresztą dwie osoby prywatne oraz Instytut Ociemniałych Dzieci w Laskach pod Warszawą, dając subwencje. W tym fakcie jest coś zawstydzającego, że tego rodzaju Instytucja krajowa daje pieniądze na druk książki pisanej przez Polaka w podobno bogatej Australii.

Zachowując pełną życzliwość i szacunek dla inicjatywy wydawców trudno jednak chwalić redakcyjną i techniczną stronę tej publikacji. W omawianej książce uderza przede wszystkim znikoma ilość akapitów, występujących przeciętnie raz na trzy lub cztery strony tzw. bitego tekstu. Akapity są konieczne dla zaczynania czy kończenia pewnych zagadnień lub myśli, dodają jasności oraz pewnego wypoczynku dla oka czytającego. Również zwraca uwagę częsty brak przerwy po kropce lub przecinku. Nastawienie komputera może było wadliwe, gdyż tak zgęszczał tekst, że są wypadki łączenia się dwóch wyrazów, co szczególnie w języku angielskim jest niedopuszczalne.

Niedostateczna korekta pozostawia wiele do życzenia, np. przymiotnik „Polish" należy zawsze pisać dużą literą, gdyż „po-

lish" oznacza pastę do butów lub politurę do mebli. Podobnie Bedouin, Gypsy, Cossack, American, Frenchman, trzeba pisać dużą literą. Nie ma słowa „Jiddish" na określenie języka żydowskiego, ale jest Yiddish. Niedopatrzenia korekty mogą u angielskiego czytelnika wywołać uśmiech, jak np. na s. 193 jest zdanie „... most German administrative officers in Warsaw were known to take brides". Ostrowskiemu chodziło o to, że Niemcy brali łapówki (bribes), a użyte słowo „brides" znaczy — młode kobiety, kandydatki do małżeństwa! Na s. 344 znajdujemy „Ola post-cards", nie wiadomo czy angielski czytelnik domyśli się, że miało tu być „old post-cards".

Frank po angielsku to Franek lub Franio. Być może, iż tak nazywano magazyniera Ostrowskiego w obozach, ale jako autorowi i byłemu sędziemu należało się chyba pełne imię Franciszek czyli Francis. Osobiście nadałbym pamiętnikom bardziej sensacyjny tytuł, jak „Przeżyłem Sachsenhausen i marsz śmierci" lub „Od Sachsenhausen do Sydney".

Książki o wartości historycznej, czy pamiętniki, powinny zawierać indeks osób i nawet miejscowości. Jeśli czytelnik chce wrócić do wzmianek o Korczaku, Zrębowiczu, czy Nowaczyńskim, stanie przed syzyfowym zadaniem wertowania 350 stron. Nawet napisanie recenzji tej książki byłoby niemożliwe gdybym nie zrobił czegoś w rodzaju prywatnego skorowidza. Dla historyków pamiętniki bez indeksów są właściwie bezużyteczne i często odrzucane.

Pamiętnik Ostrowskiego powinien był ukazać się nakładem Instytutu Wydawniczego Polonii Australijskiej — ale niestety takiego nie ma.

Melbourne, w styczniu 1994

Lech PASZKOWSKI

Niełatwo być prorokiem

Redaktor *Kultury* przysłał mi książkę Wojciecha Zajączkowskiego nie dalej niż kilka miesięcy temu z prośbą o recenzję. W liście dodawał, że autor cieszy się autorytetem we wpływowych kręgach polskich polityków. Na obwolucie obok fotografii autora odnotowano, że jest on historykiem, a urodził się w 1963 roku. Książka nosi tytuł: „Czy Rosja przetrwa do roku 2000?" (Wyd. „Most", Warszawa 1993). Takie pytanie na okładce miało

zwrócić uwagę i przypomnieć, że książka o podobnym tytule, „Czy Związek Sowiecki przetrwa do 1984 roku?", niemal co do roku przepowiedziała datę upadku ZSSR.

Kiedy Andriej Amalrik pisał swą książkę, na pewno marzył o tym, żeby Związek Sowiecki przestał istnieć. Odnoszę wrażenie, że Wojciech Zajączkowski równie intensywnie marzy o tym, aby istnieć przestała Rosja. Wystarczyło jednak, by książka jego poleżała kilka miesięcy na moim biurku, czekając, aż ją przeczytam, by się zestarzała. Przede wszystkim data przestała być aktualna. Wszystko jest możliwe, nawet to, że przestanie istnieć Rosja, wątpliwe jednak, by stało się to w ciągu najbliższych sześciu lat. Wojciech Zajączkowski pisał swój utwór najwyraźniej w drugiej połowie 1993 roku („Federacja Rosyjska nie może, jak ZSSR, wpływać na sytuację w Europie dzięki swemu potencjałowi wojskowemu"). Niespodziewany powrót Rosji na scenę europejską w związku z wojną w byłej Jugosławii, który tak wszystkich zaskoczył, podważa proroctwa Wojciecha Zajączkowskiego. Autor książki wybrał trudny gatunek: dziennikarski reportaż o sytuacji w kraju, przyprawiony miejscami analizą opartą na reporterskich obserwacjach. Wynik jest taki, że książka wydaje się dziś reportażem z zamierzchłej przeszłości. Nie jest winą autora, że wydarzenia biegły niezwykle szybko, a działacze, których cytuje, albo zniknęli z życia politycznego, albo stracili znaczenie, albo (niekiedy) zmienili poglądy. Natomiast fascynacja zjawiskami naskórkowymi i zdarzeniami sensacyjnymi, niezwykłymi w sowieckiej rzeczywistości, utrudnia poważną analizę i odkrycie procesów podskórnych, głębinowych — a to one decydują o przyszłości. Przykładem powierzchownych spostrzeżeń jest uwaga o inwestorach zagranicznych: „Nie bacząc na (tu autor przytacza przykłady trudności — A.K.)... zagraniczni inwestorzy nie tracą nadziei. Amerykański koncern CONOCO próbuje szczęścia w obwodzie archangielskim, włoska firma Eni podpisuje umowę z państwowym zjednoczeniem „Lukoil", Francuzi z Elf-Aquitaine szukają ropy naftowej pod Saratowem i Wołgogradem..." Po pierwsze to nieprawda. Na razie nikt nigdzie ropy nie szuka. Toczą się zawiłe i trudne pertraktacje. Po drugie tylko specjaliści od ropy naftowej gotowi są — mimo trudności — podpisywać umowy i inwestować kapitały, bo w tej dziedzinie zysków od inwestycji można się spodziewać po 10–15 latach. Kapitaliści, którzy łakną szybszych dochodów, na razie w Rosji nie inwestują. Jeszcze bardziej przekonywającym przykładem słabości analizy opartej na informacjach prasowych jest przekonanie autora, że Wspólnota Niepodległych Państw jest bezsilnym organizmem.

Główną słabością książki jest fakt, że autor, trafnie definiując słabe punkty dzisiejszej Rosji (ich listę można ciągnąć w nie-

skończoność) i czynniki, które odpychają od centrali kolejne rejony, obwody i republiki, nie zwraca uwagi na czynniki, które je do centrali przyciągają. Ruch dośrodkowy narodził się w dniu likwidacji Związku Sowieckiego i trwa do dziś. Po pierwszym okresie euforii rejony, obwody i republiki zrozumiały, że niezawisłość i suwerenność same przez się szczęścia ani dobrobytu nie zapewniają. Oderwać się od Moskwy jest bardzo przyjemnie, szybko jednak okazało się, że do tego niezbędne jest przecięcie naczyń krwionośnych. Poza tym walczącym o niepodległość wydawało się, że wystarczy oderwać się od Moskwy, a natychmiast pojawią się możni protektorzy, sojusznicy i dobroczyńcy. I te nadzieje okazały się płonne. Wojciech Zajączkowski z kolei myślał, kiedy pisał książkę, że „Moskwa niemal całkowicie utraciła kontrolę nad Zakaukaziem". Podkreśla zresztą jak ważnym wydarzeniem było podpisanie 15 marca 1992 w Teheranie układu między Armenią i Azerbejdżanem. Umowa ta, jak wiadomo, okazała się świstkiem papieru. Co więcej, okazało się również, że ani Turcja, ani Iran, ani Pakistan czy Arabia Saudyjska nie potrafiły (nie chciały — byłoby to szalenie kosztowne) stać się poważną siłą na Kaukazie. Jedyną poważną siłą w tym rejonie jest wciąż Rosja. Zresztą, mówiąc o roli Rosji w „bliskiej zagranicy", wystarczy, jak sądzę, przypomnieć, że perymetru byłego Związku Sowieckiego (z wyjątkiem krajów bałtyckich) nadal strzegą rosyjskie wojska ochrony pogranicza.

I na koniec pozwolę sobie mniemać, że mówiąc o przyszłości Rosji dobrze jest mieć w pamięci jej przeszłość, a zwłaszcza inne okresy „smuty", kiedy Rosja wydawała się na skraju upadku, a potem — z rozmaitych powodów — znów stawała na nogi.

Adam KRUCZEK

Głos w sprawie „Polskiej Bibliografii Literackiej"

Badacze i krytycy literatury polskiej i obcej, teatrolodzy i filmoznawcy, twórcy słowników i kompendiów biobibliograficznych, pracownicy działów informacji polskich bibliotek — wszyscy ci ludzie na ogół dobrze wiedzą czym jest i jakie znaczenie w ich pracy ma opracowywana w Instytucie Badań Literackich PAN „Polska Bibliografia Literacka". Wiedzą też, że z tą bibliografią od wielu już lat naprawdę źle się dzieje. Kolejne jej tomy, które kiedyś regularnie przyrastały na półkach księgozbiorów podręcznych w bibliotekach, od połowy lat osiemdziesiątych pojawiają się coraz rzadziej, raz na kilka lat. Bibliografia z założenia bieżąca w odczuciu użytkowników dawno już rozstała się z chwilą bieżącą. Najnowszy dostępny w bibliotekach rocznik dedykowany jest na rok 1983. Dwa następne — za lata 1984 i 1985 — dotrą tam dopiero w tym roku.

Jak to się stało, że publikacja podstawowa dla warsztatu naukowego całej polonistyki, dokumentująca stan jej badań, ale także krytykę literacką, twórczość poszczególnych pisarzy, życie literackie, teatralne i filmowe, słowem — rejestrująca znaczący obszar polskiej kultury — utraciła, nie z własnej przecież winy, walor aktualności w odniesieniu do ostatnich lat dziesięciu?

Próbując odpowiedzieć na to pytanie chcę zwrócić uwagę na pewne anomalie związane z finansową otoczką, w jakiej dokonuje się edycja kolejnych tomów PBL i w jakiej tkwi cały zespół autorski tej bibliografii. Anomalie, stanowiące dziś zresztą zagrożenie dla wszelkich przedsięwzięć dokumentalistycznych w Polsce o charakterze permanentnym, mających za sobą długą tradycję.

Publikacja roczników PBL przygotowanych do druku finansowana jest w ostatnich latach z grantów przyznawanych przez Komitet Badań Naukowych. System grantów, słuszny zapewne, bo racjonalizujący wydatki na naukę, nie różnicuje jednak prac i publikacji jednorazowych od tych, które mają charakter ciągły, od dziesięcioleci funkcjonujących w systemie nauki jako jej nieusuwalne ogniwa — a taki właśnie charakter ma „Polska Bibliografia Literacka". To niezrozumiałe, że publikacja tego typu ciągle od nowa udowadniać musi swoją przydatność i niezbędność dla nauki, że w procedurze wnioskowania o grant PBL podlegać musi każdorazowej „weryfikacji" przed wydaniem nowego rocznika. Wiąże się z tym przecież ryzyko odmowy przyznania funduszy, co właśnie niedawno miało miejsce w przypadku rocznika 1986 i opóźni jego dotarcie do użytkowników. Jest rzeczą absolutnie niezbędną by przedsięwzięcia dokumentalistyczne o charakterze ciągłym, służące całej odrębnej dyscyplinie naukowej, posiadające stały zespół autorski, wypracowany w ciągu wielu lat warsztat i zaplecze metodologiczne w sposób obligatoryjny, automatyczny niejako, otrzymywały fundusze na edycję kolejnych tomów.

Problem drugi, to drastyczne zmniejszanie się stanu osobowego pracowni dokumentalistycznych, także wywołane sytuacją finansową nauki. Zespół „Polskiej Bibliografii Literackiej" uległ zmniejszeniu o około czterdzieści procent w przeciągu kilku lat.

Asumpt dla oszczędnościowej likwidacji kolejnych etatów dało stopniowe odchodzenie na emeryturę bibliografów pierwszego pokolenia, pamiętających jeszcze prof. Stefana Vrtela-Wierczyńskiego, oraz rezygnacje w gronie młodych dokumentalistów. Porzucają oni tę pracę — wymagającą szczególnej samodyscypliny — wynagradzaną z reguły jeszcze gorzej niż praca badawcza, pozbawioną zaś związanych z etatem naukowym możliwości podejmowania dodatkowych zajęć zarobkowych. Zespół autorski PBL osłabiony utratą wielu etatów nie jest, rzecz jasna, w stanie utrzymać dawniejszego, rocznego rytmu pracy — i jest to kolejny powód wspomnianej nieobecności w bibliotekach roczników bibliografii za lata ostatnie.

Sprawą niezwykle pilną staje się dziś zahamowanie i odwrócenie regresu, jaki dotyka bibliografię literacką w Polsce. Tym bardziej, że pojawiło się przed nią nowe, związane z upadkiem totalitarnej formacji zadanie — ogarnięcia i rejestrowania literatury i kultury artystycznej uwolnionych od cenzury i systemu państwowych koncesji. To swoiste *embarras de richesse*, antycypowane niejako II obiegiem wydawniczym, jest w powojennej dokumentalistyce zjawiskiem nowym, któremu trzeba sprostać jak najszybciej. Byłoby gorzkim żartem historii gdyby się to nie powiodło.

Jerzy KANDZIORA

Nadesłane nowości wydawnicze

Polish Air Force — chronicle of main events. Compiled by F. Kornicki. Str. 82 i 2 nlb. (Polish Air Force Association in Great Britain, London 1993).

WANCZYCKI (Jan K.). *Genealogies of the Wanczycki, Rolski and Krogulecki Families.* Str. 92 (Wyd. nakładem Autora, Ottawa 1993).

Nationalities Papers. Index to Volumes XI–XX (1983–1992). Fall 1993. Str. 32. (A Semi-Annual Publication of the Ass. for the Study of the Nationalities of the USSR and Eastern Europe, Nowy Jork).

Nationalities Papers. Fall 1993. Volume XXI/Number 2. Str. 292. (A Semi-Annual Publication of the Ass. for the Study of the Nationalities of the USSR and Eastern Europe, Nowy Jork).

TERLES (Mikołaj). *Ethnic Cleansing of Poles in Volhynia and Eastern Galicia 1942–1946.* Str. 80. (Wyd. ZZWRP, Toronto 1993).

BŁASZCZYK (Barbara) & DĄBROWSKI (Marek). *The Privatisation Process in Poland 1989–1992: Expectations, Results and Remaining Dilemmas.* Str. 92. (Wyd. The Centre for Research into Communist Economies, New Series 9, Londyn 1993).

SIRC (Ljubo). *Criticism of Self-Management Still Relevant?* Str. 134 i 2 nlb. (Wyd. The Centre for Research into Communist Economies, New Series 10, Londyn 1994).

Bibliographie européenne des travaux sur l'URSS et l'Europe de l'Est. Volume XV–1989. Ed. M. Armand, M. Aymard, Cl.-L. Charbonnier. Str. XXXVI, 322 i 2 nlb. (Wyd. Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales, Institut d'Etudes Slaves, Paris 1993).

FEDRIGO (Claudio), SYGNARSKI (Jacek). *Ignacy Mościcki (1867–1946) – De l'Université de Fribourg à la Présidence de la Pologne.* Str. 128 i 6 nlb. (Bibliothèque Cantonale et Universitaire, publié dans le cadre de l'exposition à cette bibliothèque durant février–mars 1994, Fribourg 1994).

STRYJEŃSKI (Jan). *Les Polonais et Genève.* Str. 15. (Wyd. L'Association Polonaise de Genève i Pro Polonia Genève, Genewa 1993).

HERLING (Gustaw). *Un mondo a parte.* Tłumaczenie na włoski Gaspare Magi. Str. 288. (Wyd. Feltrinelli, seria: I Narratori, Mediolan 1994).

KŁOSSOWSKI (Andrzej). *Lenku knygu leidyba svetur.* Str. 32 (w języku litewskim). Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1993).

Naukowyj Zbirnyk, tom 16. Str. 336. (Wyd. Ukrainśkyj Wilnyj Uniwersytet, Monachium–Lwów 1993).

RICHMICKA (Daria). *Szowkowa kosycja.* Poezje. Str. 168. (Wyd. nakładem Autora, Detroit 1992).

LUBOMYRSKYJ (Stepan). *Armija nieskorenych.* Powieść. Str. 424. (Ukrainian Publishers Ltd., Londyn 1993).

Archeograficzna Komisija ta Instytut Ukrainśkoj Archeografii Akademii Nauk Ukrainy 1987–1993. Str. 32. (Ukraińska Akademia Nauk, Kijów 1993).

GARAŃ (O.W.). *Ubiti drakona.* Z istorii Ruchu ta nowych partij Ukrainy. Str. 196 i 4 nlb. (Wyd. „Libid", Kijów 1993).

MARCHESANI (Pietro). *D'una edizioni „critica" di Gombrowicz (e d'altro).* Str. 233–294. (Nadbitka z *Europa Orientalis* 11/1992: 2).

WOS (Jan W.). *La relazione sulla Polonia di Giulio Ruggeri (1568).* Str. 54. (Wyd. Dipartimento di Scienze Filologiche e Storiche, Trento 1993).

WIESEL (Elie), LUSTIGER (Jean-Marie), SÜSSMUTH (Rita), BARTOSZEWSKI (Wladislaw). *Per non dimenticare Auschwitz.* Fotografie di Adam Bujak. Str. 128. (Edizioni Piemme Spa., Casale Monferrato 1993).

Studien zu Nationalitätenfragen. Nr 9/1993. Str. 186 i 6 nlb. (Wyd. Institut zur Erforschung der Nationalen Probleme, Ukrainische Freie Universität, Monachium 1993).

Oberschlesien Jahrbuch 1993. Str. 378 i 4 nlb. (Wyd. Gebr. Mann Verlag, Berlin 1993).

Władysław Strzemiński (1893–1952) — w setną rocznicę urodzin. Praca zbiorowa. Str. 276. (Wyd. Muzeum Sztuki — Honorowy Komitet Obchodów Setnej Rocznicy Urodzin Władysława Strzemińskiego, Łódź 1993/1994).

Zbigniew Gostomski — Stan rzeczy. Praca zbiorowa w języku polskim i angielskim. Str. 88. (Muzeum Sztuki — Międzynarodowa Honorowa Rada Muzeum Sztuki, Łódź 1994).

Andrzej Strumiłło. W języku polskim i angielskim. Strony nienumerowane. (Wyd. Muzeum Sztuki — Międzynarodowa Honorowa Rada Muzeum Sztuki, Łódź 1993).

Richard-Paul Lohse (1902–1988). Str. 88. (Wyd. Muzeum Sztuki, Łódź 1994).

Michael Kidner. Praca w języku polskim i angielskim. Strony nienumerowane. (Wyd-Muzeum Sztuki. Łódź 1993).

Architektura wobec sztuki. W poszukiwaniu consensusu. Praca zbiorowa. Str. 102 i 2 nlb. (Wyd. Muzeum Sztuki, Łódź 1993).

Polscy królowie elekcyjni w grafice XVI-XVIII wieku. Album. Tekst i opracowanie Hanna Widacka. Str. 12 i 2 nlb. + XI tablic. (Wyd. Muzeum Narodowe, Warszawa 1993 — egzemplarze numerowane).

Adam Mickiewicz — Pamiętnik konferencji w Nowogródku 22-25 czerwiec 1992 rok. Str. 170 i 2 nlb. (Wyd. Podlaski Oddział Stow. „Wspólnota Polska" i Sp. KESAN, St. Petersburg, 1993).

RUDKA (Szczepan). *Wrocławskie pisma bezdebitowe 1973-1989.* Bibliografia. Str. 156 i 18 nlb. - plansze. (Wyd. Uniwersytet Wrocławski, Wrocław 1992).

DĄBRÓWKA (Andrzej), GELLER (Ewa), TURCZYN (Ryszard): *Słownik Synonimów.* Str. 490. (Wyd. MCR., Spółka cywilna, Warszawa 1993).

JANKOWSKI (Stanisław M.) opracował: *Mój Ojciec.* Str. 200. Zawiera nagrodzone i wyróżnione prace nadesłane na konkurs „Mój Ojciec" ogłoszony przez Instytut Katyński w Polsce. (Wyd. Zakon Pijarów, Kraków 1994).

WIERZYŃSKI (Kazimierz). *Towarzysz Październik.* Seria Utwory nieznane. Str. 214. Koncepcję wydania opracował Paweł Kądziela. (Wyd. Interim, Warszawa 1993).

LECHOŃ (Jan). *O literaturze polskiej.* Str. 172 z indeksem. Tom z serii „Utwory nieznane". Notę edytorską i indeks opr. Paweł Kądziela.

IWASZKIEWICZ (Jarosław). *Marginalia.* Str. 135 z indeksem. Tom z serii „Utwory nieznane". Notę edytorską i indeks opr. Paweł Kądziela (Wyd. Oficyna Wydawnicza Interim, Warszawa 1993).

KĄDZIELA (Paweł). *Listy Kazimierza Wierzyńskiego do Jana Parandowskiego.* Str. 127-140. Nadbitka z „Roczników Humanistycznych", Tom XXXIX-XI, Zeszyt 1, 1991-1992.

UGGLA (Andrzej Nils). *Repatriacja Polaków ze Szwecji po II wojnie światowej.* Str. 69-111 z „Acta Sueco-Polonica" 1993: 1. (Wyd. Uniwersytet Uppsalski, Uppsala 1993).

KOREK (Janusz). *„Przylegać do rzeczywistości". Stanowiska i spory polityczne w „Kulturze" w latach 1968-1975.* Str. 113-166. Nadbitka z „Acta Sueco-Polonica" 1993: 1. (Wyd. Uniwersytet Uppsalski, Uppsala 1993).

LEWANDOWSKI (Józef). *Polskie stronice dziennika Svena Grafströma.* Strony 7-54 z „Acta Sueco-Polonica" 1993: 1. (Wyd. Uniwersytet Uppsalski, Uppsala 1993).

BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Spadek po zimnej wojnie.* Przekład i wstęp Andrzej Wilk. Str. 202 i 6 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza „MOST", Warszawa 1993).

MROŻEK (Sławomir). *Miłość na Krymie.* Komedia tragiczna w trzech aktach. Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. Noir sur Blanc, Warszawa 1994).

ROZPĘDOWSKI (Henryk). *Był Chamsin.* Książka o Marku Hłasko. Str. 288. (Wyd. „Aneks", Londyn 1994).

Tajne dokumenty Biura Politycznego i Sekretariatu KC - Ostatni rok władzy 1988-1989. Opracowanie Stanisława Perzkowskiego. Str. 490. (Wyd. „Aneks", Londyn 1994).

ŁUKASIEWICZ (Maciej). *Weryfikacja.* Z notatnika stanu wojennego 1981-1982. Wstęp Dariusz Fikus. Str. 406 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza „MOST", Warszawa 1994).

ŁUBIEŃSKI (Tomasz). *Porachunki sumienia.* Str. 102 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteka „Więzi", Warszawa 1994).

Notatki Redaktora

Nawiązując do niefortunnej inicjatywy prezydenta Wałęsy, zaproszenia na uroczystości rocznicy Powstania Warszawskiego głowy państwa Niemiec i Rosji oraz premiera Wielkiej Brytanii, o czym pisałem w poprzednim numerze, chcę zwrócić uwagę, że kanclerzowi Kohlowi bardzo zależało na zaproszeniu na rocznicę inwazji aliantów w Normandii, ale Francja, mimo bardzo bliskich stosunków z Niemcami, odmówiła zaproszenia, a jej stanowisko podzieliła również Anglia. Kanclerz Kohl będzie zaproszony na jakąś inną rocznicową uroczystość w niedalekiej przyszłości.

Jeśli chodzi o Polskę to byłoby bardziej celowe zaproszenie prezydenta Niemiec na rocznicę głośnego listu episkopatu polskiego do episkopatu niemieckiego „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie".

●

Z okazji rocznicy Powstania Warszawskiego ma nastąpić rytualne już sprowadzenie trumien, a mianowicie gen. Bora-Komorowskiego i gen. Pełczyńskiego. Zapomniano o symbolicznej trumnie gen. Roweckiego, faktycznego twórcy Armii Krajowej. Może dlatego, że gdyby w tym czasie żył i działał, nie doszłoby chyba do powstania a w każdym razie nie w tej formie.

Jeśli już mowa o trumnach, to mówi się o sprowadzeniu do kraju prochów admirała Unruga. Podobno rodzina admirała uzależnia swą zgodę od oficjalnego potępienia rozstrzelania oficerów polskiej marynarki wojennej, którzy po wojnie wrócili do kraju. Strona polska nie chce się na to zgodzić, uważając, że oficerowie ci byli rehabilitowani pośmiertnie.

Minister Olechowski ostatnio wypowiedział się w sposób bardzo rzeczowy na temat współpracy polsko-ukraińskiej. Jest to bodajże po raz pierwszy tego rodzaju zajęcie stanowiska przez Polskę w sposób nie wzbudzający wątpliwości. Niestety w praktyce niewiele się dzieje. Tak np. Ukraińcy przyznali lokal w Kijowie Instytutowi Polskiemu, a ze strony polskiej brak odpowiedzi i decyzji, by taki instytut stworzyć. Nie mówiąc już o tym, że byłoby potrzebne utworzenie Stacji PAN w Kijowie, która miałaby przecież wielkie pole działania. Proszę mi nie mówić o trudnościach finansowych, które można przecież tak łatwo przezwyciężyć, chociażby likwidując szereg niepotrzebnych placówek na Zachodzie. Wynika to zapewne z tego, że sprawy ukraińskie są rozproszone w kilku ministerstwach i brak jest jakiejkolwiek koordynacji. Ma się rozumieć, jest szereg inicjatyw społecznych, bardzo cennych, jak akcja prof. Kłoczowskiego w Lublinie, czy Fundacji „Karta", ale to nie wystarcza.

Jeśli idzie o Ukrainę to jest jeszcze jedna sprawa, którą warto się zająć, a mianowicie turystyka. Jest ona bardzo cenna nie tylko z powodów gospodarczych, ale służy także zbliżeniu między narodami. Jeśli np. idzie o Litwę, turystyka zaczyna się tam świetnie rozwijać, dużą rolę odgrywa fakt, że wakacje na Litwie dla Polaków są bardzo tanie. Przed wojną dużą popularnością cieszyło się np. Podkarpacie, Worochta i Jaremcze. Z tego co wiem, te ośrodki są kompletnie zaniedbane. Ich unowocześnienie i rozbudowa w porozumieniu z Ukraińcami mogłyby być bardzo atrakcyjne dla polskiej inicjatywy gospodarczej.

●

We Francji przeprowadzono ostatnio w telewizji wielką akcję celem zwalczania AIDS. Wywołała ona dużo zastrzeżeń, ale nikt nie kwestionował konieczności takiej akcji, gdyż rozpowszechnienie tej choroby staje się wielką plagą ludzkości. Może by się tym zainteresowała polska telewizja, nie brak przecież znakomitych organizatorów masowych akcji, jak p. Owsiak — twórca Wielkiej Orkiestry Świątecznej.

●

Okazuje się, że ta nadmiernie kosztowna przebudowa Pałacu Namiestnikowskiego na siedzibę prezydenta Wałęsy nie wystarcza i Belweder nadal będzie utrzymany w gestii prezydenckiej. Trzeba wreszcie skończyć z nie przemyślanym marnotrawstwem; należy domagać się by Belweder wrócił do swojej roli przedwojennej, tj. Muzeum Marszałka Józefa Piłsudskiego.

A co jest z Zamkiem Królewskim w Warszawie? Dzisiaj jego charakter jest nieokreślony, z jednej strony muzeum, z drugiej strony jest wynajmowany na rozmaite imprezy, nie zawsze właściwe. Czy nie najprościej i *najtaniej* byłoby wrócić do przedwojennej roli Zamku, tj. siedziby reprezentacyjnej Prezydenta RP.

●

W *Gazecie Wyborczej* z 16–17.04.br. ukazał się artykuł Jacka Żakowskiego pt. „Coś w Polsce pękło, coś się skończyło". Jest to świetny artykuł pod którym całkowicie się podpisuję, gdyż przedstawia sprawy, o które od tak dawna walczy *Kultura*. Artykuł Jacka Żakowskiego daje nadzieję, że zaczynają w Polsce dochodzić do głosu niezależni publicyści i że ich działalność może przyczyni się do odrodzenia w społeczeństwie takich pojęć jak honor, moralność w polityce i bezinteresowność, jednym słowem stworzenia koncepcji polskiej służby cywilnej. Chciałbym, by prasa polska zaczęła odgrywać rolę podobną do roli prasy amerykańskiej czy angielskiej, które potrafią doprowadzić do wyeliminowania z życia politycznego tych wszystkich, którzy przekroczyli wyżej sprecyzowane zasady.

●

Rozgrywki personalne w Polsce doprowadziły do tego, że od przeszło dwóch miesięcy kraj jest pozbawiony kierownictwa gospodarczego, a stanowisko ministra finansów jest ciągle nie obsadzone. Prezydent stosuje wszelkie chwyty dla wzmocnienia swojej pozycji i zabezpieczenia ponownego wyboru, a Polskie Stronnictwo Ludowe p. Pawlaka w sposób konsekwentny próbuje opanować cały aparat państwowy przez swoich ludzi, niezależnie od ich kwalifikacji, i prowadzi bardzo wąską politykę klasową. Musi to doprowadzić do kryzysu, w którym cała elita polityczna w kraju zostanie zmieciona — co nie byłoby nieszczęściem, ale niestety grozi załamaniem się całego kraju. Trzeba wreszcie skończyć ze starym sloganem: Polska nierządem stoi.

REDAKTOR

KRAJ — BLOK WSCHODNI

28.03.94
Na III Warszawskim Spotkaniu Wydawców Dobrej Książki zostały wręczone Złote Sowy, nagrody przyznawane wydawcom najlepszych i najbardziej efektownie wydanych w ciągu ostatniego roku książek. Nagrody przyznano Wydawnictwu „Łuk" z Białegostoku za dwutomową edycję „Poezji zebranych" Kazimierza Wierzyńskiego w opracowaniu Waldemara Smaszcza oraz Wydawnictwu Instytutu Badań Literackich za „Geniusza wydziedziczonego" Stefana Treugutta. Jest to zbiór studiów romantycznych i napoleońskich nieżyjącego już historyka literatury i znawcy teatru. W dziale „Literatura naukowa" Złotą Sowę przyznano PIW-owi za monografię „Teatr Wielki w Warszawie 1833–1993" Józefa Szczublewskiego oraz Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" za „Listy 1950–1969 Jerzego Giedroycia i Witolda Gombrowicza" w opracowaniu Andrzeja Stanisława Kowalczyka. Tom ten inicjuje serię „Archiwum *Kultury*".

1.04.94
Jury Nagrody Czesława Miłosza w składzie: Jacek Bocheński, Tadeusz Drewnowski, Julia Hartwig, Jan Józef Szczepański i Władysław Terlecki przyznało tegoroczną nagrodę Andrzejowi Kalininowi za książkę „I Bóg o nas zapomniał" (Wydawnictwo „Arka", Kraków 1993). Jest to już trzecia nagroda Czesława Miłosza. W 1991 r. otrzymał ją Aleksander Jurewicz z Gdańska za książkę pt. „Lida", a w roku 1992 Andrzej Szmidt za tom poezji „Skrzypeczki".

3.04.94
Zmarł w wieku 67 lat Henryk Kupiszewski profesor Uniwersytetu Warszawskiego i Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Od roku 1990 był Ambasadorem R.P. przy Stolicy Apostolskiej. ■ Zarząd Polskiego PEN Clubu ogłosił oświadczenie następujące:

„Polski PEN Club głęboko ubolewa, że w głosowaniu nad kwestią dotyczącą przestrzegania praw człowieka w Chinach, jakie odbyło się w Komisji Praw Człowieka ONZ delegacja polska wstrzymała się od głosu.

Tylko w ostatnim półroczu wydano w Chinach ponad pięćset wyroków śmierci, a według udokumentowanych informacji co najmniej dziewiętnastu chińskich i trzynastu tybetańskich pisarzy i publicystów przebywa w więzieniach.

Z niesmakiem przyjęliśmy zawstydzające tłumaczenie urzędnika polskiego MSZ, iż są to sprawy „skomplikowane i odległe dla nas". Ból, zniewolenie i głód nie zmieniają swojej natury w zależności od kontynentu".

ZACHÓD — EMIGRACJA

23.03.94
W Stacji Naukowej PAN w Rzymie odbyła się promocja nowego wydania włoskiego „Innego świata" Gustawa Herlinga-Grudzińskiego przez wyd. Feltrinelli oraz zbioru „Upiory rewolucji i inne eseje", który ukazał się w wydawnictwie Ponte Alle Crazie.

28.03.94
Zmarł w Paryżu w wieku 81 lat Eugène Ionesco, wybitny pisarz, członek Akademii Francuskiej.

6.04.94
Zmarł w Londynie w wieku 100 lat płk dypl. Stanisław J. Biegański oficer I i II Brygady Legionów. W czasie ostatniej wojny d-ca I Brygady Strzelców Karpackich we Włoszech. Wybitny historyk: opracował historię 2 Korpusu gen. Andersa. Profesor PUNO.

14.04.94
W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się odczyt Tadeusza Chciuk-Celta pt. „Biały kurier — cichociemny emisariusz" (ogniwo łączności Rządu RP poza krajem — podziemie w kraju). Poprzednio wygłosił odczyt prof. Jan Woś o „Korespondencji dyplomatycznej Hannibala z Kapui, nuncjusza apostolskiego w Polsce (1586–1591)".

22.04.94
W Centre du Dialogue Jerzy Kłoczowski wygłosił odczyt pt. „Powstanie Warszawskie w kontekście międzynarodowym", a poprzednio, 8 kwietnia Zbigniew Baran mówił o Julianie Klaczko (1825–1906) kreśląc „Portret wygnańca".

Kronika kanadyjska

W jednym z gmachów Uniwersytetu Ottawskiego odsłonięta została tablica pamiątkowa dla uczczenia wkładu polskiego pochodzenia profesorów i pracowników naukowych tej uczelni. Rektor, dr Marcel Hamalin, odsłaniając tablicę zaznaczył, iż wnieśli oni wiele w rozwój nauki w Kanadzie a specjalnie uniwersytetu w Ottawie. ■ Komisja Wydziału Historii Uniwersytetu w Toronto, ustanowiona celem wyboru kandydata na profesora historii, ze zgłoszonych podań zaleciła powołanie dr. Piotra Wróbla, absolwenta Uniwersytetu Warszawskiego, autora następujących prac: 1. „Listopadowe dni 1918 r. Kalendarium na-

rodzin II Rzeczypospolitej", Wyd. PAX, Warszawa 1988; 2. „Kształtowanie się białoruskiej świadomości narodowej a Polska", Wyd. Uniwersytetu Warszawskiego 1990; 3. „Zarys dziejów Żydów na ziemiach polskich w latach 1880–1918", Wyd. Uniwersytetu Warszawskiego 1991; 4. „Prezydenci i premierzy Drugiej Rzeczypospolitej", Ossolineum, Wrocław 1991. Dr Wróbel został już zaangażowany i w nowym roku akademickim od września br. historia Polski znajdzie się w programie wydziału historii. ■ Sytuacja gospodarcza, spadek wpływów, wzrastające deficyty budżetów rządu federalnego i prowincjonalnych spowodowały m.in. doraźne obniżenie wydatków na świadczenia socjalne. Prawo do bezpłatnej opieki i pomocy lekarskiej tracą z dniem 30 czerwca wszyscy czasowi mieszkańcy Ontario, prowincji, w której znajduje się największa liczba uchodźców, imigrantów i innych osób nie posiadających prawa stałego pobytu. Rząd prowincjonalny domaga się, by rząd federalny pokrywał koszty opieki lekarskiej osób ubiegających się o status uchodźców. ■ W Kanadzie również zaostrzono przepisy kwalifikacyjne jeśli idzie o status uchodźcy i emigranta. Spowodowało to m.in. nakaz deportacji około 4.500 studentów z Chin. Minister Imigracji, uzasadniając decyzję, oświadczył, że uznając tych studentów za uchodźców Kanada musiałaby przyjąć około 20.000 kandydatów z Gwatemali, Kuby, Haiti, Somalii, Etiopii i Sri Lanki. Zasiłki z Funduszu Bezrobocia przysługiwać będą przez 35 tygodni a nie jak dotychczas przez 45, ponadto po zasiłek będzie można się zwracać po przepracowaniu minimum 12 a nie 10 tygodni. Wysokość zasiłków została nieznacznie obniżona. Sporo nowoprzybyłych Polaków dotkliwie odczuwa obecne przesilenie gospodarcze. ■ W Toronto zmarł w wieku 82 lat inżynier Wojciech Krajewski, jeden z najbardziej zasłużonych działaczy polonijnych. Inicjator i wieloletni prezes Fundacji im. Adama Mickiewicza, pierwszej a zarazem najstarszej fundacji polonijnej, której cele są wyłącznie kulturalne. Fundacja udziela stypendiów polskim uczniom i studentom w Kanadzie. Ostatnio zaś wysłała materiały szkolne do Nowogródka. ■ Rząd Kanady w ramach współpracy z Polską przeznaczył 30 milionów dolarów na małe, wspólne przedsięwzięcia gospodarcze. ■ Na zaproszenie rządu kanadyjskiego przybędzie z oficjalną wizytą we wrześniu br. prezydent Wałęsa, który poza zaproszeniem rządowym przyjął również zaproszenie Kongresu Polonii Kanadyjskiej na uroczystość 50-lecia tej organizacji.

Toronto, marzec–kwiecień 1994

B.H.

Kronika norweska

Tylko dwa kraje europejskie spełniają wymagania traktatu z Maastricht odnośnie deficytu budżetowego. W myśl porozumień deficyt nie może przekraczać 3 % dochodu narodowego. Jednym jest członek Unii Europejskiej Luksemburg, drugim ubiegająca się o członkostwo Norwegia. Norwegia przeżywa w ostatnim czasie doskonałą koniunkturę. Nadwyżki w handlu zagranicznym, minimalny wzrost cen 1,8 % i zarobków 2 %, niska stopa procentowa 5 do 8 % oraz zatrzymanie wzrostu bezrobocia. Jest jednak także czynnik niepewny — stale spadające ceny ropy. ■ Ponad 100 polskich zakładów przemysłowych ograniczyło emitowane zanieczyszczenia. W niektórych przypadkach mowa o 60 %. Finanse zapewnił rząd w Oslo. Norweski Związek Inżynierów kieruje akcją i dostarczył wykładowców. Zajęto się głównie Górnym Śląskiem. Dotychczas około 200 polskich fachowców ukończyło specjalne kursy prowadzone przez Norwegów. Do końca 1994 roku planuje się przeszkolenie 450 polskich specjalistów i analizę około 350 zakładów przemysłowych. ■ Norweski dziennik *Aftenposten* otrzymał zakupioną w Estonii mapę Oslo. Została sporządzona w 1984 na zamówienie sowieckiego sztabu generalnego. Mapę skomentował generał Bull-Hansen, wieloletni szef armii norweskiej: „Na pewno nie sporządzono jej, by pomagać nam w odśnieżaniu". Jakość jest znacznie lepsza niż w przypadku map satelitarnych. Różnymi kolorami zaznaczono budynki rządowe, ambasady, media, siedziby partii politycznych, elektrownie, schrony, obiekty o znaczeniu militarnym itp. Szczegółowo opisano układ komunikacyjny, nośność mostów, głębokość rzek i fiordów. ■ 13 stycznia zmarł w wieku 56 lat norweski minister spraw zagranicznych J.J. Holst. Za swoją mediację pomiędzy Izraelem a Palestyńczykami był poważnym pretendentem do tegorocznej pokojowej Nagrody Nobla (nie jest przyznawana pośmiertnie). W ciągu ostatnich lat jest to w Norwegii druga śmierć ministra spraw zagranicznych. ■ Prasa ujawniła, że blisko 50 Norwegów prowadzących akcję humanitarną w Afryce zaraziło się AIDS. Tajemnicą publiczną jest też fakt, że prawie cała pomoc dla trzeciego świata przejadana jest przez administrację, bądź rozkradana przez miejscowe władze. ■ Browar Ringnes zainwestował w Polsce prawie 40 milionów dolarów. Dysponuje rozlewnią w Warszawie, zakładem produkcyjnym w Bydgoszczy, magazynami w Lublinie i browarem. Polska traktowana jest jako baza do dalszej ekspansji na Czechy, Węgry i kraje bałtyckie. ■ Statoil zajmuje się wydobyciem

i dystrybucją ropy naftowej. W roku 1997 zamierza dysponować w Polsce 70 nowoczesnymi stacjami benzynowymi. Pierwsza: 30 km na północ od Warszawy przy drodze do Gdańska już funkcjonuje. Celem jest stworzenie sieci stacji w północnej części kraju. Stamtąd jest bowiem najkrótsza droga do norweskich pól naftowych. ■ Obawy norweskich inwestorów jeśli idzie o Polskę budzą: brak stabilności politycznej, częste zmiany rządów, niejasne prawodawstwo dotyczące prywatyzacji i prawa własności. Największe problemy sprawia biurokracja. ■ W 1994 obcokrajowcy otrzymają w Norwegii 5.000 pozwoleń na sezonową pracę w rolnictwie. Z tego około 80% przypada na naszych rodaków. Przypomnę tylko, że o zgodę należy starać się z wielomiesięcznym wyprzedzeniem. Przyszły pracodawca występuje o imienne pozwolenie do lokalnego urzędu zatrudnienia. Informacje o pozytywnym załatwieniu sprawy przesyłane są za pośrednictwem przedstawicielstwa dyplomatycznego królestwa Norwegii w Polsce. W ubiegłym roku odwiedziło krainę fiordów około 30.000 turystów znad Wisły. Większość Polaków przybywa w poszukiwaniu pracy. Udaje się tylko nielicznym. Tym, którzy przyjeżdżają mimo wszystko do Norwegii, należy przypomnieć o ubezpieczeniu. Koszty leczenia są bowiem bardzo wysokie.

Oslo, kwiecień 1994

Paweł GAJOWNICZEK

Listy do Redakcji

Paryż, 31.III.94.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dopiero teraz dotarł do mnie numer październikowy *Kultury* z recenzją Leszka Szarugi o niemieckim wydaniu „Dekady Literackiej" (X.93., s. 96–97). Przy uznaniu dla kompetencji recenzenta, jednak zdziwiony jestem dlaczego ignoruje on autorstwo numeru, które jest zaznaczone w wydaniu polskim i niemieckiej mutacji? To, tak samo jakby przy omówieniu filmu i teatralnego spektaklu pominąć reżysera, a wystawy komisarza ekspozycji. Współinicjatorem edycji — podobnie zresztą jak poprzedniej znanej recenzentowi — jest konsul Austrii w Krakowie dr Emil Brix. Dzięki właśnie poparciu dyplomacji austriackiej Ambasada Polska w Wiedniu mogła promować numer specjalny *Dekady* w Presse Club „Concordia". Wydanie *Dekady* znalazło swój rezonans w prasie wiedeńskiej: *Der Standard, Die Presse*. A, tak już na marginesie: Erhard Busek nie jest wiceprezydentem (s. 96), lecz wicekanclerzem i ministrem edukacji Austrii. Takie pomyłki mogą się zdarzać, gorzej jednak gdy świadomie wypreparowuje się nazwiska i idee.

Z wyrazami prawdziwego szacunku

redaktor edycji
Zbigniew BARAN

●

Warszawa, 9.III.94.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze.

W pierwszym numerze tegorocznej *Kultury* ukazały się listy p. Kazimierza Brauna i p. Janiny Hery, będące ostrą repliką na recenzję Rafała Węgrzyniaka z „Rozdartej kurtyny" autorstwa pierwszego z ko-

respondentów. Mój głos dotyczy wprawdzie działu „Polemiki" ale rzecz jest na tyle symptomatyczna, że warto do niej raz jeszcze powrócić.

„Rozdarta kurtyna" nie wzbudziła w Rafale Węgrzyniaku entuzjazmu, moim zdaniem jak najsłuszniej, choć rozumiem rozgoryczenie bohatera recenzji, reagującego zawsze żywo i w podobnym tonie na wszelkie niezbyt pochlebne wzmianki o swej twórczości („omówienie książki wydaje mi się w sposób wyjątkowy i zastanawiający odbiegać od poziomu, stylu myślenia i obyczajów pisarskich, zawsze przestrzeganych w *Kulturze*"). Myślę wprawdzie, iż osobie krytykowanej — choćby w swym odczuciu niesłusznie — nie wypada posługiwać się podobną retoryką, ale jest to w końcu sprawa indywidualnych gustów. Jeśli decyduję się na tę „polemikę" z „polemiką" to z paru powodów.

Po pierwsze, podobnie jak p. Węgrzyniak, uważam „Rozdartą kurtynę" za wątpliwe i zbędne „świadectwo prawdy" (pisałam o tym obszernie w nr. 11 *Dialogu* w roku ubiegłym). Służące raczej kreowaniu własnej legendy niż odkłamywaniu niedawnej historii. I niedobre jest utwierdzanie w przekonaniu, iż jest inaczej. Kazimierz Braun nigdy nie uchodził za twórcę „reżimowego", ale nigdy też nie miał opinii reżysera „antykomunistycznego" jakim się prezentuje, zresztą w zgodzie z obecną modą. Nie twierdzę, iż nie był „antykomunistą" z przekonania, ale ani jego „dyrektorowanie" ani jego dzieła nie były w środowisku — zarówno „partyjnym", jak i „opozycyjnym" — odbierane jako polityczne (przynajmniej do roku 1981), choć tamte lata sprzyjały, jak wiadomo, wyczuleniu na tzw. „teatr aluzji". Nie ma w tym niczego, co uwłaczałoby panu Braunowi, irytujące jest jedynie to, iż w swej książce przekonuje, że było inaczej.

Po wtóre, jestem głęboko przeciwna — chętnie obecnie nadużywanym — oskarżeniom osób, których opinii nie podzielamy o uprawianie „pisarstwa praktykowanego w PRL", a ten zarzut stawia (bezpodstawnie) recenzentowi pani Hera. Nawet rezerwa wobec „bogoojczyźnianej" formacji nie musi być koniecznie domeną peerelowskich żurnalistów. Niektóre swe sądy mógł p. Węgrzyniak formułować bardziej kurtuazyjnie, ale jednoznaczne wartościowanie jest nie tylko dobrym prawem, ale i obowiązkiem krytyka.

Po trzecie, nie wydaje mi się, aby zarzut „pomówień" (których w recenzji zresztą nie ma, wbrew wyrwanym z kontekstu cytatom) należało stawiać akurat w obronie książki, która od pomówień nie stroni; czymże bowiem jak nie pomówieniem jest np. interpretowanie przez Brauna krytycznych opinii o jego spektaklach, jako uzgodnionych z władzami ataków politycznych.

Po czwarte, nie jest nigdzie powiedziane, że krytyk ustosunkowujący się do wypowiedzi twórcy teatralnego musi znać z autopsji jego spektakle, a sądy podważające zasadność reżyserskich samozachwytów wspierać „krytyczną analizą opisu przedstawień". Co zresztą p. Węgrzyniak, autor niezwykle interesującej książki o „Weselu" oraz paroletni już redaktor *Pamiętnika Teatralnego*, potrafiłby z pewnością zrobić doskonale. Nie ma więc powodu, jako negatywnego argumentu w dyskusji, przywoływać jego młodego wieku, tym bardziej że to nie on, lecz starszy od niego o pokolenie Kazimierz Braun demonstruje całkowicie ahistoryczny sposób myślenia. I to nie tylko w „Rozdartej kurtynie", z założenia subiektywnej, lecz co gorsza w drukowanym w ubiegłym roku w *Zeszytach Historycznych* rozdziale książki o powojennym teatrze, zatytułowanej sugestywnie „Teatr Polski zniewolonej 1945–89"

Łączę wyrazy głębokiego szacunku, prosząc zarazem o druk mego listu

Marta FIK

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

L.L., Francja, E.B., Polska, M.T.-V., Polska — Z wierszy nie skorzystamy.

M.M., Szwecja — W Pana poemacie *Ja i on* są drobne fragmenty autobiograficzne, które mają czysty dźwięk i robią spore wrażenie. W tym kierunku powinien Pan iść, nie siląc się na zbyt ambitne ramy: Ja, on (Bob Dylan), Dylan i Rimbaud.

S.S., USA — Lepsze od wierszy powstańczych wydają nam się przedwojenne, „baranowickie". Wybraliśmy do druku jeden: „Na powierzchni dnia".

Z.S., Niemcy — Oba Pana krótkie opowiadania są bezsensownie wulgarne, napisane bez krzty talentu.

E.B., Polska — Ciekawe, czym dla Pana jest „mini-opowiadanie". Jeżeli tylko suchym referowaniem jakiegoś epizodu albo czynności, to można napisać 365 „mini-opowiadań" w ciągu jednego „maxi-roku".

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w jezyku polskim, polonica w jezykach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2e trimestre 1994.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.
N° d'imprimeur 2716-1994

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1994		
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	$A. 15,00	$A. 90,00	$A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D.M. Malinowski,** 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	$can. 13,00	$can. 75,00	$can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 34 01 08, D 80328 München. Tel.: (089) 52-20-27; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermillod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Halina Kościuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wójcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»,** 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 594-2386	$US 11,00	$US 60,00	$US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06)77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
***Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (*z Francji*)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 476 — SMECZ

Z UKOSA

Wybór felietonów o Polsce od maja 1990 do sierpnia 1992.

Str. 224 Cena F. 95,00

•

TOM 477 — ROMAN ZIMAND (Leopolita)

MATERIAŁ DOWODOWY

Szkice drugie

Str. 312 Cena F. 120,00

•

TOM 483 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO SIÓDMY

zawiera opracowania: A. Nowak: *Polityka wschodnia Józefa Piłsudskiego (1918–1921);* E. Nowak: *Z archiwum obozu pracy w Łambinowicach (1945–1946);* T. Mianowicz: *Między zbawieniem a polityką;* N. Kłosowska-Wohlman: *Wojna i druga młodość;* D. Mostwin: *Portret lekarza;* P. Mitzner: *Wspólne miejsce — Europa Wschodnia;* N.F. Bugaj: *„Specjalna teczka Stalina": Deportacje i reemigracja Polaków; Siedem listów Polaków spec-przesiedleńców w ZSSR;* J. Tischler: *Reakcje w Polsce na wiadomość o procesie i straceniu Imre Nagya;* Marek Rudzki: *Korespondencja Adama Rudzkiego z min. Adamem Rapackim;* M.A Balińska: *Korespondencja Ludwika Rajchmana;* M.A. Supruniuk: *Tajne publikacje;* J.R. Krzyżanowski: *Pamiętnik zdrady*; J. Lewandowski: *Polacy i Finowie w 1944 r.;* OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240. Cena F. 90,00.

Cena 55 F

I.N. 93400 St-Ouen – 2716-1994